



SNOPEK
NADWIŚLAŃSKI.

(PISMO ZBIOROWE).

Franciszko i Siedlecki
wydawcy
Marcin Cieplinski
Karol Korneliusz Balinski

2109 BK

HADWISZ LAJEKI

(PL. NO. 2109 BK)

Franciszek Kozłowski • 1842

Franciszek Kozłowski
Kamień G. 1842

SNOPEK

NADWIŚLAŃSKI

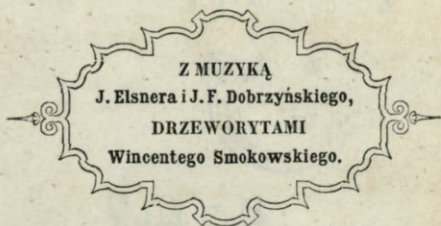
Z PŁODÓW PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO

ZEBRALI

MARCIN OSSORYJA

I

KAROL B. z Jarosławca.



WARSZAWA.

Nakładem Wydawców.

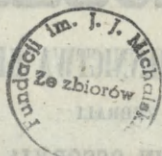
Czcionkami Stanisława Strąbskiego.

—∞—

1844.

ZNOPEK

WYDAWCA



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



P. I 678

Korrekta podług pisowni Autorów.

JANOWI

OCZAPOWSKIEMU

DOKTOROWI

Medycyny i Chirurgii

& & &

wdzięczni za ocalenie życia

Wydawcy.

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ FIZYKI

DOKTOROWI

Prof. dr hab. inż. Andrzej

h h h

Wydanie 1.000 egzemplarzy

Warszawa 1977

Spis przedmiotów.

	<i>Stron.</i>
B. Karol z Jarosławca. Życie za uśmiech, powieść prozą	109
Kwiat paproć	239
Do * * * na nowy rok	258
Brzozowski Karol. Do Księżycy	107
D. Leopold. Do M.	253
Dołęga Karol Bogd. Wyjątek z poematu: Zołża	132
Gawarecki Franciszek. Córka Rotmistrza, obraz z pierwszej połowy XVIIgo wieku	152
Głowacki Antoni. Trzy Sonety do C. Z.	224
Gumowski Juliusz. Wyjątek z poematu: Ginhana	42
Jezioro Huratowskie	71
Do Wieszczu	212
Jachowicz Stanisław. Wiesniaczek pod krzyżem	57
Dobra Zuzia	98
Biały domek	140
Kollupajło Wincenty. Troiste zaloty	52
Zwątpienie	138
Kraków Paulina. Wyjątek z niewydanej powieści	80
Maciejowski Wac. Aleks. Zbylitowscy, wyjątek z Historii Literatury Polskiej, przygotowanej do druku	34
Malczewski Kornel. Ufajcie w śmierć	236
Mor. Stanisław. Gwiazdy i myśli	8

	<i>Stron.</i>
Ossoryja Marcin. Snopek	1
Tonący	20
Chór myśliwych	49
Roman Sanguszko	100
Dzban służony	142
Trójziele	216
Zosia i ułan	227
Grzeczna niewiara	251
Paszkowski Józef. Gawędka na bruku Warszawskim	241
Prusiecka Józefa. Doznane wrażenie	24
Sołouński Józef. Samotny	10
Odpowiedź	105
Przypomnienie	150
Szapko A. Minstrel	69
Trojanowska Walentyna. Odwiedziny lekarza	59
Wojcicki Kaz. Wład. O pieśniach historycznych	12
Niewiasty Polskie	231
Wolski Włodzimierz. * * *	97
Elegja	214
Do urojeń	256
Roskosz	228
Zieliński Gustaw. Wyjątek z poematu: Stepy	3
Żdźarski Augustyn. Piosnki sielskie: przy siejbie	78
— — wiosenna	47
— młodego wieśniaka	221

GEORGE



SNOPEK.



Snopekowski Port

in Warszawa



Nuże kłosy, kłoski, kwiatki
Do mnie, do mnie, dalej w snopek!
Słaba uprząż — brak czeladki,
Alem pilny, skrzętny chłopek.

Grunt nie żyzny, chybia zboże —
Oj nie łatwo nażąć snopek!
Ale Pan Bóg dopomoże,
Bom ja pilny — skrzętny chłopek.

I powoli — i powoli
Ciula kłosy, kwiatki w snopek,
Bo gdzież zboże bez kąkoli?
Ot — i dzięki Bogu snopek.

Więcej jary niż ozimy,
„Będzie namłot”? myśli chłopiec,
He! co zrodził grunt rodzimy
To przynajmniej własny snopek.

Marcin Ossorya.





W S T E P
DO POEMATU
S T E P Y.

Czyś widział stepy? gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna;
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo wkrąg—pustynia biała, bezbrzędna,
A przy rosnącym co chwila wietrze,
Strasliwa zamięć, zaćmi powietrze?...
Biedny wędrowcze!... w złą się godzinę
Wybrałeś w podróż—patrz?... jak szalony
Wicher, jak wielka, całą równinę
Naraz, silnemi ująwszy szpony
Łono jej białe rozrywa, porze,
Rwie aż pod Niebo i w kłębach pędzi. —
O! nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi,
By ci rozkoszne podostać łoże.
To rój gwiazd śnieżnych, wirowym ruchem,
W takie cię gęste siatki okręca,

Tak nieprzebytym ściska łańcuchem,
 Że zmęczonego, wzięwszy jak jeńca,
 Przy tobie żywym, jak przy swjej osi
 Biały, grobowy kurchan podnosi.
 Niebo i ziemia nikną ci — kołem
 Ćma tylko różnych atomów krąży,
 Owija chwilę, i dalej dąży. —
 Chwyta cię obłąd — sądzisz że społem
 Lecisz z tym wirem, co cię oplata;
 Sądzisz — żeś jądrem nowego świata,
 Który bujając po nad otchłania
 Nie zawist w sferach, bo mu duch Boży
 Jeszcze nie wskazał celu podróży. —
 Nagle cię senność porywa — za nią
 Jakieś błękitne ciągną marzenia
 Które zasuwa gęsta pomroka....
 Obyś przynajmniej w dniu przebudzenia
 Ocknął — w dziedzinie Rajskiej proroka.

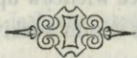
Czyś widział stepy? gdy w dzień wiosnowy
 Z południa wietrzyk pociągnie mity,
 A trawki, co się w ziemi taity,
 Trysną, — pochwycą oddech majowy,
 I rodzicielki przywiedtę łono,
 Skryją w młodości szatę zieloną,
 Gdy w górze, po nad niebem wiszące,
 Z łez zimy oschłe, jaskrawe słońce

Jedn^{ym} spojrz^{eniem} — ca^{łą} prz^{estrze}ni^ę
 Śle bujne życie, więz swych promieni,
 Co, jakby w chmurę padając mglistą
 Po stepie ścielą tęczę kwiecistą. —
 Jeśliś to widział?... skłoń dumne czoło
 Przed Tym, co w cudów zamknął się koło.
 Tu — wietrzny, zmienny rój Anemonów, (1)
 Gnie się z zręcznością dworskich ukłonów:
 Irys (2) — ozdobny modrym turbanem
 Pogląda z góry — jakby był Hanem
 Poziomych kończyn (3), co w mnogim tłumie
 Pelznąc, podniosłej hołdują dumie.
 Złotna róża w więzielu (4) pęta
 Jakby w zazdrosny harem zamknięta,
 Z pod czujnej straży, wabi z uboczy
 Astrów (5) bławatów (6) gwiazdziste oczy;
 A kampanulle (7) szmerem swych dzwonek
 Brzmią nad kol^ębką dziatwy skowronków.
 Tam! — co się z łona stepów wynurza?...
 Nie, wzrok nie myli!... błękitne wzgórza. —
 Odlam to niebios?... czy wróżka, która
 Wzrokiem urzekła fale jeziora,
 Że choć wiatr marszczy powierzchnie sine,
 Z wyżyn się nie śmia stoczyć w równinę.
 To niezabudki (8) kwiatek pamięci
 Próżno dłoń twoją ku sobie nęci;
 Myśl z nich, tysiące wieńców upłata,
 A zakres serca tak wkoło wazki.

Że mogąc niemi darzyć pół świata,
 Nie masz dać komu jednej gałązki. —
 Patrz! patrz!.. coś błyska!... czy step się pali?
 Czy na zielonej, szumiącej fali,
 Wytrysnął nagle ostrow korali?...
 Nie! — to lychnisów ⁽⁹⁾ płomienny wieniec,
 Dziewicznych stepów świeży rumieniec.

Step choć bezludny, w nim nie jest głucho. —
 W łono natury wtajemnicz ucho,
 Ten szmer — którego pajęczy wątek,
 Rwie się co chwila w harmonii tonów;
 To są rozmowy całych milionów
 W niedopatrzonym świecie żyjątek;
 Ta woń co pyłków najłżejszych tkanką
 W swe balsamiczne owija sploty;
 Co ją być sądzisz niebios postanką,
 To miłość kwiatów, to ich zaloty. —
 Bo w koło miłość. — Wkwiatów masz tchnieniu,
 W brzęku żyjątek, w ptasząt nuceniu,
 Z pod niebios nawet brzmia zalecanki....
 Gdy serce czułe, a kochać trzeba,
 To myśl jak ptaszek leci do nieba,
 I tam, swęj szuka gwiazdki — kochanki. —

Gustaw Zieliński.



Przypiski.



- (1) *Anemone pratensis*—zawilec.
- (2) *Iris*—kosaciec—*iris humilis*, *iris sibirica*.
- (3) *Koniczyna*—*trifolium repens*, *trifolium fragiferum*,
trifolium scabrum etc.
- (4) *Więziol*, *cuscuta Europaea*.
- (5) *Aster*—*aster tripolium*, *aster punctatus* :
- (6) *Bławaty*—*centaurea mertana*—*centaurea cyanus*.
- (7) *Campanula*—dzwonek, *campanula rapunculoides*—
campanula rotundifolia—*campanula lilifolia*.
- (8) *Niezabudka*—*myosotis alpensis strete intermedia pa-*
lustris etc.
- (9) *Lychnis*—fioletka *lychnis chalconica*.





Gwiazdo od wschodu której tyle razy
Na skrzydłach wiatru słałem pozdrowienie,
Powróć mi dzisiaj urocze obrazy
Które w twe złote zdobiłem promienie.

W jeden krąg wielki rozwiń twoje czoło
Niech w nim jak pośród kryształu przezroczków
Błyśnie raz tylko miłośnie, wesoło,
Jedno spojrzenie pięknych, czarnych oczów.

Jeden twój promień poszlij w tamtą stronę
Gdzie patrzą teraz zwrócone ku ziemi,
Niechaj zjawieniem jego ożywione
Zalśnią czuciami dawno minionemi.

Niechaj odbitą w kręgu twego czoła
 Ujrzę raz jeszcze zdobną wdziękiem miłym
 Postać z uśmiechem i twarzą anioła
 Jaką widziałem lub tylko marzyłem.

Zdobną urokiem dziecinniej prostoty,
 Co jej pogodą czarujące lica,
 Jaśniej malował wyrazem szczéroty
 Niż śnieżne szczyty pełny blask księżycą.

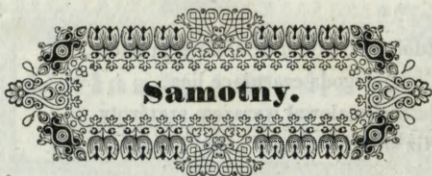
Odśwież raz jeszcze na tle brylantowém,
 Obraz postaci starty czasu pyłem,
 W całym uroku i wdzięku wiosnowém.
 Tój — którą w twoje promienie zdobyłem.

A potem znowu konając powoli
 Skieruj jej oczy jak patrzą ku ziemi
 Bez ognia duszy, blasku silnej woli,
 Bym — nigdy więcej nie tęsknił za niemi. —

15 czerwca 1839, Pietrehusk.

Stanisław Mor.





Samotny.

Zazdroście mi losu! — gdyż jestem wśród ludzi
Jak dziki pęd wichrów, bez serca i duszy —
Mnie widok uroczej natury nie łudzi,
Niczyje mnie łkanie ni radość nie wzruszy.

Zazdroście mi losu! — gdyż serce nie z głazu
Rzuciło świat cierpki jak wzgardy bożyszczę,
Nie szuka zwodnego przyszłości obrazu,
Lecz pędzi za wichrem, kędy ten zaświszcze.

Zazdroście mi losu! — bo z duszy mej burza,
Uludę — nadzieję — i życie wyzuła,
I czarnym tumanem mą pamięć zachmurza;
Krwi mojej strumienie jadami zatrąła.

Zazdroście mi losu!— Meduzy mam głowę,
Jam kamień— spojrzycie! uczynię was głazem.
Dni waszych zbyt nudnych zakończę osnowę
Jednako nie czuję — nie czujmy więc razem.

Zazdroście mi losu!— zajrzyjcie do duszy!
Tam oschła spokojność i dzikie samotnie,
Tam żadne uczucie—uczucia nie wzruszy,
Tam szczęście prawdziwe— powtarzam stokrotnie.

Zazdroście— zazdroście — to szczęście jedyne,
Gdy serce znękanе, w krwi zimnej utonie,
Nie myśli, nie wzdycha na cierpień przyczynę,
W cichości zalega grobowe ustronie.

J. Solouński.



O PIEŚNIACH HISTORYCZNYCH.

Starożytna literatura nasza, jak oddzielną przybrała barwę od literatury niepiśmiennej Ludu, która najdawniejsze pierwiastki rodowe przechowała w pieśniach, powieściach i podaniach swoich: taką też barwą i w oddziale pieśni historycznych różni się od takichże pieśni Ludu.

Mówię tu o pieśniach historycznych, które rycerstwo nasze śpiewało, które Lud powtarzał. — Zwycięstwa, jak bitwa pod *Grundwaldem*, zdobycie *Gdańska* r. 1577 za Stefana Batorego: sławna obrona *Częstochowy* za Jana Kazimierza: bitwa pod *Kumiejkami* r. 1649. — Zwycięstwo pod *Chocimem* przez Jana Sobieskiego, i obrona Wiednia przez tegoż Króla, jak klęska na Bukowinie za *Jana Olbrachta*: domowa walka pod *Guzowem* za Zygmunta III: jak imiona wielu bohaterów, wszystkoto w pieśniach zachowano: z nich jedne doszły w całości: o innych pewne zostały ślady, że w swoim czasie istniały.

W pieśniach Ludu, których osnową jest, czy zdarzenie historyczne, czy pamięć osobista, nie znajdziem tej

dokładności w zachowaniu miejsc i imion, jaką się odznaczają dochowane drukiem, lub rękopismami historyczno-szlacheckie pieśni: bo Lud zaraz podług swego pojęcia, zdarzenie pieśnią osnuwa, mniej dbając o imie bohaterów i miejsc poszczególnych. Tak każda rzeka jest u niego *Dunajem*, chociaż śpiewa nad Wisłą, Bugiem, Sanem, Narwią, Nidą, Wartą, Dniestrem lub nad Prutem; każdy niemal bohater jak w polskich jest Jasiem, niewiastą Kasia; tak u Rusi znowu ogólniejsza nazwa *Kozaka*. Prawda, że właściwe pięknoty pieśni Ludu, nie straciły nic na tém, ale straciła historija, ale zatarty one same przez to barwę swoją wiekową; bo jakże trudno pieśń taką we właściwych ramach prawdziwego wieku pomieścić, gdy otrząsnęła z siebie na zawsze woń czasu do którego należy. Rzecz godna uwagi, gdy w pieśniach historycznych tak głucho, klechdy zachowały nam imiona rozbójnika *Madeja* i czarownika *Twardowskiego*.

Na Rusi więcej żyje imion bohaterów przed dwuwiekowych; brzmią w jej pieśniach *Chmielnicki*, *Mazepa*, *Palój*, hetmani; z późniejszych rozbójnik *Dobosz* i głośny starosta *Kaniowski*, a nawet *Szczęśny Patocki*; walki na morzu Kozaków z Turkami, zdobycie *Warny*, bitwy z Lachami, w żywych barwach pieśni ruskie przedstawiają dotąd.

Te pieśni historyczne, nie były tak pozbawione dawniej cech swego czasu, i zdarzonego wypadku; imie

osoby, jak miejsca, zawierały w sobie, i trwały nie-skrzywione długo, dopóki miały swoich apostołów w Dudarzach, Lyrnikach, i młodych żakach. Jak Dudarz i Lyrnik, tak i żaki szkolne roznosili je wiernie po obszarach starożytnej Polski; a że tak było, złamki starych pieśni, przytaczane w dawnych kronikach i broszurach, dowodzą. Do nich liczyć trzeba śpiewaków serbskich, którzy wędrując po zamkach panów i dworach szlachty w XVI wieku: przynosili dumy swoje, śpiewając z przygrywką na gęślach; i Rybałt wędrowny nie jedną pieśń historyczną przy pańskiej zanucił uczcie. Jak ci Bardowie zniknęli, i historyczność pieśni Ludu zwichnięta, ściemniała od dymu niskiej chaty wieśnianina.

Toż samo się działo i z pieśniami historycznymi, które nasze rycerstwo na cześć zwycięstw i bohaterów swoich składało i śpiewało; ale tu od zaguby uchronił je druk, lub pismo.

Pomijam wspomnienia dawnych kronikarzy, jak Galła, Boguchwała i Długosza, o pieśniach z czasów Bolesława Chrobrego, Krzywoustego i Przemysława; w czem się rozwiedli PP. Maciejowski i Wiszniewski obszerniej; przystąpię do tych pieśni, których złamki zostały lub w całości przetrwały.

Stanisław Sarnicki w rękopiśmie swoim „*Księgi Hetmańskie*”, przytacza złamek z pieśni o Witołdzie, którą za jego czasów śpiewano:

„Witołd idzie po ulicy,
Za nim niesą dwie szablidy (1).

Była pieśń o klęsce Bukowińskiej z XV wieku, z której M. Bielski zachował te dwa wiersze, później w przysłowie zamienione dla swojej trafności:

„Za Króla Albrachta,
Poginęła Szlachta.“

W pieśni Ludu żyła pamięć Hierronyma Zakliki, Pana na Wojstawicach, zawołanego w czasach Zygmunta I, wojownika przeciw Tatarom na Podolu:

„Pan Zaklika z Wojstawic,
Gnał Tatarów do granic.“

W tych czasach Bernard Pretwicz, siedmdziesiąt potyczek z Tatarami szczęśliwie, a zwycięzko staczał Bartosz Paprocki *murem* go krajów Podolskich zowie a Lud wdzięczny śpiewał na cześć bohatera:

„Za czasów Pana Pretwicza,
Spała od Tatar granica.“

Do najdawniejszych historycznych, drukiem ogłoszonych pieśni, należy o zdobyciu Gdańska, 1577 roku wydana. „*Pyesń nowa o Gdańsku theras znowu uczyniona Roku Bożego 1577*. Notka, iey iako „Wesołe chwile ku nam się nawróćcie.“ (1)

(1) Było zwyczajem, że pachołcy za panami szable nosili.

(2) In 8vo, druk gocki, kart cztery. Czwarta ostatnia ma arabeskowy fleron na samym środku, a na stronie odwrotnej w czworokątnej obwódce koło, w którym tarcza z wykręcanymi brzegami, na której podkowa, a w środku jej krzyż.

Obfite w wielkie wypadki panowanie Zygmunta III, co zajęło nie jedną kartę dziejów Polski i Rosyi: okwite w olbrzymie czyny, i w liczny poczet wielkich mężów czynu i głowy, zostawiło nam wiele pieśni historycznych.

Kiedy Fabijan Birkowski, on sławny Kaznodzieja, oplakiwał zgon *Stefana Chmieleckiego*, którego imieniem matki Tatarzki w Krymie dzieci straszły swoje: gdy wystawia cudowne prawie jego zwycięstwa, zwłaszcza gdy 40,000 Tatarów trupem położył, i głowę ich wozem *Kantymira* z sajdakiem strzał pełnym Królowi odesłał, tysiące niewiast w plon ujętych, uwolnił: zabrzmiały na cześć tego bohatera pieśni, które razem z Birkowskim oplakując śmierć wojownika, pamięć jego przesłały potomnym czasom ⁽¹⁾.

· Z rokосу Zebrzydowskiego roku 1607, co upadł przegraną pod *Guzowem* bitwą: mamy dotąd znajome trzy pieśni: wszystkie były śpiewane w kraju, i

(1) Kazimierz Brodziński, (Pisma rozmaite T. 1.), mówiąc o Birkowskim, pisze: „Mówca kaznodziejzski uniesiony czcią dla zwycięzcy, przydał do kazania na cześć jego śpiew historyczny, który do rzadkich tego rodzaju poezyj ówczesnych należy.“ Żałował w potocznej ze mną rozmowie, że więcej nie ma takich pomników, któreby za typ do pieśni historycznych dla poetów postużyć mogły. — Oprócz pieśni przy kazaniu jest druga o tymże bohaterze na półarkuszu drukowana pod napisem: „Pieśń nowa o Chmieleckim.“

w rzadkich drukach i rękopismach przeszły do naszych czasów. Imiona twórców dwóch pieśni niepamięć zagrzebała. Adam *Władysłaviusz* (Władysławski), w małej broszurce pod napisem: „Pieśni nowe,“ poświęcając jedną „O potrzebie pod Guzowem,“ co do ducha godzi się z wymienionemi, bo przymawia popędliwości do rozlania krwi bratniej ⁽¹⁾.

Najdawniejszą z drukowanych, a znanych nam pieśni, była wspomniana o zdobyciu Gdańska, poświęcona sławie „*Jana Zborowskiego*.“ W siedm lat w drugiej pieśni imie *Zborowskiego* zabrzmiało, ale boleśnie, bo żalem gorzkim *Samuela*, co pod mieczem katowskim zginął. — Żywot tego członka znakomitej rodziny, burzliwy, awanturniczy, czyny waleczne, o których w herbarzach, kronikach doczytać się można, nakoniec śmierć traiczna: mogą być wielkim materyałem dla poezji.

Samuel Zborowski, po pochwyceniu go, prędko na *Zamku Krakowskim* w r. 1584 stracony. Zaraz po śmierci ułożono pieśń, którą nam rękopism Biblioteki *Załuskich* przechował pod napisem:

— „*Pieśni nieboszczyka Pana Samuela Zborowskiego*.“ —

(1) *Pieśni nowe*: w *Krakowie* R. P. 1608.— Dwie inne nieznanymi autorami na ćwiartkach drukiem gockim wyszły w roku 1607.

Są to żale Samuela w więzieniu, okazujące jego niewinność ⁽¹⁾.



Niemal razem z bitwą pod Guzowem, zjawił się *Dymitr Samozwaniec*, co wsparty pomocą teścia swego Mniszcha, zasiadł na tronie północnego państwa.— Dla zjednania opinii Dymitrowi, puszczano w obieg pieśni do śpiewu, w których opiewano cudowne jego w dzieciństwie ocalenie, i jakim sposobem uratował się po raz drugi, chociaż wiadomo że zabity został.

Przystępuję teraz do pieśni najpopularniejszej o Samuelem Książęciu Koreckim, bohaterze, co drzeniem przejmując Turków bitnych, i czeredy łupieżnych Tatarów, wywołał o sobie nieprzesadzone porównanie Piotra *Gorczyzna*, że był

„Maż to ów wtóry,
Co lwa zwłokł z skóry,
Co bił ogromne: wieprze, byki, smoki,
I skrzepł mu olbrzym, gdy go wziął pod boki. ⁽²⁾

⁽¹⁾ Rękopism w którym się cała ta pieśń znajduje był własnością Adama Naruszewicza, jak okazują liczne własnoręczne jego podpisy, któremi stwierdzał wierność z dawnych dyplomatów, i odpisów zebranych z Biblioteki Załuskich i Archivum Króla Stanisława. Obecnie znajduje się ten rękopism w Archivum Koronném.

⁽²⁾ Pocaen na szczęśliwe zwrócenie X. Koreckiego 1618. in 4^o.

Bo przy odwadze szalonej, łączył potężną siłę osobistą. Krew Gedymina i Olgerda — wcześniej w obozach młode zahartował lata. Pojawszy za żonę Katarzynę, córkę Jeremiego *Mohily*, Hospodara Multańskiego, gdy go Turcy wygnali, znalazł obszerne pole swej odwadze, i okazania hetmańskiej zdolności, przywracając siłą oręża teścia swego na Hospodarstwo. — Dziwne to w dziejach zdarzenia, jak człowiek prywatny z nadwornym wojskiem, łamie potęgę państwa Ottomanów, i zwycięstwami zmusza Sultana do uznania Jeremiego. W kilka miesięcy umiera Hospodar, wdowa wzywa opieki zięciów. Książę Wiśniowiecki, Stefan Potocki, Jan Przerębski, trzech zięciowie, oddawszy dowództwo Koreckiemu, z zebraniem pod swe sztandary rycerstwem, bez wiedzy Króla i Stanów R. P. przedsięwzięli wyprawę. Samuel zagarnia warowne zamki, dziewiętnaście bitew wygrywa: w Jassach osaczony został. Chociaż przy zwycięstwach uczczupłał swoje zastępy i trwożliwsi opuszczają tajemnie chorągwie, widząc nienaliczone chmury Turków i Tatarów: w ośmset tylko rycerstwa, sam został niestrwożony, przez pięć dni z tą garścią odpięrał zapędy. Basza wysłał do niego Polaka, ażeby się poddał, ukazując niepodobienstwo oporu dalszego. Znał swe położenie i Korecki, bo zabrakło kul i prochu, a rycerstwo wycieńczone słabo władało ramieniem. Zsiadł więc z konia, a rzuciwszy szablę Baszy pod nogi, oddał się w niewolę. W tryumfie do Carogrodu

prowadzono księcia Samuela, tam stawiony przed Sultaniem okuty w kajdany, w ciemne rzucony więzienie; długo cierpiął bo rok cały, gdy przekupiwszy straż, potrafił uciec, do Rzymu się dostać, i wrócić do kraju.

Powitał go naród z okrzykiem radości, i zaśpiewał sławę jego pieśnią, w której szczegóły bitwy malując, wzięcie w niewolę, żal narodu, opiewa radość że swobodny wrócił, swobodny stąpa po swojej ziemi. Melodija tej pieśni musiała być ulubioną, kiedy w sto lat niemal późniejsze pieśni do niej układano.

We dwa lata z Żółkiewskim stanął na nieszczęsnych polach *Cecory*, gdzie sędziwy wódz zginął, a *Korecki* wraz z innemi w powtórna dostał się niewolę. Pędzony pieszo do Stambułu, wchodząc do tego miasta, zagrał na kobzie, jakby w tryumfie zwyciężkim. Dywan niebezpiecznego wojownika postanowił zgładzić: wysłano siepaczy aby go udusili. Księżę *Korecki* poprzednio już wiedząc o blizkiej śmierci, przed kapłanem tajemnie sprowadzonym oczyściwszy sumienie, spokojnie oczekiwał nastąnców. Gdy go przeto z dolnej wieży na górę wyciągniono, i do uduśzenia postronki zarzucić chciano: Samuel uniknąwszy stryczka, wyrwanym nożem jednemu z siepaczy, jako był wielkiej siły, płata jednych, drugich przebija, aż nawałą przyciśnion, opadły na sile, uduszony został.

Dwie pieśni śpiewano o Księżciu Koreckim: obie-dwie doszły naszych czasów, drukowane gockim dru-kiem w półarkuszach.

Stanisław Grochowski, śliczną pieśnią uwiecznił pamięć walecznego Gabrijela Kadłubka, co zginął pod Byczyną. Że śpiewano tę pieśń, mam dowód w prze-druku późniejszym przez dodaną przestrożę, że „*nu-ta jako o Chmieleckim.*“

W spokojniejszych latach panowania Władysła-wa IV, pieśni historyczne do śpiewu napelniły żale z pożaru miast, ze śmierci Królowej (1644), na wjazd Ludowiki Gonzagi. Takich pomników mamy kilka.

Ze smutnych lat panowania Jana Kazimiérza, zna-my następane pieśni:

„Nowa pieśń o wojnie Kozackiej, która się od-prawowała pod Kunejkami nad Dnieprem (in 4^{to} kart 2, druk gocki).

Poświęcona sławie walecznego Samuela Łaszcza.

„Pieśni o oblężeniu Jasnej Góry Częstochowy.“ (R. 1655).

Komuż nieznana, pamiętna w dziejach, obrona klasztoru świętego, przeciw regularnemu wojsku Szwedów, które wiodła na mury kościelne chęć zemsty i łupieży? Ale był to czas cudów dla nas; cu-da nas zbawiły; niedaremnie przeto w tej pieśni do Matki Boskiej śpiewano:

„Tyś ci to cna rycérko te Szwedy grómiła,
 Tyś ogniście granaty, płaszczem swym gasiła:
 Tyś na murach swe góry ogromne stawiła,
 Co straż nieprzyjacielska na oczy widziała!“

Kończy szereg pieśni dawnych historycznych:

„Pieśń o szczęśliwym zwycięztwie z Turków
 w dzień Świętego Marcina pod Chocimem,
 Roku Pańskiego 1673 otrzymaném. Nuta
 jako o Książęciu Koreckim.“ (in 4^{to} druk
 łaciński).

Opiewająca sławne zwycięztwo Jana Sobieskiego,
 jako Hetmana.

Kiedy obrońca Wiednia zamknął oczy, zdaje się
 jakby ze zgonem bohatera i pieśni zamarły. A były
 po nim niemałe zapasy i kłęski. Karol XII w szalonym
 galopie, przebiega całą Polskę, pali wsie, grody
 i zamki — łupieży spokojne osady; zdięra koronę Au-
 gustowi II, który jej się długo daremnie dobija. Po-
 wstaje jakby z popiołów Wielkiego Czarnieckiego —
 Szmigielski, rozwija pierwszy chorągiew trwogi zwycię-
 zkim sztandarom Szwedów: pieśń milczy, czy onie-
 miała pod nieszczęść ciosami czy przy huku dział i
 płomieniu pożogi w zarodkach, przewiała bez powrotu.

Jakaż pieśń mogła zabrzmieć za syna jego Augu-
 sta III, gdy niedołączny pokój przy zbytku, rdzą nie-
 sławy, pyłem niedołączstwa okrył szable i zbroje. Już
 ramię słabe niemogło podźwignąć zbroicy ojcowskiej,
 ani przy puharze męskiej ich zanucić pieśni.

Mamy pieśni późniejsze, które śpiewali ojcowie nasi: mamy i pieśni Ludu. Naszym czasom zostało, czy te pomniki uwieńczyą poeci kwiatami swego talentu, czy zostawią by je niepamięć zagrzebała.

K. Wł. Wojcieki.



Doznane wrażenie.

U milkły już organy i śpiewaków głosy,
Cisza taka w świątyni, że nawet brzęk muchy
Usłyszałbyś dokładnie. — Jak powiewne duchy
Tak westchnienie — myśl serca, płynęło w niebiosy.
Wtém kapłan posiwiały na mównicę wstąpił,
Otworzył księgę świętą: i słowa zbawienia,
Słowa prawdy, pokoju, słowa odkupienia,
Przeczytał uroczyście — lud w koło obstał
Kaznodzieję kapłana — I znów ciszy chwila
Sługa ołtarza Pańskie wprzód czytając słowa,
Znać nie śmiał wyrzec swoich; a omdlała głowa
Z uwielbienia, pokory na pierś się pochyła.
Lecz ją nagle podnosi i jakby natchniony
Mocą miłości Bożej, miłości kościoła,

Chrześcijanie — słuchacze! silnym głosem woła,
O! jakże przez swych Świętych Pan niegdyś był czczony:—
Powiedźcie, czy wy znacie męczennicy życie
Której pamięć, dziś kościół obchodzić pozwala?—

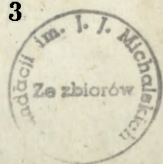
Powiedzcie, co w niej męztwo, odwagę zapala?
 Trzynaście lat liczyła ta dziewczica — dziecię!
 Dziecię tak słabe ciałem, a tak silne duszą:
 Ona jest chrześcijanką, Chrystusa wyznaje!!
 Napróżno wściekłość wrogów dręczy ją katuszą,
 Napróżno tysiąc ciosów boleśnych zadaje;
 Zda im się nie dość jeszcze to dziecię męczyli,
 Jeszcze na chwałę Boga dość znalazło siły,
 Jeszcze usta anielskie cześć Zbawcy głośliły;
 Więc usta były winne, kamieńmi je bili;
 Kamieńmi, czy słyszycie?“

I w tej chwili lice

Poblądłe pomarszczone siódmym już krzyżykiem,
 Zapłonęły rumieńcem, oczy jak dwie świece
 Zajaśniały mu w głowie — a z silnym wykrzykiem:
 Kamieńmi usta bili!“ mniemałam że razem
 Pęknię życie organy — konwulsyjne drżenie
 Przebiegło jego członki — a jedno westchnienie
 Długie, głębokie, było mówiącym wyrazem.
 Ustał znowu na chwilę, znać miłość z boleścią
 Walczyły na przemiany: miłość dla kościoła,
 Dla naszego kościoła! — boleść nad niewieścią
 Srogą taką męczarnią — nad śmiercią anioła!

— „Tak“ ozwał się nanowo! „Duch Boży zestany
 W rozmaitych językach na płaczu dolinę,
 Zapalił ogniem świętym tę młodą dziecinę;
 Lecz niegdyś Faryzejom jak nie był poznany,

3



Tak i dziś jest dla chrześcijan niepoznany weale.
 —,„Cóżto“ do apostołów z szyderstwem mówili,
 „Wasz język pomieszany, wyście się popili,
 „Dla tego was słyszymy mówiących w zapale.“ —
 —,„Zaiste,“ zagadnieni odrzekli z pokorą,
 „Wszakże nie ma południa, dziewiąta godzina,
 A wiécie że my naczyczo taką wcześną porą.“ —
 —,„Patrzcie“ szeptali drudzy „ten Piotr, co dziewczyna,
 Co jedna służebnica tak go przeraziła
 Iż się zaparł Chrystusa, dziś nieustraszony
 Że był Bogiem powtarza, i na wszystkie strony
 Głosi jego naukę; skąd mu taka siła?“

I dziwili się mędry, szemrała obtuda,
 Że ubogie prostaczki, małuczkie rozumem
 Jak mówcy lub kaptany stanęli przed tłumem:
 Czemu? bo wiary brakło by pojęli cuda!
 Ach! i teraz, i teraz bracia chrześcijanie
 Wiary, wiary nam brakło i czystej miłości!
 I cżémżc od nas proszę różnią się poganie?...
 Boga chcecie oglądać, a bez pobożności
 Zdołacież to dokazać? Tylko gwałtownicy
 Powiada pismo święte, dobiją się nieba.
 Tak jest, przez miłość, wiarę, męczeństwo iść trzeba
 Przykładem Zbawiciela i owej dziewicy,
 Której cześć w dniu dzisiejszym nasz kościół oddaje,
 A w was bracia, czyż szczera pobożność i skrucha
 Chce się dobijać nieba? czyż waszego ducha
 Ustawiczną modlitwą szlećcie w lepsze kraje?

Powiedźcie, czy wy codziennie mówicie paciérze
 Wstając, przyjmując pokarm, idąc na spoczynek:
 Prawda, nieraz słyszymy śpiewanie godziniek,
 Odmawiane Ojczy nasz, Zdrowaś albo Wierzę,
 Lecz to tylko z zwyczaju, dla skrócenia pracy,
 Bez myśli, bez pamięci ruszacie ustami;
 I tacyż-to powinni być Boscy śpiewacy!
 I tacyż-to być mogą nieba dziedzicami?
 Bracia! bracia! Przez Boga! odmieńcie się przecie; —
 Piekło stoi otworem, niebo się zamyka;
 Niech każdy będzie gotów jak niegdyś to dziecię
 Do przyjęcia za wiarę palmy męczennika!!“ —

A drżący głos kapłana, jego łzawe oko,
 Jego żebrząca postać, skrzyżowane dłonie
 I włosiem pobielalym opruszone, skronie,
 Tak przez wzrok i słuch w duszę płynęły głęboko,
 Tak się silnie wryły, że póki mi stanie
 Pamięci, póki czucia, póki serca bicia,
 Władzy zmysłów, umysłu, póki iskry życia,
 Głos ten będzie to dla mnie niebiosów wołanie. —

I znowu z całą siłą, wymową młodzieńca
 Prawdy proste, pojętne, szybkie, wykończzone,
 Niby kwiaty zrywane do jednego wieńca
 Wplatał — i niby spajał ognistą koronę
 Z polotnych myśli jakby z gwiazdeczek złocistych,
 Świecących taką wiarą, miłością, kościoła. —

Jam mniemała że widzę postać apostoła
 Co się wyrwał z przeszłości objęć dawnych, mglistych,
 I stanął jak duch wspomnień wśród drzemiącej rzeszy,
 I do serc ich kołatał, mówił do sumienia,
 To ich słówkiem nadziei zachęca i cieszy.
 To znowu im przedstawia otchłan potępienia,
 A wyrazy mu płyną prosto z głębi łona.
 Skończył mówić i zwolna zstąpił z kazalnicy,
 Lecz jam długo widziała pamięcią ludzona,
 Jego postać i obraz Świętej męczennicy.

Warszawa, d. 5 czerwca 1843,
 w uroczystość Stój Felicyszyny.

Józefa Prusiecka.









Na szerokim Dunaju,
Ne daleko wid kraju,
Ach tam młody kozak potopaje.
Pieśń Ukraińska.

1.

Na Dunaju szerokim,
Pchnięty bystrym potokiem
Młody kozak przy brzegu już tonie;
To mu fala twarz zmyje,
To się na wierzch wybije,
„Ratuj” krzyknie — i woda go chłonie.

Ojciec woła: „płyn z wodą
Dokąd fale cię wiodą
Powiem kiedy kręcący wir miniesz;
Wtedy resztę zbierz siły,
I tu do mnie płyn miły,
Tylko śmiało — przytomnie — bo zginiesz!”

Kozak siły natęży
Ale trud je zwyciężył!
Strach ołowiem popycha go do dna;
Wir go kręcąc unosi,
To ratunku poprosi,
To go chłonie głębina podwodna.

Siostra bieży po brzegu,
To zatrzyma się w biegu,
Kłęka — ręce do nieba podnosi,
To je znowu załamie,
I rozpaczy słowami,
Boga, ludzi, o pomoc dłoń prosi.

Matka na brzeg przybiega,
Tonącego postrzega,
Zmysły traci, jak martwa upadła,
Kozak osłabł na sile,
Ledwo czasem na chwilę
Z wody mignie: wzrok błędny, twarz zbladła!

Bo mu fala po fali
Wciąż na głowę się wali,
Strach ołowiem popycha go do dna,
Wir go kręcąc unosi,
Rzadziej wsparcia już prosi,
Dłużej chłonie go otchłań podwodna,

Tu brat starszy przybieży,
Przestrzeń okiem przemierzy
Nie śmie skoczyć na osłep do rzeki:
Boby brata nie zbawił,
Żonę — wdowę zostawił,
Małe dzieci — sieroty na wieki!

Wtém go całkiem wir chłonie!...
Więc już biedny utonie
W rżące ojców, przed okiem rodziny!
Zginie — w samym lat kwiecie,
Nie brzmiać stawą po świetle,
Łez niewidząc kochanej dziewczyny.



Ale któż tam w oddali
 Po pieniającej się fali
 Żybkie czótno niewprawnie kieruje?
 I w tak nagłej godzinie
 Tak nieprędko tu płynie!
 Drogie chwile napróżno marnuje!

Bo przytomność i siły
 Już kozaka rzuciły,
 Choć wypłynię, pomocy nie woła!
 Dech zaléwa mu fala
 I od brzegu oddala,
 Już się oprzecz wirowi nie zdola.

A wtém czótno z oddali
 Po pieniającej się fali
 Ciągłe k' niemu przybliża się zwolna :
 Może jeszcze trafunkiem,
 Wczas pośpieszy z ratunkiem
 Serce wierne — choć ręka niezdolna.

Mitość — doda jej sity!
Nie utonie już miły,
Już go ręka ujęła dziewicza...
Czółno zybiąc się w biegu
Już przybito do brzegu,
Mitość — męztwa i mocy użycza!

Ona w chwili straszliwej,
Z gołębiczy lękliwej
Róbi orła — co burzę zwycięża.
Ona słabej dziewicy
Rodzi siłę w prawicy,
W piersi — wlewa odwagę nad męża.

Marcin Ossoryja.





Obudwóch pisarzy tych połączyłem dla tego, że w jednym, to jest sielskim przedmiocie pisali (aczkolwiek różnego na to dobierali wątku), i że na dzieła ich z jednego należy się zapatrywać stanowiska w ogóle, lubo w szczególę pisma ich osobno rozebrać i życie obudwóch odrębnie rozważyć potrzeba. Obadwaj pisali wierszem. Andrzeję poezye znam te:

Witanie Króla nowego Zygmunta III^{go}, w Krakowie 1587.

(*) Wyjątek z historii literatury polskiej, przygotowanej do druku.

Lament na żalony pogrzeb Elżbiety Ligezianki z Bobrku, Woiewodziny Krakowskiej, tamże 1593.

Na krzciny najjaśniejszemu Władysławowi IV Królewiczowi Polskiemu i Szwedkiemu, tamże 1595.

Droga do Szwecyey, tamże 1597.

Żywot slachcica we wsi, tamże 1597.

Siarczyński mniema, że to jest pierwsze wydanie dzieła, które powtórnie wyszło w Krakowie 1600 pod tytułem *Wieśniak*. Przeciwnie Ks. Juszyński bliżej wiérz ten opisując, mieni go być osobnym dziełem, i poczytuje za piękną sielankę, odznaczającą się najładnym wierszem ze wszystkich, które pisał Andrzej Zbylitowski. — Ja nie znam tego niby powtórnie wydanego dziełka, a więc i sporu o nie zorstrzygnąć nie mogę.

Z wierszów, które wydał Andrzej Zbylitowski wiadać że będąc dworzaninem, żeglował z Zygmuntem III do Szwecyi, i że następnie we dwa lata mieszkał około Biesciad. Jeżeli prawda, że wyższe góry Karpat zowią w dzisiejszych cyrkulach Jasielskim i Sanocki Biesciadami, a w Samborskim i Stryjskim Bieskidami (*), i jeżeli taką różnicę w tych nazwiskach czyniono już w XVI wieku, wnosilbym ztąd, że gdzieś nad Sanem

(*) Żegoty Pauli pieśni Ludu ruskiego II. str. 122.

leżała wioska Zbylitowskiego, którą w ostatniem ze swoich pieśni (w żywocie slachcica) tak opisuje:

. uyrzym ano kołem

Stojąc Tatry wysokie, y dłygie Bieściady,

I bory gałeziste, y szczepione sady:

I u saméy wsi widać gaie iaworowe

I wesołe dąbrowy, y drzewa bukowe

I rzeka tuż pod górą, na któręý dwór leży

Szum wdzięczny po kamieniach czyniąc bystro bieży:

A po niéy tratfy płyną, y z zbożem komięgi,

I ciosane wanczosa tuż pod same brzegi:

Młyn na niéy,

Sprzykrzywszy sobie dworskie życie, i gdy, jak sam mówi (tamże), wolał patrzeć na pługi i na bronę, niż na działa straszliwe, albo nawet zbrojną, na wsi osiadł, a nauczony będąc doświadczeniem własnem, odradzał młodym ludziom czepiać się dworu możnych, zachęcając ich ażeby postanowiwszy (ożeniwszy) się pilnowali zagona, z młodu sposobiać się do gospodarstwa, i przez to kąć sobie dla starszych lat przysposabiając. Pomnąc na dawne stosunki, które go wiązały z urzędnikami królewskiego dworu, siedząc na wsi wywiązywał im się za doznane niegdyś od nich dobrodziejstwa, wiersze im swe przypisując. Tak najlepsze z dzieł swoich, tojest *Żywot szlachcica we wsi*, przypisał Jacentemu Młodziejowskiemu Podskarbiemu nadwornemu.

Andrzej Zbylito wski najbardziej sobie upodobał Owidyusza i Wirgiliusza. Od pierwszego pożyczył opisu

złotego wieku, i w żywocie szlachcica, w niego ubrał swój opis wsi, czyli wiejskiego życia: od drugiego wziął wstęp z Georgik i nim początek tegoż pienia przyozdobił, wzywając łaski bogini Ceres. Z księgi pierwszej Enejdy wytłómaczył i do opisu drogi Szwedzkiej zastosował owe więrsze Wirgilego.

Skąd idzie naród Latyński, skąd sławne,
Początek wzięty piękne Rzymskie mury dawne,
Wysoko wyniesione, skąd bitni Ojcowie
Albańscy przodek mieli sędziwi starcowie.

Cała zaleta poezji Andrzeja Zbylitowskiego polega na opisach, tudzież na mowie stosownej do obrabianego od siebie przedmiotu, lecz rażą obrazy żywcem od Rzymian wzięte i dziwacznie do polskiego przyczepione wątku. W drodze do Szwecyi mówi jak dworak, w żywocie szlachcica we wsi, prawi jak wieśniak, częstotliwych słów (boiała, stoiąła) używając. W drodze do Szwecyi wystawia królowę Polską jak czyniła modły, o uciszenie się burzy na Wiśle błagając oto boginią Wandę, której ciało Lechijskie Dryjady złożyły w mogile. W pieniu na krzciny Władysława, wspomina o Słowiańskiej Wandzie i Wiślnych najadach. W witanii Zygmunta III występują posłowie i przemawiają w te słowa do króla: „jestechny od bogów posłani z upominki do ciebie,” — i posłowie ci, składają mu dary od bogów. Poseł od Jowisza występuje na scenę pierwszy, od Dyony ostatni. Są tu prawdziwie poetyczne ale też i dziwaczne, bo nie polskie wy-

rażenia, a mianowicie w witaniu, *ziemia wszystkożywna, noc zaprzęgła kruki ciemne, nędza nie ma tam placu.*

W żywocie *witeż* (zwycięzca), *żagłolotny okręt, brogi paki niewymłócone chodzą na pantoflach, brogi twarz kapelusem zakrywają, oganiste jawory.*

Znane mi są Piotra Zbylitowskiego dziełka trzy. Z tych pierwsze ma za napis:

Przygana wymyślnym stroiom białogłowskim. Są dwa wydania wiérsza tego, a na obudwuch ani miéjsca gdzie je wytłoczono, ani w którym roku wyrażoném nie jest. Wydanie piérwsze przypisano Zofii z Fulsztyna Czarnkowskiej. Wydanie drugie w miejsce przypisania ma przemowę od dwóch pań z drzeworytem holesztzychem).

Drugie dziełko pod napisem: *Schadzka Ziemiańska* wyszło w Krakowie 1605.

To dzieło po wydaniu piérwszego napisał, bo w niem powiada że mu ostro przyganiano za to, że niegdyś powstawał na wymyślne stroje.

Skądby pochodził, powiedział wprawdzie, podpisawszy się na Schadzce Ziemiańskiej, Piotr Zbylitowski ze Zbylitowic, (myli się więc Siarczyński Zbulitowskiemi Andrzeja i Piotra zowiąc), lecz dociec trudno gdzieby owe Zbylitowice leżały. W przypisaniu dzieła trzeciego, pod tytułem *Rozmowa Slachcica Polskiego z cudzoziemcem*, (wydana jest w Krakowie 1600 znajduje się w bibliotece Ossolińskich we Lwowie).

Janowi Czarnkowskiemu kasztelanowi Nakielskiemu powiada, że będąc niegdyś z wyroku Boskiego w odległym kraju, osiadł następnie na chudobie ojczyściej.— Rozumiał on przez to Afrykę i Włochy, gdzie podróżował, i Ruś gdzie bojował. Albowiem w samémże tém dziele wyraźnie powiada, że widział Hanibalowe miasto Kartaginę, że się przypatrzył Etnie, którą Maro opisał wdzięcznym swym rymem, i że skoro go Palas okrągiło (uczenie) wywiczyszy na naukę zleciła Marsowi, wnet Wenus odebrawszy go Belonie naraiła mu żonę, a Ceres przywiodła go ku pracy około roli. Powiada że w bojach toczonych z Nalewajką i Łobodą znajdował się on także, z herbownym swym stryjcem Taszyckim, który poległ w tej potrzebie.

Nie jest wiadomo azali był bratem lub krewnym Andrzeja Zbylitowskiego. To wszakże pewno, że różnym był jemu w poezyi, styl wyjąwszy, który zastarażałemi nastrzępiał wyrazami, co się szczególniej w jego schadzce przebijają (*).

Osiadłszy na wsi, lubiony był w znakomitych domach panów i miał z niemi stosunki, sprawując (jak mówi Juszyński) obowiązek rządcy domu u Czarnkowskich i Hrabów z Górki. Przypisując pierwsze swe dziełko Zofii z Fulsztyna Czarnkowskiój; powiada

(* Kozielcec (podobny do kozła), skleńca, wszyd (wstył) heli (byli), dzieatecki, zasmuciel, zliczeł, zyczny (życzliwy) zinaczyć, łożel (tożył), fodza (wodza), oflank, proszayże.

da: „jeszcze mi pierworodna szwaczka nie dorosła, którą zacna Pani słusznie oddać Tobie, aby się w Francymerze twoim wychowała. Tę ja z wielką pilnością każę, matce uczyć służby Bożej, skromności, obyczajów, gdy dojdzie do lat, oddam ją Tobie za stugę.” — W podeszłym będąc już wieku pisał: bo w schadzce ziemiańskiej, nazywa się starcem.

Za dopełnienie schadzki uważać należy rozmowę szlachcica polskiego z cudzoziemcem. Gospodarz opowiada w nim gościowi, co to za czasy, co za obyczaje nastąpiły w Polsce. Dziełka te wspólnie z żywotem szlachcica przez Andrzeja Zbylitowskiego uważane stanowią jedną całość, i są w tymże co wszystkie obudwóch poetów pisma oddane kolorycie. Sielskość i polskość panując w nich biorą na zasadę opowiadać ówczesne obyczaje i zwyczaje narodu naszego, opisywać polską ziemię i żyjących na niej ludzi, chwalić dawnych, ganić tegoczesnych Polaków. Nie jest to wszakże li satyra jak mniema Siarczyński, lecz raczej obraz domowego życia przodków skreślony humorystycznie, na którym dobitnie wystawiono tło, koloryt i ducha polskiej starożytności. Zdjąłem z obrazu tego nie jeden widok dla opisu Polski i Polaków w XVI wieku i postawiłem go obok wizerunków, które prozą i wierszem przedstawili Rej, Klonowicz, Szymonowicz, Skarga Birkowski i inni. — Jakaż różnica jednych od drugich, lubo wszystkie też same przedstawiają przedmioty. Tanci w malowidle osób, ci w kreśleniu krajobrazów

celują i lepiej przedstawiają sielskość, aniżeli sam nawet Sielanko pisarz Szymonowicz.

Słusznie więc należało ich w pierwszym umieścić rzędzie jako prawdziwie sielskich poetów, którzy dokładnie i wybierać przedmioty i należycie przedstawiać je umieli. — Nie przeczymy, że w tych obrazach są i obce przydatki, że są rzymskie obrazki i obrazeczki aleć te wtręty stojąc osobno w wizerunku, nie złane w jedną całość z polskimi jak w Kochanowskiego Sobotce: niby dla tego tam przez malarza postawione będąc, ażeby ostrzegały o tém, że ówcześni polscy wieszczowie, byli jeszcze dziećmi i bez cacek obejść się nie mogli.

W. A. Maciejowski.





Pohulaj, pohulaj młody kozacze
Po twoim stepie, — Po twojem niebie;
I dla dziewy
Czarnobréwój
Piosnkę uczuć wysnuj z siebie,
To zapłonie i zapłacze.

Zaśpiewaj, zaśpiewaj hoża dziewojo
Piosnkę uczuć pogodną — cichszą,
Nim zaświecą
Błyskawicą,
Nim rozploną, nim zawichrzą,
Nim zamacą duszą twoją.

Póki wiek, póki żar, podnieśmy śpiew,
 Uczucia, serca wrzący ton.

Nim zwiędli skwar —
 Przepali żar,
 Nim młodzieńcza stęchnie krew,
 Nim zastąpi starość — skon.

To dalej dźwiękami, wichrami, iskrami
 Młodości jeden szat — jeden chór

Aż rozplonie
 Pożar w łonie,
 I odegra westchnieniami
 Zamąconych uczuć spór.

To dalej, to dalej aż piekło zawtórzy
 Aż rozszaleje potępieńców świat.

To niedługo
 Naszym sługą,
 Zwiędnieś hoży, kwiatku róży
 Zbrudnie blask niewinnych szat!“

To szatan — kobieta. W obszernej komnacie
 Niby w turbanie — starodawnym stroju,
 W jakiejś mieszanej, pstrej — jaskrawej szacie
 Dziwnych kolorów — dziwniejszego kroju,
 Płsa po cieniach. — Zakryty blask okien,
 Tylko przed jakimś obrazem, na stronie

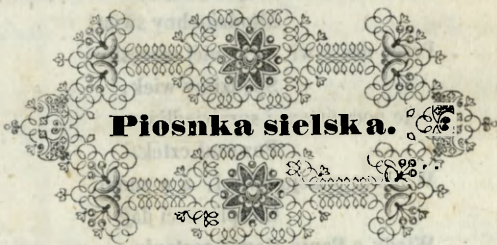
Świeci ponuro tlejąca gromnica,
Jak potępionej szatańska żrenica;
A wśród firanek — poklejonych włókien
Cudowny obraz w błyszczącej koronie,
Przed nim to światło bladym ogniem płonie.
A blaskiem światła co na jej twarz pada,
Jak z pieczar błyszczący spójrzzenie złowrogie
Tą iskrą... czarem co tak gminem włada.
W zmarszczonej twarzy widać lata mnogie,
I różne dzieje, i różne wypadki
Na trupiém licu, w dumającym cieniu
Złożyły uczuć minionych ostatki,
Jak na uosobioném przypomnieniu.
A z piersi baby piosenka chrypliwa
Tonem powolnym przewlekło - drgającym
Jakby w podziemnym jęku się odzywa.
O! kto przemarzył ostatnią nadzieję,
Przeigrał rozkosz — w pociechę nie wierzy,
Do tej piosenki piekłem się rozśmiej! —
Lecz któż tam stuka? — Zerwie się Sybilla,
Zaiskrzy dziko wzrokiem krokodyla
I ku drzwiom skoczy.
Ha! ha! to pewnie ziomek udręczony
Szuka pociechy — talizman proroczy
Uchyli tajnej przyszłości zasłony.
I w chwilę wiedzie podeszłą kobietę,
Co drżącym krokiem postępuje za nią
Jak za udzielną przyszłych losów panią

Badać śmiertelnym wyroki ukryte.
Lecz gdy po chwili bojaźń się przesili,
Niewieście serce napełni odwaga,
To współuczucie co się w duszy wzmaga
Przybyłej czerstwe lica zapłomieni,
I śmiałą mową z serca się wychyli
I miłym tonem zadzwięczy w przestrzeni
„Kapłanko ludu!
Dziecięcia mego wywróż przysły los!
O więcej niż dziecięcia, bo silniejszy głos,
Bo głos duszy, głos anioła,
W blasku uczuć, dźwiękiem cudu
W mojem sercu za niem woła.
„Dziecię — dziewica, wychowanka burz
Zaledwie serce wiosną siedmnastą bije,
Najpiękniejsza z rówiennic, najświetniejsza z róż
W uczuciu wędnie, w uczuciu żyje...
Czyżby jej młode serce przemówiło już?
O pamiętam! — to dziecię — ta Ginhana mała,
Jak za burzą, za wichrem szalała, szalała.
Tu grom wre — bije nawainica,
Prawie ziemia z posad się wyrusza,
A jej dziką radością promienieją lica,
I serce się zapala pieśnią geniusza,
I ogniem geniusza płomieni żrenica
— I w zamęt burzy patrzy... jakby rozkochana
Jakby ten wiatr — kochanek dla niej pieśni nucił,
Jakby kto jej myśl młodą między wichry rzucił.

Jakby dla niej ta burza z pod piekieł wylana.
 — „Uciekaj moje dziecię, schroń się do komnaty!
 Ginhano! nawet wyrzeć strach.
 Każde zwierzę przelektę tuli się pod dach.
 Ginhano! chodźże bo poproszę taty.
 Nie — nie pójdzie, nie słucha, w tém jednym uparta.
 Aż gwałtem wziąć za rękę niż zziębnie, przemoknie.
 I znów jakby przykuta siedzi, duma w oknie.
 Jakby tam dla niej urokami czarta
 Burzą przeznaczeń wypisana karta.
 Lecz nie, nie... nie potępiaj ztąd mojej Ginhany,
 To dziecię — aniół, przytożyć do rany.
 Tak dobra... kiedy czułem okiem spojrzę w ciebie,
 Pomyślisz, że to oko już bywało w Niebie.
 Że to aniół spogląda, ognisto — pogodnie,
 Jak to niebo jej matki, jak to niebo wschodnie,
 To i gniew ustać musi, i serce rozmięknie.
 Jak temu, co do ciała — krwi Pańskiej uklęknie.

Juliusz Gumowski.





Piosnka sielska.

Wiosenna.

Słonko powstaje, zielone gaje
Ożywia śpiew,
Ptastwo dokoła budzi i woła
Z gałązek drzew.
Błyszczą się rosa, śliczne niebios
Bóg daje nam :
Dalej do pracy bracia wieśniacy!
Bóg sprzyja nam.
Jego to dary mnożą bez miary
Plon naszych pól.
Z jego stokrotki niesie miód słodki
Pszczołeczka w ul.

Oto i drzewa ślicznie odziewa
Majowy kwiat:
Dalej wesoło! cieszy się w koło
Młodziuchny świat!
Praca nas żywi, przy niej szczęśliwi
Spędzimy wiek,
Byle poczciwym i sprawiedliwym
Pozostał człek.
W domu pokoju udzieli, a w znoju
Cierpliwości daj!
Wtedy o Panie ziemia zostanie
Zmienioną w raj.
Zdrowia i chleba człeka potrzeba:
Gdy mamy te
Dary twej ręki, niesiem Ci dzięki
Po wszystkie dnie.

Augustyn Źdźarski.



Chór Myśliwych

Muzyka Józefa Łopusza

Allegretto

Wroch wta dna na sie mi mys' lio ca po... te... ga Gdzie ru mak nie wsko czy nie prze drze sie pios Gdzie o... ko me doj rzy i strzel ba nie

p

Wroch wta dna Gdzie Gdzie

Wroch wta dna na sie mi mys' lio ca po... te... ga Gdzie ru mak nie wsko czy nie prze drze sie pios Gdzie o... ko nie dojrzy i strzelba nie

p

p: un poco ad libitum

sie ga Tam tył ko wta dna na sie ge jest kro Goni cie char ty koni Wy... rze so... kot sie Orz... cze

p Goni cie Wy rze Orz. cze

sie ga Tam tył ko wta dna na sie ge jest kro Goni cie char ty koni Wy... rze so... kot sie Orz... cze

pal... na bron' smi... gaj plyn' czy lci Do... sia na cie woz g dzie a co sie u... chro ni Lgn si... dlo ra... pa

f smi... gaj Do... sia gaj a co sie u... chro ni *f*

pal... na bron' smi... gaj plyn' czy lci Do... sia gaj na cie woz g dzie a co sie u... chro ni Lgn si... dlo ra... pa

f

dnia ie la ro do go ni hop hop hop hop da lej ha hop hop hop hop da

ro la sa do go ni hop hop hop hop da lej ha hop hop hop hop hop hop da

dnia ie la ro do go ni hop hop hop hop da lej ha hop hop hop hop da

ralentando

lej ha na tu na na tu na na tu na Bor po la po wie tne ba mi ska gle bi nie Mys

na ho ho na ho ho na ho ho na ho ho

lej ha na tu na na tu na na tu na hop hop hop Bor po la po wie tne Mys

na ho ho na ho ho na ho ho na ho ho

lej ha na tu na na tu na na tu na Bor po la po wie tne ba mi ska gle bi nie Mys

na ho ho na ho ho na ho ho na ho ho

tempo primo

lix com swa tud nasie przy no swa wda ni nie Mys lix com swa tud nasie przy no swa wda ni nie przy no swa wda ni

lix com przy nasie wda ni

lix com swa tud nasie przy no swa wda ni nie Mys lix com swa tud nasie przy no swa wda ni nie przy no swa wda ni

Chór Myśliwych.

Wszechwładna na ziemi myśliwca potęga!
Gdzie rumak nie wskoczy, nie przedrze się pies,
Gdzie oko nie dojrzy i strzelba nie sięga —
Tam tylko władania naszego jest kres!
Gończe, charty, koń,
Wyżeł, sokół, sieć,
Oszczep, palna broń —
Smigaj, pływ, czy leć,
Dościgną cię wszędzie!... a co się uchroni;
Lep, sidło, zapadnia żelazo dogoni,
Hop, hop, dalej ha! hop, hop, dalej ha!
Na tu na! na tu na!
Bór, pola, powietrze, bagniska, głębienie
Myśliwcom swą ludność przynoszą w daninie.

Nie dbamy czy pola Maj ciepły zieleni,
 Czy letnie upały poźótcą ich plon,
 Czy gną się gałęzie pod darem jesieni,
 Czy śnieg je obciąży, czy srebro je szron.

Czy to mróz, czy skwar,

Żniwo czeka nas,

Winny niesie dar

Każdy roku czas.

To łosie i dziki prowadzą nas w lasy,

To bijem przepiórki, cietrzewie, bekasy,

Hop, hop, dalej ha! hop, hop, dalej ha!

Na tu na! na tu na!

Bór, pola, powietrze i wodne głębiny

Myśliwcom swą ludność przynoszą w daninie.

Co pola wykarmią, zarośla, niziny,

Co barki olbrzymich wypieścić chcą gór.

Co błota wytuczają, czahary i trzciny,

Co zdoła wychować kniej gęstwia i bór.

To dobytek nasz

Trzoda naszych łąk,

Wśród pożywnych pasz

Czeka naszych rąk.

Sam Pan Bóg dogląda i pasie te rzesze,

Dészcz myje, wiatr suszy, gałązka je czesze,

Hop, hop, dalej ha! hop, hop, dalej ha!

Na tu na! na tu na!

Bór, pola, powietrze i wodne głębinie
Myśliwcom swą ludność przynoszą w daninie.

Gdy góry, dąbrowy, ostępy i jary
Przewlekłe powtórzą donośny trąb chór,

Gdy głosy zgodnemi zagrają ogary
I strzały częstemi rozlegnie się bór!
Niknie z czoła znój.

Natęża się słuch,

I rozkoszy zdrój

Dwoi serca ruch.

Zwycięztwo nareszcie pojezdny ogłasza,

I z dłoni pogrzebna przechodzi w dłoń czasu.

Hop, hop, bywaj ha! hop, hop, bywaj ha.

Na ho! ho! na ho! ho!

Bór, pola, powietrze i wodne głębinie
Myśliwcom swą ludność przynoszą w daninie.

Marcin Ossoryja.



11

1875

Troiste zaloty.

1.

Na łączce nad rzeczką
Gdzie lipa zielona,
Siedziała samotnie
Zosia zamyślona.

Przyszedł Antek do niej ;
„Czego sama jedna
Siedzisz zasepiona,
Jak sierota biedna?

Jeżeli ci smutno,
Umiem piosnek siła,
Będę ci je śpiewał
Moja Zosiu miła.

Wszak cała wieś nasza
 Zna we mnie śpiewaka;
 Weź serce i pieśni,
 Daj za nie buziaka.“ —

— „Twe serce, twe śpiewy,
 Dla innej pokusa;
 Lecz ja ich nie pragnę
 I nie dam całusa.“ —

2.

Na łączce, nad rzeczką
 Gdzie lipa zielona,
 Siedziała samotnie
 Zosia zamyślona.

Przyszedł Janek do niej:
 — „Czego sama jedna
 Siedzisz zasepiona
 Jak sierota biedna?

Jeżeli ci smutno,
 Do mojej pójdz chatki
 Tam w sadzie owoce,
 Jagody i kwiatki.

Tam wspólnie będziemy
I sadzić i zbierać,
Tam chciałbym przy tobie
I żyć i umierać.

Me serce, mą rękę
I cały dostatek
Przyjm Zosiu — a daj mi
Całusa w zadatek.“ —

— „Twa chatka, twój sadek
Dla innych pokusa,
Lecz ja ich nie pragnę
I nie dam całusa.“ —

3.

Na łączce, nad rzeczką
Gdzie lipa zielona,
Siedziała samotnie
Zosia zamyślona.

Pan przyszedł bogaty,
Przy Zosi usiada;
Ta mile przyjmuje
Co robi — co gada.

Pan hojny, wesoły,
 I piękny i młody,
 W zalotach mu Zosia
 Nie wzbrania swobody.

— „Ach panie dla ciebie
 Nic Zosia nie kryje!
 Chcesz — usta me całuj,
 Me oczy, mą szyję!”



Pod lipką zieloną
 Nad rzeczką na łące,
 Pan Zosię odwiedzał
 Przez cztery miesiące.

Lecz później daremnie
 Wygląda go biedna.
 Prawdziwa sierota,
 Jak jedna tak jedna!

Poblady jagody
 I usta rumiane,
 I oczy przygaśły
 Łzę ciągle zalane.

Chętnieby w tęsknocie
Piosenek słuchała,
Lecz Antek nie przyszedł
Choć go wołata.

Chętnieby zbierała
Owoce i kwiatki,
Lecz Janek nie puścił
Do sadu — do chatki.

Wincenty Kolupajło.





Krzyż prosty drewniany na polu wśród drogi,
 A przy nim pobożny wieśniaczek ubogi
 Modlił się na klęczkach schylony w pokorze
 I często powtarzał, „Ach zlituj się Boże!“

PANICZ.

— „Czego się tak modlisz wieśniaczku kochany?“

WIEŚNIAK.

— „By nam Bóg deszcz spuścił na niwy, na łąny.
 Bo ziemia spragniona, pszenica nie wschodzi,
 Już po nas paniczu jak rola nie zrodzi.“

PANICZ.

— „O! Bóg cię wystucha, pocieszy w potrzebie,
 I mała już chmurka pomknieła po niebie.“

Wieśniaczek się modlił, oczy w niebo wznosił,
I spłynął deszcz z chmurki i ziemię urosił.

*Skoro się będziemy pobożnie modlili,
Bóg prosby wysłucha; nie zawsze w tej chwili.
Lecz zawsze wysłucha i lepiej zarządzi,
My ludzie omylni, On nigdy nie zblądzi.*

Stanisław Jachowicz.



Odwiedziny Lékarza.

Blady lecz luby odbłysk wiosennego poranku zajaśniał w kryształowych szybach wytwornego pokoju, w którym wśród mnóstwa kwiatów, jak one świetna i młoda, spoczywała urodna niewiasta; młodzieniec przy niej siedzący czytał głośno jakąś książkę, lecz często przerywał czytanie i z wyrazem szczęścia wpatrywał się w ognisty blask czarnych oczu i żywy rumieniec barwiący lica jego małżonki; — bo z mocnego uczucia miłości przebijającego się w każdym ich spojrzeniu, z troskliwych drobiazgowych starań któremi mężczyzna kobietę otaczał, łatwo poznać że to byli małżonkowie; — młodzi, bogaci, kochający się, mile od wszystkich widziani, a zatem... szczęśliwi?

— Wszakże to już dwa tygodnie kochana Wando jak cie twój lékarz nie odwiedzał?

— Tak jest; bo też powiedział że wtedy tylko przyjdzie gdy tego będzie potrzeba, teraz zaś, pewnie przewidział moje uzdrowienie, i wstydzi się za swoje smutne wieszczby....

— Które mi tyle chwil zatrwały! — o ci lekarze tak już zubożeli na cierpienia których świadkami ciągle być muszą, że ich to zupełnie nie obchodzi, czy wyrokiem swoim rozpacz lub szczęście obudzą.

— Nie mów tak Wacławie! wiesz przecież że mój lekarz do tego rzędu nie należy; — pamiętam jak mnie w dzieciństwie troskliwie pielęgnował, choć nie znał moich rodziców, i choć zwyczajem dzieci wszelkimi sposobami okazywałam niechęć, którą we mnie swemi przepisami wzniewał.

— Przyznaję, że doktor C. ma dobre i tkliwe serce, lecz powziął także zły zwyczaj straszenia przerażającymi obrazami tam nawet, gdzie spokojność byłaby najskuteczniejszém lekarstwem.

— Nie obwiniajmy go i w tym względzie; może widząc moją żywość i nieuwagę w zachowywaniu jego przestróg, chciał je powściągnąć i myślał o lekkim niebezpieczeństwie zapewnić sobie zupełną powolność z mej strony.

Zamyśliła się, i twarz dotąd wesoła, chmurą smutku zabiegła, lecz wkrótce rzekła znowu:

— O! pewna jestem że w mojej słabości nie niebezpiecznego nie widzi; bo czyliż nie mówił że jedyna jego córka jest zupełnie w takim stanie zdrowia jak ja,

a wszelako gdyśmy go po raz ostatni widzieli, był spokojnym, nawet wesołym.

— Czy dawno znasz jego córkę? droga Wando.

— Od trzech lat; — poznałyśmy się w Karlsbadzie, gdy mnie ciotka po śmierci ojca z Warszawy wywiozła, i gdy właśnie doktor C. straciwszy żonę, przybył tam z swoją Julją. — Byłyśmy w równym wieku, obiedwie sieroty, charaktery nasze wiele miały podobieństwa, pokochałyśmy się więc całą duszą, i odtąd nie miałam lepszej, droższej nad Julją przyjaciółki.

— Dziwna rzecz że jej dotąd niewidziałem.

— Prawda, ale na krótki czas przed naszymi zaślubinami opuściła Warszawę, wróciwszy zaś zastała, a zatém z domu wyjść niemogła.

— Dzięki Bogu że twoja słabość mija! ile mi też bezsennych sprawiła nocy, ile obawy, ile niepokoju wzbudziła w mojem sercu, bo Wando, powiedz, czy może być co boleśniejszego, jak lękać się o życie ukochanej osoby.

— Więc się o życie moje obawiałeś? biedny Wacławie!... ale teraz bądź zupełnie spokojnym — spójrz na mnie, kaszel ustał, twarz znów odmłodziła, wesołość wstąpiła do mojej duszy, a do piersi tak miła swoboda! posłuchaj jak lekko oddycham... w istocie, dawno już nieczułam się tak zdrową jak dzisiaj.

Na te słowa wszedł lekarz; za pierwszym na niego spojrzaniem, wyraz radości opuścił lica małżonków, i przykre jakieś uczucie nappełniło ich dusze, bo twarz

zaczętego męża śmiertelna pokrywała bladosc, oczy zapadłe ponurym jakimś pałały blaskiem, i w całej postawie znać było ślady wielkiej, śmiertelnej boleści: Wanda myślała że chorował, i spytała go o zdrowie.

Skinął głową, usiadł naprzeciw niej, wziął ją za rękę, i licząc uderzenia krwi, wpatrywał się w płonące policzki młodej kobiety, zdawało się że jej widok przymnażał mu cierpienia, zerwał się nagle, podszedł ku oknu, i byle coś powiedzieć, rzekł:

— Duszące są tyłu kwiatów wzywiewy.

Wacław zbliżył się do Wandy, podał jej rękę, i chciał ją wyprowadzić do drugiego pokoju, lecz nie stało się biednej kobiecie, niespokojność lekarza dreszczem ją przejmowała, patrzyła w jego usta z natężeniem, i drżała by niewymówił słowa mogącego zmniejszyć, lub może zniszczyć nadzieję, którą się niedawno tak szczerze cieszyła.

Doktor C. usiadł naprzeciw strwożonej Wandy, i prosił aby opowiedziała jak można najdokładniej zmiany którym jej zdrowie przez czas jego nieobecności ulegało. — Gdy to mówił, rozjaśniły się cokolwiek jego rysy, jak gdyby na pomyslną czekał nowinę: tym czasem, każdy wyraz Wandy przeszywał mu serce, i choć siłą przytłumiał miotające nim wzruszenie bacznego wzroku Wacława dojrzał w spojrzeniu lekarza jakiegoś wyrazu litości, czy boleści, jak gdyby każde słowo chorej, przywodziło mu na pamięć rozdzierające wspomnienia.

Wanda przestała mówić; doktor C. z założonemi rękami, z okiem w ziemię utkwioném, siedział niewzruszony, i dumął głęboko, boleśnie; Wacław wspierał osłabioną głowę żony, i poglądał to na nią, to na lekarza; wzrok młodej kobiety z niepodobną do opisania trwogą zawisł także na twarzy doktora, znikła radość ożywiająca ich przed kilkoma chwilami, ciężar jakiś przytłoczył ich piersi; i z drżeniem, z obawą, czekali wyroku.

Lekarz milczał długo. nakoniec jakby odpowiadając sam sobie, zawołał:

— Nie! wszystko napróżno! i ta ledwie dwa tygodnie przeżyje!...

Krzyk przerażenia wydarł się razem z piersi Wandy i Wacława; lekarz przywołany tém do siebie spojrział na młodych ludzi, domyślił się, że mimowolnie objawił okropną prawdę, i strumieniem łez skropił wyschłe lica; łzy te jak ogień padły na serce Wacława, i oddech mu stłumiły; lecz chcąc jeszcze przez chwilę straszną niepewność przedłużyć, poszedł za szybko chodzącym lekarzem, i będąc na drugim końcu pokoju, zapytał nieśmiało:

— Myśmy pewnie źle zrozumieli pańskie wyrazy?... Pan nie o Wandzie mówiłeś?...

Zatrzymał się doktor; konwulsyjne drżenie ust jego zdradzało okropną sprzecznych uczuć walkę, ujął Wacława pod rękę, i z pozorem spokojności prze-

szedłszy raz jeszcze pokój, zbliżył się do drzwi, i rzekł przytłumionym głosem.

— Rądbym cię łudzić, ale śledziłem bacznie postęp tej zdradzieckiej choroby, wiem, o wiem! dodał głośniej, załamując ręce z rozpaczą, że jej nikt z ludzi uleczyć nie potrafi!...

Wacław zbladł, i wsparł się o ścianę; lekarz dziwném jakiémś uczuciem miotany złożył palące czoło na marmurowej kolumnie, a Wanda, biedna Wanda dosłyszawszy ostatnich jego wyrazów, założyła ręce na piersi, i słabym rzekła głosem:

— Boże! umrzeć!... tak młodo!

— Ocal ją! ocal! zawołał Wacław ujmując rękę lekarza: czyżbyś jej dozwolił gasnąć w kwiecie wieku?... patrz, jak ona jest piękna! a jak słodka, jak dobra!... i to wszystko tak by nagle zniknąć miało?

Doktor stanął przed Wandą, utopił wzrok swój w jej twarzy, z której trwoga spędziła tak świetne przed godziną rumieńce, i płakał... młoda niewiasta sądziła że się nad nią lituje; złożyła dłonie, a wznosząc ku niemu łzami zasłte oczy, rzekła z anielską słodyczą:

— Ocal mnie!... bo ja tak jestem szczęśliwa, tak bym nią jeszcze długo bydz mogła!...

Lekarz przymusił się do smutnego uśmiechu, zapewnił chorą, że słowa, które usłyszała przypadkiem, nie ściągały się do niej, i pochodziły jedynie z jego roztargnienia, że słabość jej nie jest niebezpieczną, słowem

starał się ją uspokoić wszelkimi sposobami, lecz w jego głosie i wzroku widać było śmierć bliską, nieuchronną. — Wanda poznała że dla niej niema ocalenia; a jej życie tak pięknem, tak miłym było!... mimowolnie zgięła kolana, i tkliwszym jeszcze jak wprzód przemówiła głosem:

— Ratuj mnie! ratuj zaklinam cię na wszystko!.... na twoją Julję....

Jakże piękną i tkliwą była w tej postawie!... Wacław poglądał na nią z uwielbieniem, i burza miotająca jego duszą uspakając się zaczęła — bo zdawało mu się, że niebyło na ziemi istoty, którejby taka niewzruszyła prośba, że śmierć sama nieśmiała by dotknąć tak zachwycającego dzieła natury.

Lecz za ledwie imie Julji z ust jej wyszło, doktor C. odskoczył od niej z przerażeniem, zsiniały mu usta, osłupiały oczy, i dziko wykrzyknął;

— Julja!... moja Julja umarła!....

Wanda została w klęczącej postawie, tylko wątle jej czoło bardziej się na poduszkę schyliło, spojrziała na męża, spotkała rozpaczne jego wejrzenie, i zrozumieli się oboje.— Nie było nadziei!... Doktor C. wiedział już o tém z pewnością, poznał bowiem zatrważające oznaki które śmierć jedynej jego córki poprzedziły; podwoiło to boleść — bo patrząc znów na ten ludzający pozór zdrowia, co usypiając bacznosc lekarza mamił tak długo tklive ojca serce, zdawało mu się

że raz jeszcze widzi zgon swojej Julji, że raz jeszcze usłyszcy ostatnie jej westchnienie.

Mówimy, że dla tego kto żył cnotliwie i kto żywą ma wiarę, śmierć przykrą byź niepowinna; lecz tego stanu łaski, Bóg tylko użyczyć nam może, bez jego pomocy nie tak to łatwo rzucić tę ziemię! i Wanda nie sobie do wyrzucenia niemiała, była dobrą, pobożną, wierzyła mocno w szczęście przyszłego życia, lecz myśl o śmierci przerażała ją, nie chciała, nie mogła przypuścić jej do serca; sądziła że jeżeli nie uniknąć, to przynajmniej oddalić ją od siebie zdoła, i rzekła jeszcze:

— Kiedy koniecznie umrzeć trzeba, niech to przynajmniej nie tak prędko nastąpi... wszak lekarze mogą przedłużyć życie?... jeden rok.... miesiąc.... o! choćby miesiąc tylko — błagam cię! — bo dla mnie każda chwila tak droga, tyle szczęścia mieści....

Lékarz z rozdartém sercem patrzył na proszącą, a ona po chwili milczenia zmienionym mówiła głosem:

— Ale — pocóż te prośby! cóż znaczy marna ludzka nauka i wiedza, kiedy nią oto ojciec własnego nie mógł ocalić dziecięcia!

Podniosła się, mowa jej silniejsza, udaje odwagę, ale w drzeniu rąk, w biciu serca, w ściągniętych boleśnie ustach, znać trwogę i rozpacz.

— O! nie płacz Wacławie! nierozpaczaj, wszak jeszcze nie umieram! — a głos jej tak był szyderyczym,

z tak gorzkim wyrzekła to wyrazem, że mąż jej i lekarz z przerażeniem spojrzeli na siebie.

Wanda siadła na kanapie, oparła się na poduszkach i rzekła.

— Tu koniec mego życia przepędzę; Wacławie! każ tu poznać wszystko co miłem mi było; — książki, harfę, pędzle, a nadewszystko, ty mnie nie odstępuj! o! ani na chwilę jedną! mnie tu już tak niedługo! — Umrzec! mówiła prawie w obłąkaniu; tak wcześniej! — i dla czegoż?....

Ale nagle umilkły szemrające usta, wzrok Wandy zatrzymał się na srebrnym krzyżyku, który chrześcijańskim zwyczajem zawieszono w rogu komnaty, a to narzędzie śmierci Zbawiciela cudowny wpływ wywarło na tę młodą, skołataną duszę. — Złożyła ręce na piersiach, pochyliła głowę, i w myśli jej ten obraz nieskończonej miłości Boga zatępił obawę śmierci. — Długo milczała, w całej jej istocie niezwykła zachodziła zmiana, im więcej wznosiła się duszą do Stwórcy tém bardziej nikała jej ziemia z przed oczu, tém bardziej żał po niej w sercu się zacierał. W końcu, wypogodziło się zupełnie oblicze Wandy, niebieski uśmiech osiadł na ustach, w oczach świetne łzy stanęły, i padając na kolana zawołała w natchnieniu:

— Dzięki, o! dzięki Ci Boże, że mię z tąd odwołujesz pókim młoda i szczęśliwa, pókim Cię jeszcze ciężko obrazić nie mogłam!

— I dzięki ci doktorze, dodała powstając, za nie umrę nagle i niespodziewanie.

Lékarz z podziwem patrzył na młodą Chrześcijankę, Wacław wsparty na kolumnie, zakrył twarz rękami, by nieukazać łez gorzkich co mu zalewały oblicze. — Wanda zbliżyła się do niego:

— Ty płaczesz Wacławie? — o! płacz, ty tu zostań! biedny, ależ to na niedługo. — Zobaczymy się wkrótce, przeczuwam to. — Wszak Bóg miłość naszą poświęcił, a odejście moje nie zerwie jej ogniwa.

W takim usposobieniu przeżyła Wanda jeszcze kilka tygodni, zgon jej budującym był dla obecnych, cudownym prawie; — a cóż tak młodą i wątłą istotę wspierało w tém trudném przejściu z ziemskiego szczęścia do wiecznej miłości? nie rozum, ona mu nieufała, nie nabyta nauka, bo jej nieposiadała, nie serce, bo ono do ziemi ją wiązało; — wiara tylko silną podała jej rękę, a krzyż jak świetna gwiazda rozproszył chmury żalu i w czystej duszy świętą obudził nadzieję.

Walentyna Trojanowska.



Gdy bez ustanku i w oczy
Ktoś mówi: ślicznaś jak zorza,
Talent twój, układ uroczy,
Wzorem od morza do morza.
Strzeż się takiego czciciela,
Pamiętaj radę minstrela! •

Kto czuje, mało ci powie.
Poznasz go łatwo ze drzeniem,
Po głosie w niepewnej mowie:
Z przytłumionego westchnienia.
Z oka, nieśmiało co strzela,
Oto uwagi Minstrela!

Tys żywa, ogień cię pali,
Ogień to życia i Nieba,
Umiej go stłumić bez żali,
Gdy rozum powie: „potrzeba“!
Rozum szacunek w nas wciela,
Uważ na słowa **Minstrela!**

Gdy ty błysniesz w świetnym kole,
Wzorowej, ślicznej młodzieży,
Z zadowoleniem na czole,
Pełna wdzięku jak kwiat świeży
Wśród zabaw, pośród wesela,
Przypomnij piosnkę **Minstrela!**

A. Szapko.



JEZIORO HURATOWSKIE (*).

Ty zawsze przy mnie, ja zawsze przy tobie,
Na świecicie, w niebie, i w grobie.

J. Kraszewski, P. S.

Na straży jeziora ciemny zaległ bór,
Odwiecznych mu jodeł głuchy śpiewa szum,
Rybackie odgłosy dziki niosą wtór
Jak echa zaklętych, tajemniczych dum. —

Brzegami jeziora piaszczyste tumany
W swobodnych tańcach pływają;
Gdy ku nim wybiegną spienione bałwany,
I wiatry, kochanki na puszczy zagrają. —

(*) W Augustowskiem.

Na środku jeziora kilka brzoź zieleni,
I spletem warkoczy dźwięczy nad mogiłą,
Jak widma żałobne topielicznych cieni
Wypchnięte z głębiny szatanów siłą. —

Ale któż odgadnie czyja to mogiła?
Jak dawno wzrosła któż zbada?
Bo wiekiem niepamięć te dzieje pokryła,
A echo podania błędnie odpowiada. —

Coś ciszą wieczorną przy cichej pogodzie
Po płynnych kryształach pluszcze,
I szybko wymija nadbrzeżne puszcze,
I prędzej, i dalej żegluję po wodzie. —

Już widać: to małe czółenko w oddali
Płaszczyny wodne przerzyńa:
I tak spiesznie zwija, i tak mknie po fali
Jak grzbiet morskiego delfina. —

Już znikło: a jeszcze słychać pluski wodne
I szumy wiosła gdy fale potrąca,
Bo wiatry usnęły i niebo pogodne:
Wód ciszy nie zamąca. —

Lecz zajrzyj do duszy młodego żeglarza,
 Tam myśli — to gromy gdy bliskie wylewu;
 Tam serce — to piekło — wulkan gdy zagraża
 Wybuchem rozpaczy wściekłej — gniewu.

Już wpłynął w zatokę. — Po małej wysepce
 Idzie zwolna, cicho lekką stawia nogę;
 A tylko pod stopą gałązka zaszepce,
 A serce mu bije jakby w niem czuł trwogę.

Przechodzi pod gęstej dębiny sklepieniem,
 I słuca... nie słysząc tylko serca bicie,
 I bicie krwi mocne, namiętnem wzruszeniem
 Jakby się w niem uczuść przelęwało życie.



Na stronie gdzie wieniec najgęstszych drzew
 Splottł ciemne z liści sklepienie;
 Gdzie miększa murawa, gdzie wyższy krzew
 W głębi mignęło dwa cienie.

To dwoje kochanków — ich cicha rozmowa,
 Bo serca zbliżone, bo usta zamknięte;
 To z duszy do duszy płynęły ich słowa
 Zaledwie w myślach poczęte.

Ich cicha rozmowa — to serca muzyka
 Którą uczucia zagrały,
 O! miłsza kochankom niż pieśni słowika,
 Niż dźwięki skrwa wionej chwały. —

— „Ach tak mi coś smutno“... raz pierwszy przy tobie
 „Serce w tęsknocie opływa, —
 „Po falach wzrok błądzi jak po świeżym grobie,
 „A smutek się sercem odzywa

„Czy słyszysz kochanie? — coś w głębi szeleści,
 „Niby chód zdradza darń grząska;“ —
 — „Nie luba, to kwiatek z kwiateczkiem się pieści,
 Z wietrzykiem igra gałązka.“

A echa o serce odbiły te słowa,
 O serce co słucha ich skrycie;
 A w sercu tém cisza osiadła grobowa,
 Jakby w nióm zagasło życie.

Lecz nagle zawrzały ogniem wszystkie żyły
 I stal błysnęła w cienistej uboczy;
 Lecz bardziej groziły, lecz straszniej iskrzyły
 Zbłąkane młodzieńca oczy.

To szkarłat na twarzy, to biały jak chusta
 Bo w myślach, w uczuciach piekło:
 Choć piersi zacisnął, choć do krwi zgryst usta,
 Z pod serca westchnienie uciekło.

I drugie — żalosne, przeciągłe westchnienie,
 Cała się niem rozpacz wylała:
 Jak gdyby niem jętko grobowe sklepienie,
 Jak gdyby z niem dusza wyjść chciała.

— „Czy słyszysz? ach patrzaj! tam w gęstwi jak mara!...
 „To może zły człowiek nas śledzi:“!
 A on jęj dłoń chwycił w miejsce odpowiedzi,
 Już w łódce kochanków para. —

„O wstrzymaj się wstrzymaj! nie rzucajcie brzegą“!
 Głos dzikiej rozpacz wykrzyknął. —
 — „Ach! prędzej i prędzej niech łódka odbiega
 „Ten głos mi serce przeniknął.“ —

— „O wstrzymaj się wstrzymaj! bo biada wam, biada!
 „Zginiecie w bezdennej topieli!“ —
 Lecz tylko plusk żwawy wiosła odpowiada,
 I coraz chyżej płynęli.

Już nikną w mgle fali, a jeszcze z oddali
 Głos znany zaklina, ostrzega
 A łódka mknie chyżej, a łódka mknie dalej
 I co raz dalej odbiega.

Młodzieniec za niemi spoglądał nieśmiało
 I Izą mu nabiegły źrenice:
 To znów niby mu sercem piekło się zaśmiało,
 Uśmiechem rozjaśnił lice,

— „O płyną! niech płyną... usłuchać nie chcieli....

„I w skorszym niech płyną biegu:

„Odpczną na miękkiej, na zimnej pościeli

„Snem wieczystego noclegu.

„Niewierna kochanka i przyjaźń fałszywa!... —

„O! nie zazdrozczę żeglugi:

„Połączą was wiecznej miłości ogniwa,

„Wieczny nocleg..... uścisk długi.....“ —

I oko nie ściga kochanków — żeglarzy;

Myśl krąży ponuro — boleśnie:

Nim w letarg zapadnie, nim spocznie jak we śnie

Rozkoszą zemsty — piekłem marzy. —



W tём nagle w dalekiej jeziora przestrzeni

Głos straszny o pomoc woła:

I odgłos rozpaczy „jesteśmy zgubieni“

Potrąca łądy do koła.

A dzikie wołanie co serce przeszywa

W dalekich echach przepada:

A tylko kruk dziką pociechą przygrywa:

O biada tam, biada, biada!

I wszystko umilkło... a w ćmie nocnych cieni
 Tak cisza panuje głucha:
 Jakby w nowym zamęcie z chaosów przestrzeni
 Wyłynął nowy świat ducha.

I wszystko umilkło i milczy na wieki,
 Nawet dźwięk podań ucicha;
 Tak w walce piorunów, grom burzy daleki
 Echa mocniejsze słabszemi spycha.

A wszystko tak samo jak w owej godzinie:
 Woda tak mąci i pluszcze,
 I chórem tym samym wtorują jej puszcze,
 Wiek za wiekiem cicho płynie. —

Juliusz Gumowski.





Piosnka sielska.

Przy siejbie.

Ziarnka roni dłoń rolnika
Jeno błysnie dzionek,
Weseli go szum strumyka,
Śpięwa mu skowronek.

Jak to zboże się rozplemi
Gdy kielki odrosną;
Tak i ciało z świętej ziemi
Z wieczną wstanie wiosną.

Daj za pracy nam nagrodę
Panie w każdą porę:
W domu pokój — świętą zgodę—
A w sercu pokorę.

Gdy nam szczęście nie zaświeci,
Stań się twoja wola!
Pobłogosław chociaż dzieci
Chlebem z tego pola.

Augustyn Żdźarski.



WYJĄTEK
Z NIEWYDANEJ POWIEŚCI.

I.

Źle się zgadza trąbka w boru,
Z brzękiem dzwonów, z śpiewem choru.
(Z *Bürgera* przełoż. *Odyniec*.)

Swietnie choć późno powstało słońce dnia 2 lutego 1070 roku i jaskrawym blaskiem oświeciło białe od śniegu dachy Krakowskich domów. Wraz z jego powstaniem zatętniała zmrożona ziemia odgłosem licznych końskich kopyt; skrzypienie kół u niekształtnych kołas, chrzęst zbroi, szczęk broni, napęłnił powietrze, a poważny dźwięk dzwonów kościelnych łącząc się do niego, niezwyčajną jakąś zapowiadał uroczystość.

Konno i pieszo, strojno i zbrojno, zebrało się mnóstwo ludu do kościołka na Skalce; dzień drugiego lu-

tego pamiętnym był całemu krajowi, bo przez trzydzieści lat obchodzono w nim rocznicę urodzin Królowej Marji, przez trzydzieści lat co dzień błogosławiono niebo, które ten wzór dobroci i pobożności z Ruskiej na Polską przenieśliśmy ziemię.

Zwłoki jej spoczywały już w królewskim grobie, ale pamiętni cnót i dobrodziejstw mieszkańcy Krakowa zebrałi się w Pańskiej świątyni wznosząc szczere modły do nieba, o zbawienie jej duszy.

Niewiasty w bogate futra odziane, zajęły nieliczne ławy; a środek kościoła mężowie w świetnych zbrojach, każdego z nich barki pokrywała skóra rysia, wilcza lub niedźwiedzia własną rycerza ręką zabitego; po zakonnemu podgolone głowy, i białe długie chustki na szyjach niezbrojnych mężczyzn, świadczyły, że Polacy niezapomnieli jeszcze jak wielkie dobrodziejstwo wyświadczyła ich krajowi apostolska stolica, wracając światu cnotliwego Kazimiérza, którego pamięć uczczono przydomkiem odnowiciela pokoju. Przy wielkim ołtarzu, podle próżnej ławy zmarłej królowej, klęczało kilkanaście młodych szlacheckiego rodu kobiet i dziewic, pod jej okiem wychowanych; dalej książe Władysław z drużyną. Cały kościół natłoczony był pobożnymi, a przecież głębokie milczenie panowało do koła; czasem tylko w zbytnim ścisku zadźwięczała zbroja o zbroję, albo z niewieściej piersi ciche wyszło westchnienie. Kapłani w obrzędnych szatach stali

niewzruszeni przed ołtarzem, lecz wstrzymywali się z nabożeństwem, bo jeszcze wysokie po prawicy stojące krzesło nie było zajętem.

Siadał w niem zwykle młody król Bolesław; wprawdzie, od niejakiego czasu rzadko go na niem widziano, lecz każdy czuł, każdy pragnął, by w tym dniu pierworodny syn Maryi stanął w przybytku chwały Przedwiecznego; a błądy promień zimowego słońca wciskając się przez skopciałe szyby kościołka, jakby umyślnie opuszczone krzesło oświecał, i wzywał tego, który sam miał prawo wstąpić na nie.

Długa godzina przeszła w oczekiwaniu, już głuchy szmer niecierpliwości wznosił się tu i ówdzie, gdy biskup Krakowski mocnym głosem zanucił hymn rozpoczynający żałobne nabożeństwo; kapłani otoczyli pobożnego męża, święte pienia coraz szerzej i głośniej rozlegały się po sklepieniach kościołka, wonny dym kadzideł igrał u szczytu z słonecznym światłem, niezliczona liczba świec ogrzała wilgotną atmosferę świątyni—a króla niebyło.

Po długim nabożeństwie, biskup pobłogosławił przytomnych, i zwolna wśród szmeru i zgiełku opuścił dom Boży; tylko jedna z klęczących przy ołtarzu dziewic, i jeden ze stojących na środku mężów, modlili się jeszcze poglądając na królewskie siedzenie niekiedy, jak gdyby o przebaczenie dla niewdzięcznego syna błagali.

Podniosła się dziewczica, podeszła ku rycerzowi, raz jeszcze pochylili się oboje przed Panem zastępów, i wyszedłszy z kościoła udali się drogą na prawo idącą.

Otuleni w obszerne szuby, nieczuli ostrego mrozu, oboje zatopieni w myślach szli długo obok siebie, a tylko śnieg skrzypiący pod ich futrzaném obuwiem przerywał milczenie. Już różnokształtne dachy Krakowa znikły im z oczu za gęstymi błyszczącym szronem pokrytymi drzewami lasu, który tamtemi czasy ciągnął się tuż przy stolicy; gdy nagle za nimi zabrzmiała myśliwska trąbka. Wzdrygnęli się oboje, spojrzeli na siebie i mężczyzna rzekł:

— Przysiaglibym na Najświętszą Pannę że to on!

Dziewica niezdążyła odpowiedzieć, bo w téjże chwili poczet jeźdźców wysunął z kniei, i zastąpił im drogę. Na dzielnych koniach mężów i młodzieńców kilkunastu, otoczyło podróżnych, twarz każdego śmiejąca i wesoła, ubiór rozmaity, ale znać było że w tym gronie krajowcy i cudzoziemcy się mieszczą, bo dwojakiego kroju szaty, nie równe kołpaki, i futra nie jednakim narzucone sposobem.

Witajcież mi starzy przyjaciele! zawołał jadący na czele młodzieniec, którego burka zniechcenia przewieszona przez ramię, rozognione pomimo dotkliwego zimna oblicze, a nadewszystko dobyty i z krwi jeszcze nie otarty nóż u pasa, świadczyły że z ochoczych łowów powraca.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! odrzekł uchylając czapki pieszy mężczyzna, a wiatr dmuchnąwszy rozwiął mu koło czerstwój twarzy, szronem osypane włosy.

— Z kąd że to? zapytał jeszcze młodzieniec,

— Z Krakowa, miłościwy Panie!

— Ah! Masław z Jastrzębie rzadkim teraz gościem w Krakowie. A jego córka, dodał zwracając się ku dziewczycy, wtedy tylko odwiedza miasto kiedy my nie w domu.

— Darujcie Miłościwy Panie! byliśmy tylko w kościele; i myśleliśmy że Was także w nim ujrzymy.

W kościele? rzekł zdumiony młodzieniec, a poglądając z niepewnością to na podróźnych to na swoich towarzyszy, powtórzył w kościele? przecież dziś nie niedziela?

— Nie, odparła surowo dziewczica; dziś jest Najświętszej Panny Gromnicznej.

— Święto mojej matki!

— I żałobne nabożeństwo za jej duszę.

— A ja w kniei! zawołał młodzian uderzając ręką w czoło: przekłete łowy!... do miasta! do miasta!... może jeszcze choć pacierz w kościele odmówię.

Spiął konia ostrogami, cały poczet sunął się za nim, i wkrótce, tylko biały tuman śniegu migał wśród lasu.

Starzec patrzący ciągle za świetnym orszakiem, potrząsał siwą głową, a ruszając w dalszą drogę rzekł niby do siebie:

— Choćby i zastał otwarte podwoje domu Bożego, nie zatrze zgorzenia przed ludem!

— Król, nasz Pan Miłościwy nie dba co lud o nim powie; domówiła równie z cicha dziewica.

— Dziewczę nie mów tego! odparł ojciec żwawo, bo on równie jak wszyscy starzy a wierni, lubo sam powstawał na ukochanego Pana, nie mógł znieść, aby mu kto inny przymawiał — nie mów tego powiadam! prawda, prędko, porywczy, może i zabywczy, bo młody! ale dobry, miłościwy, nie zastyszało jeszcze ludzkie ucho by komu ochotnie krzywdę wyrządził. A w potyczce jaki zuch!...

— O! ho wy panie ojcie na to najbardziej baczyć, byle szablą wywijać, a przecież to i innych rzeczy nie mało których się pomijać niegodzi. Alboż nasz Pan nie był wprzód synem błogosławionej matki swojej, nim berło odziedziczył? A kiedy ją w grobie złożyli czyż mu przystoi zabywać ten dzień, który niedawno ucztami i igrzyskami święcił.

— Dajże pokój!... a ja powiadam że to nie jego wina, tylko tych co go do koła obsiedli; toć Polacy, chrześcijanie, czemuż mu nie napomknęli co to dziś za święto?

— Bo wiedzieli że mu milej w lesie niż w kościele, a i ciężkoż zgadnąć że syn o święcie matki zapomni.

— Prawisz gdyby kaznodzieja dziewczyno! szkoda że cię król pan nasz nie słyszy! rzekł szlachcic z na wpół radością twarzą.

— Słyszał nieraz mój ojciec póki był księciem Bolesławem, i przychodził wieczorami do komnat królowej. Teraz, co innego! ale wtedy, kiedy dworskie dziewy wśród pieśni i gadek czekały, rychło książę rzuci okiem na którą by się uśmiechać i weselić, a on poglądał na mnie, albo mię zagadywał; — nieraz zamiast uśmiechu spostrzegł chmurę na czole, zamiast słodkiego słówka, wymówkę usłyszał.

— Słyszałem o tém, słyszałem! i dziwno mi było skąd tyle śmiałości wzięło się w młodém niewieściem sercu.

— O! niedarmo mię święta nasza pani uczyła, że przedewszystkiém Bóg i prawda! ja też zawsze mówiłam co czuło serce, i do śmierci taką będę.

— Bóg ci pomóż dziewczeczko! ależ na dworze królowej cór szlacheckich było nie mało, a żadna się nie ważyła na tyle.

— Tak! wszystkie mu pochlebiały, bo żadna jego sławy nie wzięła do serca. Ale ja, kiedym po śmierci matki stanęła na zamku, i usłyszała powieści o Wielkim Bolesławie, jakie to on walki staczał, jakie mądre prawa dawał, jak kmiotków od ucisku bronił, choć małym jeszcze byłam dziewczęciem, ale już mi utkwilo w głowie że jego prawnuk takim samym być powinien.

— A cóż mu to zarzucisz? że wojny nie toczy? bo niéma z kim, bo zewsząd spokojni sąsiedzi, ale niech-noby!...

— Wiem ojciec że mu na odwadze niezbywa, ale którzy z prostych naszych wojaków nie odważny? dla króla niedość silnej prawicy.

— Dość tego Heleno! a to widzę na dworze i dziewczęta się pięknej mowy nauczą.

— Nie dziwcie się! jabym chciała żeby go z dobroci i mądrości czciły narody po szerokim świecie, żeby w ten czas kiedy go do koła błogosławić będą, mogła powiedzieć z chlubą. — To towarzysz mej młodości! to mój król! mój pan!

Stary pokręcił węża, ale nic niemówiąc przyspieszył kroku, dziewczica także spuściła głowę na piersi, i tak w zupełnym milczeniu, doszli do białego dworu, sterczącego za lasem.



„**A** witajże nam, witaj gospodynie drogi!“

Temi słowy znanęj wówczas pieśni przywitano staro Masława, gdy wszedłszy do domu umoczył palce w glinianęj kropielnicy i przeżegnał się pobożnie.

— Witajcie bracia! zawołał gospodarz ochoczo, wyciągając to prawicę, to lewicę, ku zgromadzonym gościom, którzy w dom jego przybyli dzień świąteczny przepędzić. — Bóg wam zapłać sąsiedzi! **A** my tylko co z Krakowa.

— I nas tam było niemało, ale w tłoku to się i dojrzyć i powitać ciężko.

Ale gdzieżeście to bywali, toć my już z dobrą mszę siedzim przy ognisku.

— Boście pewnie konno, a my pieszkim; chcia-
łem ci i ja parę stępaków okiełznać albo wprzódz do
wozu, ale mojej Helce chciało się koniecznie uczcić pa-
mięć nieboszczki królowej: panie świeć jej nad duszą.

— Amen! i jabym tak zrobił żeby mi kto był po-
radził.

— I ja!

— I ja! bodajto młode dziewczę w domu! zawsze
temu najlepsza myśl do głowy przypadnie.

— Nie wam się żalić Mikłasz! u was choć nie
dzięwa, to hoża niewiasta dom przykrasza.

— Prawda że takiej żony jak moja Małgosia to warto
kilka latek poszukać; a gdybym powiedział że się naj-
dzie taka druga, to chyba ot nasza gosposia!

No Heleno! zwiń się żywo; do czeladni, do piwni-
cy serduszko, bo mi cię tu chórem chwalić gotowi.

Córka Masława zrzuciła obszerną szubę, zdjęła fu-
trzaną kołpak, i w zamorskiej szacie bogato a barwi-
sto przetykanej, snuła się między gośćmi, a za nią pa-
chołcy z konwiami, z cynowemi i glinianemi pułhary;
na jej skinienie krzepki parobczak dorzuca łupek w ogni-
sko, dziewuchy pokrywają stoły wełnianą osłoną,
zastawiają misy, przysuwają ławy; przez ścianę na ku-
chennym kominie trzeszczy łuczywo, i skwierczy sma-
żona słonina; pod szopą chłopaki poją i karmią ko-
nie; a Helena wszędzie okiem i słowem rzuci, porzą-
dek twardo trzyma, choć wesołości nie przeszkadza, a
w izbie mężowie okolili komin i piją a gwarzą ochoczo.

— Nie spotkaliście téż kogo po drodze, spytał Krzywosąd z Niesobi, starego Masława.

— Króla! rzekł starzec uchylając czapki.

— Jam go nie widział, alem słyszał róg jego, i domyśliłem się czemu nie był w Kościele, rzekł Miklasz z Zembocina.

— Upadła chwala Boża! upada! zawołał Zaręba, jakże lud ma się garnąć do pacierza a spowiedzi, kiedy Króla ni poświęcić w kościele.

— Jużci że dziś nie był na Skalce, to nie chwałę, odparł pan na Zembocinie, ale żeby co dzień tyle odmawiał pacierzy ile ich księża odmawiają, brońże Chryste!

— Pobożność nie wadzi panie bracie!

— Niech każdy patrzy swego, Waszmości miłe paciorki, to się módl, mnie szabla! a Królowi prędzej płatnąć Węgra albo Morawiaka, niż się pięścią bić po zbroi.

— Wszak dzisiaj samiście się w piersi bili, aż stalowy pancerz chrześciał i jęczał.

— To inna! bom się modlił za duszę tej, co mi Małgochnę wychowała.

— Widzicie! rzekł Zaręba; a toć nieboszczka powiła, wykarmiła, wychowała Króla, a on za nią dla tego i pacierza nie zmówił!

— Co nam do tego! zawołał młody Przeclaw Lasota: albowiem my królewscy spowiednicy?

— Nie spowiednicy, to poradnicy; zawsze co pan złego zrobi, to nam wymawiają.

— Przysięgam że z królewskich pacierzy nikt was rachować nie będzie.

— Nie z pacierzy, to z czego innego; wszakże teraz Króla i w senacie nie zobaczysz, tylko łowy, gonitwy, hulanki z Księżętą, a o potrzebie kraju ni słowa.

— W jakiejże to kraj potrzebie panie z Korabia, spytał znow Lasouta, wszak zewsząd cicho? a przecież pozwólcie Królowi pogonić zwierza po kniei, pohulać w komnacie, i pucharem przyjąć gości.

— Tém bardziej, rzekł Miklasz, że to nie tylko goście ale krewniacy; boć matka Królewska była jakoś cioteczną czy stryjeczną siostrą ojca tych Księżąt, co dziś w Krakowskim dworcu mieszkają.

— Prawda; niechżeby sobie jedli, pili, a wczasowali się po domowych frasunkach, uchowaj mię Boże, abym gościowi żałował w kraju wygody; odparł Jan z Korabia, ależ oni nie po uczyt przybyli do Krakowa. Wiście wy o tém dobrze Przeclawie.

— Nie wiem! nie mówili ze mną.

— I ze mną nie mówili, a wiem że namawiają Króla żeby z nimi szedł na jakąś potrzebę.

— Gdyby tak było, rzekł Lasota, to Bóg im zapłać żeby nas przecię w pole wywiedli.

— Już mi téż szabla zrdzewiała; dałby Bóg żeby ją wydobydź można!

— A Małgorzata Miklaszu? tożby wam nie żal rzucać młodą żonę?

— Sława pierwsza, miłość po niej panie z Niesobi.

— A cóżby nam ta wyprawa dobrego sprowadziła? bo żeby jeszcze walczyć za siebie, no! to nie żal!

— Co tam! za siebie, nie za siebie, byle w pole, byłem naszli przeciwnika, byle sobie nieco sławy do imienia przyrzucić.

— Prawda wasza Miklaszu! rzekł Lasota, i niech tylko Król zawoła: za mną! jam pierwszy za nim.

— I ja!

— Jużcić, kiedy pójdą drudzy to i my nie zostaniem, rzekł Krzywosąd z Niesobi.

— Chociem stary, dodał Masław, i ja w chacie nie osiedzę.

— Wiwat! krzyknął Miklasz.

— Wiwat Książęta!

I puchary wzniosły się w górę, miodowe dymy w podgolone czupryny; na wspomnienie wojennej wyprawy umilkły sprzeczki i zwady, rycerze w zupełnej zgodzie siedli do prostego stołu, a Helena pilnując żeby żadnemu nie zbywało na wygodzie, obeszła biesiadników kilka razy do koła, podsunęła im dzbanów, i siadła przy kominie.

Dziwna rzecz, że nasi malarze znający charakter krajowy, nie obierają za przedmiot prac swoich scen, w których ten charakter żywo uchwycićby można, poco nam wystawiać obcych rycerzy, kiedy ich myśl, ich

uczucia tak dla nas nieprzeniknione, jak nieprzebita żelazna zbroja pokrywająca ich piersi? Spójrzmy na Germańskiego z owych czasów wojownika; prawica jego tylko do miecza i czaszy; w oku surowość niezblągana, w rysach pragnienie walki nie dla zjednania sobie sławy, lecz dla ujarznienia słabszego — Gdzież ta pogoda myśli, ta szczerość, prostota odznaczająca naszych przodków? Oto przy stole Masława zebrani mężowie jedzą, piją i rozmawiają wesoło, tu kruczy włos okraża młodzieńczą głowę, tu siwizna zorane laty i trudem przysłania czoło, tu męzkim wyrazem zdobna twarz jaśnieje. Przed niedawną chwilą kornie chylili czoła przed tronem Najwyższego, jutro, jak Bóg da, albo wyjdą z pługiem na rolę, albo w senacie ławy radców zasiądą i głos poważny wzniosą w naradach o pomyślność krajową, albo nakoniec z tarczą i mieczem w pole bitwy wyruszą; a teraz jak spokojnie prawią o domowych sprawach, ten o żonie, ów o synu; na ich twarzach patryarchalna zaległa swoboda, a coraz to każdy okiem ciśnie na Helenę, która w dzień świąteczny chroniąc się pracy, rozłożyła na kolanach pargaminową księgę i w tym bogatym darze Królewskiej opiekunki czarne utopiła oczy.

Czytająca kobieta rzadkiem wtedy była zjawiskiem, biesiadnicy którym drobne głoski wydawały się zawsze niepodobną do pojęcia trudnością, z czcią i uwielbieniem poglądali na nią; nawet Jan z Korabia i Zareba, którym zapisane zwoje nie tak obcemi były, dziwili się,

jak rychło raz po raz mały palec Heleny pergaminowe swistki odwraca. — Ależ nie dziwy! córka Masława schowana w komnatach Królowej, od pierwszych lat swoich cheiwa nauki, nie próżno słuchała kazań i rozmów pobożnych a uczonych Księży. Benedyktyni których Król Kazimierz do Polski sprowadził, po dniach całych otwierali przed nim święte łacińskie księgi; lekarz Królowej Marji i starzy jej dworzanie czytali greckie i słowiańskie kroniki, a Helena tu i owdzie ciekawe zapuszczała oko, nadstawiała uważne ucho, i chwytła do duszy i pamięci czyste ziarno wiadomości i cnoty. Do dwudziestego roku przeżyła na zamku—opowiadania o życiu i czynach świętych mężów i niewiast, księżniczek i bohaterek Cesarstwa Greckiego, podniosło jej duszę, i usposobiło ją do najwyższego stopnia cnotliwych uniesień.

Po śmierci królowej Marji, Helena wróciła do ojcowskiego domu, zajęła opuszczone od dawna miejsce gospodyni, a choć prostotą, szczerością, i łagodnością, równała się nieoświeconym owego wieku niewiastom, nieraz smak jej wykształcony, wyższe uczucie, wybiegało mimowoli z ukrycia, i ściągało na nią wzrok i uwielbienie rycerzy, na dom jej ojca z dawna chlubnie znany, większą jeszcze świetność i chwałę.

Najczęściej z zebranych u Masława gości spoglądał na jego córkę młody Przeclaw Lasota i Mikołaj z Zembocina, temu bowiem cała postać Heleny przypominała młodą i piękną żonę, tamtemu może przywodziła

na myśl że i w jego dworcu kraśnie by się taka wydała niewiasta, wreszcie kiedy już wypróżniły się misy i dzbany były na schyłku, Mikołaj rzekł do Masława.

— Panie z Jastrzębie! u mnie, kiedy się zbierze gromadka braci, to i ja, i moja żona równieśmy im radzi; wyście nas misą i kiélichem dzielnie przyjęli, ale nie słyszeliśmy jeszcze głosu waszej córy a przecież niewieścia mowa milej niż brzęk dzbanów głaszcze po sercu.

Podochocony gospodarz odwrócił się do Heleny, która wsparłszy głowę na ręce, łokciem na kolanie spoczęła, i niby nie słysząc, nie widząc gości o minionych rzeczach myślała.

— Nie dumaj Helko moja! a powiedź raczej braciom i gościom naszym, coś czytała a słyszała od ludzi.

Helena wstrząśnieniem głowy odrzuciła od twarzy czarne pasma włosów, i poglądając na gości smętnym wzrokiem rzekła.

— Ciężkoby mi było zabawić dzisiaj kogo, bo wszystkie moje myśli poruczyłam Bogu, i opiekunce mojej; — na inny więc raz uczynię zadość woli waszej, a resztę tego wieczora pozwólcie mi skończyć na modlitwie, i rozpamiętywaniu dzieł i żywota nieboszczki Królowej.

— Wola wasza! rzekł Mikołaj, i my też to nie jedno o pobożnej Marji pamiętamy.

I poczęli wszyscy wznawiać minionych lat pamięć, każdy słówko wtrącił, to o cnotach Kazimierza i mał-

żonki jego, to o niepodobieństwie synów do enotliwych rodziców; — zwolna ochłodły rozgrzane napojem głowy, gospodarz i goście powstawszy przeżegnali się wodą święconą, a kiedy gwiazdy jasno zaświeciły na niebie, w komorze jastrzębickiej na słomie skórami pokrytej, sześciu mężów snem twardym chrapało, i Helena na dzień następną ostatnie wydawała rozkazy.

Paulina Krakow.





Przestańcie płynąć wy łązy dziecinne,
Przestańcie tęsknić uczucia niewinne!
Kiedy chcesz płakać — to wściekłości łzami,
Kiedy chcesz tęsknić — to gromów słowami.

Na co niewieście marne pieszczoty,
Na co w uspienia złote uploty —
 Wić duszę dziką i twardą —
O! to są błahe, łatwe ofiary —
Odepchnąć zimno — mamiące czary —
 Uśmiech — odpłacić pogardą.

Więc dalej śmiało — czoło schmurzone
 Uwieńcz wawrzynem zwycięstwa —
Kto pragnie drugim nieść cierń męczeństwa —
 Sam — niech ma z ciernia koronę!

Wł. Wolski.



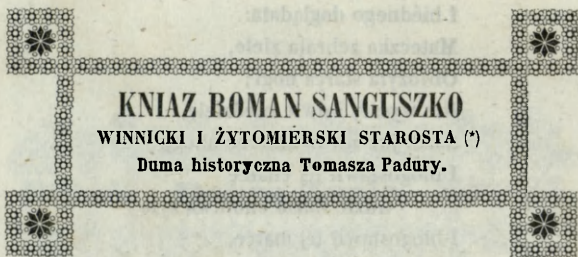


Hej staruszkule! co wam w nogi!“—
— „Bołą“ — odpowie ubogi,
— „Wstąpcie no do naszej chatki“ —
Mówiła Zuzia ze łzami,
Posiedzicie trochę z nami,
Ja mojej uproszę matki,
To wam poradzi na nogi“
— „Bóg zapłać, powie ubogi,“ —
I wszedł w skromne chłopka ściany.
Przyjęto go jak człowieka,
Długo na pomoc nie czeka,
Opatrzono jego rany.
A dziewczynka grzeczna zwinna.
Pobożna i dobroczynna,

W komórcie łoże usłała,
I biednego doglądała:
Mateczka zebrała ziele,
Obłożyła starca nogi;
Nie wyszły i dwie niedziele,
Szedł już zdrów starzec ubogi,
I błogosławił tej chatce
Gdzie Zuzia cnotliwa żyła
I błogosławił tej matce,
Co w serce cnotę wpoila.

Stanisław Jachowicz.





KNIAZ ROMAN SANGUSZKO
WINNICKI I ŻYTOMIERSKI STAROSTA (*)
Duma historyczna Tomasza Padury.

Noc była ciemna, wicher z niw szerokich
W dolinę z liściem pędził tuman szary,
Książęc niekiedy z pod niebios wysokich
Liczył goszczące nad Bohem Tatary,

(*) **Książę Roman Sanguszko** potomek **Olgerda**, był jednym z najznakomitszych wojowników XVI wieku, jak to ówczesni pisarze opiewają jednoznacznie. W 1567 roku na polach **Twańskich**, mając tylko 1900 ludzi wojska **Litewskiego**, 8000 nieprzyjaciół rozgromił. **Car Tatarski Amurat** w bitwie tej życie utracił. W tymże samym roku drugie równie znakomite odniosł zwycięstwo, w następnym 1568 z garstką wojska dobył warownego zamku **Uły**. **Znakomitych jeńców** tam pojmany, chorągwie i bogate

W góry daleko łuny wędrowały
 Od ognisk — przy nich śpiewali pohańce ;
 Lecz któż opowie ile łez wylały
 Pędzone w Jassyr chrześcijańskie brance!...

Z miasta Winnicy co w splawy obfite
 Stawiało zamki przy zamkach jak cudem;
 A wieńcem na gór wierzchołkach rozwite,
 Kwitło sadami, bogactwy i ludem:

Pustkę zrobili hordy Bissurmanów!
 Krew się toczyła wraz z kłębamii dymu!
 Po czarnym szlaku dla Murzów i Hanów
 Kwiat dziewięc naszych pędzili do Krymu.

Kniaź Roman podczas w Żytomierzu siedział,
 Sądził tam sprawę księżniczki z Ostroga,
 Lecz jak się tylko o krzywdach dowiedział
 Jakie ponieśli mieszkańc z nad Boha,

łupy oddał Zygmuntowi Augustowi na sejmie Lubelskim. W rok później, zbił pod Humanem Tatarów pustoszących Ukrainę. Czyny te zjednały mu dobre imię w narodzie i względy u króla. Umarł 1571 roku mając 34 lat życia, z wielkim żalem współziomków. Brat jego Dymitr starosta Czerkaski, sławny nieszczęśliwą miłością ku księżniczce Elżbiecie Ostrogskiej, uciekając z nią do Czech został roku 1574, od Marcina Zborowskiego zamordowany.

Pochwycił szablę — burką grzbiet narzucił —
 Krzyknął! i sotnie mołojcow stanęły!
 Przodem jak wichur z kopyta się rzucił
 Za niemi nieba w tumanach zniknęły.

*

*

*

Przez jakie szlaki Romana unosił
 Koń jego wrony, nie będę powiadał,
 Ani kłęk ciężkich nie będę wam głosił,
 Jakie on hordom Perekopców zadał.

Spojrzyj po stepów okolnych rozdrożu!
 Tam cię mogiły zaproszą w swe grona
 Lecz kości dawno przetlały w ich łożu,
 Tylko na grobach kruk kracze lub wrona!...

I tych już prochy wiatr w stepie rozwięwa
 Co nieśli hordom Tatarskim zniszczenie!
 Tylko ich czyny wiekopomne śpiewa
 Po Ukrainie szóste pokolenie!

Pamięć rycerzy wiekami nie ginie!
 Sławie wciąż ranek — dla niej noc nieznana
 Powiedz nam! powiedz! ty miasto Lublinie!
 Jakaś w twe bramy przyjęło Romana!

Młody król Zygmunt myślami trapiony
 Że na nim ma się ród Jagiełłów skończyć;
 Co kniaziów kołpak miał obok korony
 Chciał Litwę z Polską na wieki połączyć.

Za tronem pany co przedniejsze stały,
 W około krzesła zajął senat stary;
 A przed nim klęcząc Polsce przysięgały
 Kniazie Pomorza, Wołoch Hospodary.

Jakiż na białym jedzie rycerz koniu,
 Pierś jego cała żelazem pokryta
 Na tarczy pogoń pędzi w czarném błoniu
 A u kołpaka biała pływa kita.

Kraśne jak kwiaty bujnej Ukrainy
 Bystre sokoły naddnieprskich kurhanów,
 Tuż przy nim stepów pierworodne syny
 Wiodły w kajdanach Perekopu Hanów.

Król Zygmunt August skoro się dowiedział
 Że już Tatarzy nałożyli głowę
 Płakał z radości i z tronu gdzie siedział
 Taką rycerza powitał przemową :

„Kniazu z Lubartów Sanguszko Romanie!
 Mężny jak twoich przodków szereg długi
 Czyż podziękowań, nagród czyż nam stanie?
 Za twoje Polsce oddane usługi!

Pod Obertynem zielona dąbrowa,
 Tam orły wrogów ostatki roznoszą,
 A ciężkie żale po Janie z Tarnowa
 Między dwa morza dwa narody głoszą.

Bodajś z wszystkimi naszymi wrogami
 Sprawiał się zawsze w podobnym sposobie
 Bodajby kiedyś podobnemi Izami
 Naród zapłakał i na twoim grobie!“ ...

Tak to bywało u nas w dawne lata
 Gdy ród Jagiełłów tron Polski piastował,
 Naród miał mężów — męża cześć u świata
 Bóg nas w bogactwach i potędze chował.

Przepolszczył z Ukraińskiego

Marcin Ossoryja.





Smutno! i zawsze smutno!... badasz o przyczynę,
Spytaj tego co zimną zalega mogiłę
Czemu nie żyje?... czemu w podziemną dziedzinę
Uniósł myśli przeszłości — swego życia siłę?
Dlaczego, kiedy połysk jutrzeńki zabłyśnie,
Żywym słońce promieniem o ziemię uderzy,
Czemu on niepowstanie i was nie uściśnie,
Tylko — zimny — nieczuły — i zdętwiały — leży?!..
Dlaczego on w majowy rozkoszny poranek,
Albo gdy zima przestrzeń okryje lodami,
Nie wyjdzie chwilę na świat, jak świata kochanek,
Nie cieszy się wraz z wami i nie łąsa z wami ?

— On zimny — on nieczuły — może także smutny —
A jego duch żywotny na chwilach pokuty,
Spogląda na dział życia ubiegły, okrutny,
Usnuty cierpieniami — żalami okuty —
— Może patrzy, — jak błędne ścigając marzenia
Przybierał swe nadzieje w najpiękniejszy skutek,
Szukał kresu zawodów — niedoli, cierpienia —
Omylił się — i skończył: — spytaj go o smutek . . .

J. Sokołowski.





Oj menseli!
Bałtas meneseli!

Oj ty księżycu
Księżycu blady!
Jakież na licu
Twém ciemne ślady?

Liściu zielony,
Liściu dębowy!
Gdy przyszły szrony,
Tyś żółkły, płowy.


Oj ty dziewczyno,
Lilijo młoda!
Tobie łzy płyną,
Oczu twych szkoda!

— Płacę — bom sama!
Bo w duszy płama,
Taka księżycu
Jak na twém licu!

Płacę — bo z głowy
Wianek rutowy,
Więdnie powoli
Śród smutnej doli!

Płacę — bo wszystek
Wesela skarb,
Jak zimą listek
Odarty z farb!





ŻYCIE ZA UŚMIECH.

Powiaśka.

Cnoto! czezy dy mie!
Ja umieram w kwiecie wieku!

Tukaj.

Czy téz panowie wiedzą co to jest facjatka i jak ona wewnątrz wygląda? a! co téz ja gadam! z kądzeby panowie mieli o tém wiedziéć — panowie tak wysoko niechodzą — otóz ja objaśnię.

Facjatka, jest to część domu pod samym dachem, z oknem jedném lub dwoma, wysterczającemi z niego prawie jak kominy. Wewnątrz jest to trapez, trzy ściany są prostopadłe do podłogi, czwarta nachylona pod kątem ostrym. W oknach umieszczonych zwykle w tym pochyłonym boku, ledwo dwie osoby z wielką biédą obok siebie stanąć mogą.

Łatwo pojąć, że takie mieszkanie nie jest rozkoszne ani wygodne. Takich mieszkań szuka tylko ubóstwo, nędza — rzemieślnik partacz, wyrobnik, czasem student siérota lub aplikant myślący sam o sobie. Meble

znajdziesz tam odpowiednie apartamentowi. — Łóżko lub tapczan, stółek jeden lub dwa, stolik chwiejący się na wszystkie strony, trzymający się ściany jak pijany płotu — dzbanek do wody i szczotki do butów. — Na gzymsie od komina lub pieca kałamarz z piórem, służącym zarazem do przetykania fajek, lichtarz kaleka z papierowymi szczypcami — a w kącie izby pocieszycielka strapionych, fajka na długim cybuchu, czeka aż ją pan ucałuje.

Dodać do tego należy warsztacik jaki mały lub narzędzia robocze, jeżeli mieszkanie zajęte jest przez rzemieślnika.

Obraz zaiste niebardzo ponętny! ale ileżto razy ludzie z takich poddaszów wychodzą na świat olbrzymami. Z takiej lichłej skorupy ślimaczej, wypadają nieraz gromy, wstrząsające wszechświatem aż do głębi — wichry co go pchają w nowe tory — w nowe loty.

W jednej z takich facjat na ulicy Drzewnej w Warszawie, mieszkał Marcin Dzierżek uczeń szkół publicznych — sierota.

Oto właśnie otworzył okno, jedyne w jego pomieszkaniu, z kąd tylko dachy i kawałki ogrodów sąsiednich widać i niebo. — Spojrzał w górę — niebiosa upstrzone gdzieś srebrno-szaremi chmurkami, wesole, pogodne, — słońce w całym blasku południa tylko wiatr dmie mocny, porywając z równą obojętnością i kurzawę ulic i gorące westchnienia młodzieńca. On skrzyżował ręce na piersiach — tył głowy oparł

o ścianę, a oczy utopił w niebo i chmurki szybko po niém żeglujące. — Milczał, ale za niego mówiły wymownie oczy stęsknione, łzą zapływające, wzniesione do góry — szczególny jakiś wyraz ust lekko, mimowolnie, prawie niedostrzeżenie poruszających się — a nade wszystko ta pierś młodociana studenckim mundurem opięta, z której płynie westchnienie po westchnieniu.

Czyż może być wielkim, ciężar ugniatający pierś tak wątłą, dziecianną prawie?

Gdyby to można ze sprawiedliwością boską pogodzić, powiedziałbym, że są ludzie przychodzący na świat z piętnem nieszczęścia na czole. Wszystko w życiu jest przeciwko nim. Najpiękniejsze ich zamiary, jakaś ukryta ręka wniwecz obraca — najwznioślejsze ich poświęcenia udaremnia, w każdym kroku tamę im stawia — i zatruwa wszystkie źródła ich moralnego życia.

O! wy rozkosznicie, którzyście nigdy nieodzognali bolesnej straty, dręczącego pragnienia, palącego głodu, ciała i duszy! — wy co od kolébki w złote pieluszki obwici, stąpacie po jedwabnej dla was ścieszcze życia wesóło, lekko, bez troski, bez myśli, chyba o miłostkach albo o zabawie — o! wy mnie niezrozumiecie! — może zaśmiejecie się nademną — powiecie że przesadzam. A jednakże zaprawdę powiadam wam, są ludzie, o których możnaby powiedzieć: zrodzili się do cierpień.

Długo tak stał Marcin pogrążony w marzeniach, bo po jego głowie i sercu przesuwały się wspomnienia niedawnego dzieciństwa — pieszczoty niedawnego

dzieciństwa — obfitość — dostatki domowe — towarzystwo braci — i wszystkie szczegóły wyryte głęboko w pamięci. I sierota porównywał te złociste obrazy przeszłości, z terazniejszości grubym malowidłem; — więc westchnienia musiały z piersi ulatać i łzy musiały płynąć po licach.

W tej chwili drzwi się otworzyły i kolega wbiegł do izby huczno i żwawo. Przybliżył się do Marcina i wesołe słowa, które miał na ustach zgasły — spostrzegł smutek i łzy towarzysza, więc smutek zamroczył i jego oblicze. Są istoty w których uczucia jedne po drugich tak prędko zaświecają i gasną, tak prędko tak dziwnie z sobą się krzyżują, że łza i uśmiech prawie jednocześnie błyszcżą na ich licach. Biada takim czułym duszom — są to rośliny nie w swoim klimacie wzrosłe, lada chłód je z ziębi, lada zimno zlodowaci. Takich ludzi zsyła niebo ziemi jakby na przykład, na wzór do naśladowania — jakby na pokazanie czém będzie ludzkość gdy dojdzie do możebnej moralnej doskonałości.

Któż niezna przyjaźni szkolnej, owej przyjaźni co to na miłość zakrawa, taka w niej zazdrość? Otóż taką przyjaźnią kochali się Marcin z Michałem.

Michał syn bogatych rodziców, ich pierwsze oczko w głowie — chluba nauczycieli — pieczętka wszystkich — opływający we wszystko, młodszy nieco od Marcina, było to stworzenie tak miłe, tak lubie; że nie można było go niekochać. Każdy patrząc na niego my-

ślał: „Szczęśliwczę! twoje życie będzie snem rozko-
sznym, poetycznym marzeniem — niedotkniesz się zie-
mi w twojem życiu całym — brudy społeczeństwa
nieskalają cię — samą tylko słodycz wypijać będziesz
z kwiatów życia — gorycz ich nie dla ciebie! — Dla
ciebie tylko raj życia! dla ciebie tylko niebo życia!

O! ludzie! o prorocy! dla niego tylko piekło życia!
słyszycie? dla niego tylko piekło życia!

Obaj oni z urny przeznaczeń też same wyciągnęli
losy — czarne — tylko młodszy miał cierpieć krócej.

— „Chodź do mnie“ rzekł Michał—, „tutaj tak ciasno
i ciemno — u mnie w ogrodzie weselcj, — i wyszli.

Ale niesama przyjaźń zajmowała serce Marcina. —
Jest jeszcze istota dla której on żywi głęboko w serce
wpojoną, całe życie trwać mającą miłość. — Bo też
Marja godną była takiego uczucia. Nie myślę malo-
wać jej obrazu bo nie pięknnością ciała zaczarowała
Marcina. Nie od pierwszego spojrzenia wkradła się
do jego serca.

Niemaló czasu upłynęło od pierwszego ujżenia jej
do chwili, w której poznał że bez Marji, niema dla niego
szczęścia w życiu, że bez Marji żyć mu niepodobna.

Miłość więc Marcina, niebyła gwałtowną gorączko-
wą namiętnością, w jaką wprawia widok artystycznej
piękności, dopóki nie przesyci. — O! nie! było to po-
wolne, co dzień, co chwila, głębiej i szerzej wpijające
się w serce uczucie; aż wpilo się tak, że stało się nieroz-

dzielném, że je tylko wraz z sercem wyrzćby trzeba. — Widzenie jćj, rozmowa z nią, była mu tak koniecznie potrzebną, jak nieszczęśliwemu samotnikowi wiara w przyszłe życie.

Marja niebyła piękną — znał wiele piękniejszych od niej — dla czegoż ją przeniósł nad wszystkie? Nie potrzebuję mówić, że nie była bogatą, bo w wieku Marcina majątek nie stanowi wdzięków, nie pociąga serca. Nie przynęcała do siebie, ani błyszczącym dowcipem, ani szumną uczonością. — Sztuka wabienia była jćj zupełnie nieznaną, dla czegoż Marcin pokochał ją tak: że Marya dla niego była życiem i szczęściem życia? — Byłażto harmonja sprzeciwieństw lub owa chęć dopełnienia samego siebie, o której tak dziś siła krzyczą filozofy? On nie powiedział sobie: będę ją kochać dla takich a takich przyczyn — pokochał ją bez woli, bez rozumowania, bez pojęcia dla czego. — I tak jest z każdą prawdziwą, bezinteresowną miłością. — Jest to jakiś pociąg mimowolny — powiedziałbym popchnięcie siły władającej światem.

Taka miłość zapisana tam — wysoko — taka miłość to przeznaczenie — taka miłość zwichnięta, niedoszła swego celu, jestto grzech mówiąc religijnie — inaczej, jest to chybione postannictwo — trucizna Tofany — męczarnie piekielne!

Marja zrozumiała miłość Marcina i odpłaciła ją zupełną wzajemnością.

Kto kochał prawdziwie, ten wie, że miłość choć naj-niewinniejsza, nie lubi cudzego wzroku. — Chciałaby być zawsze samą, nieprzerwaną, niewidzialną, niesłyszaną. — Łatwo pojąć dla czego. — Nie przez wstydlivość, bo miłość prawdziwa jest cnotą, bo miłość czysta jednej istoty prowadzi do miłości ogólnej; ale dla tego że niemasz miłości bez zazdrości.

Lecz zrozumiecie, mnie co ja rozumiem przez zazdrość.

Pospolicie zazdrość miesza z podejrzaniem, lecz mnie się widzi, że może być zazdrość bez podejrzania. Podejrzanie brudzi miłość.

Zazdrość jestto chęć wyłączonego posiadania, posunięta do chciwości skąpca. — Ja zazdroszczę jednego wyrazu, jednego ukłonu, jednego spojrzenia, jednego mgnienia oka które nie jest dla mnie — a cóż dopiero uczucia! — Jak skąpiec widzę tylko skarb mój i stratę moję. — W ludziach, gościach widzę złodziei, którzy mi kradną po części mego szczęścia.

Dla teje samej przyczyny miłość nie lubi opisów — kochankowie zwykle są skryci — tają się z miłością swoją, jak skąpiec ze skarbem.

Nazwisko, imie nawet osoby ukochanej, wymówione przez drugiego, przykrość sprawia.

Czując to dobrze, niemogę wbrew temu postępować, nie będę wam opisywać miłości Marji i Marcina. — Nawet gdybym chciał, mówiąc szczerze, niepodołałbym temu. — Życie ich, choć jakąś tęskną smętnością ocie-

nione, było jednak szczęśliwe, prawdziwie szczęśliwe, a takie obrazy nie dla mnie!

I tak mijają dni i lata — młodzieniaszek zmienił się w dojrzałego młodzieńca. — Kochankowie marzyli o szczęściu rzeczywistém, o połączeniu się — o życiu pod jednym, własnym dachem, w ustroni cichej, spokojnej — Boże! Boże! cóż w tych marzeniach było godnego kary? tak okropnej kary!

Nadzwyczajne okoliczności zmuszały Marcina do podróży dalekiej. — Okropna była chwila pożegnania — możnaby słusznie powiedzieć o niej;

„Ach! ta chwila jak piorun a jak wieczność długa!
„Na strasznym chyba sądzie taka będzie druga!“

Z rozdartemi sercami rozłączyli się kochankowie. — Dziwny los zrządził, że i Michał jednocześnie pożegnał rodzinę. — Obadwa więc puścili się w drogę — ale czy wrócą? czy oba wrócą?

Serca młodzieńców biją pośpiesznie, bo je przygniała ciężar tęsknoty, chęć powrotu — ale czas zachowuje swój zwykły chód obojętny, zegarkowy.

Kamienny starzec! jego nic nieporuszy, ani radość ani smutek — głuchy równie na błagania najtkliwsze, jak na przekleństwa najwściekłejsze; idzie i idzie jak szedł — jak pójdzie — nigdy inaczej. — Czy on się kiedy zatrzyma? Sprężyna nagląca go do ruchu, czyż nigdy nie zardzewieje? nigdyż się nie przetrze? Dla Michała już to pytanie nie jest zagadką! dla niego wybiła już

ostatnia ziemską godziną — po kilkomiesięcznej chorobie, przeniósł się tam, z kąd przybył zanadto wcześnie.

Gwiazda zgasła! czyż przepadła?.. nie! bo to była gwiazda nie iskra!

A w domu Michała wszyscy wyglądają go niecierpliwie. — Czeka ją i czeka ją — Czeka ją szczęśliwie! czeka ją do śmierci! czeka ją! ja wam tym czasem zaśpiewam piosnkę, którą mi piastunka w bezsennych nocach nad kołyską nuciła:

Przeszła jesień i zima
 Jego niema i niema!
 A on już leży w grobie!
 A nad nim kwiatki rosną
 A rosną tak wysoko
 Jak on leży głęboko.

Piosnka nie wesoła! i cóż począć! losu nie przemienisz — jakie życie, taka piosnka!

Boże! mój Boże! co znaczy życie tak wcześnie przecięte? wszak w tym Twoim wszechświecie, niemasz źdźbła nawet, któreby nie miało celu swego istnienia? Najlichsze żyjątko, jętka, co ledwie urodzi się już niknie; dla której sekunda wiekiem: i ta ma cel jakiś zakreślony, a on!.. czemuż mu dałeś życie jętki? innym życie kruka? mnie życie bez końca?!

Tak myślał Marcin wracając do domu. Nazywał życie swoje życiem bez końca, bo wycierpiał już duszą i ciałem, nadzwyczajną miarę goryczy — a przeczuwał, że jeszcze miara nie spełniona, że jeszcze wiele brakuje!

Jednakże w domu, miało go spotkać szczęście długo oczekiwane. — Marja przywitała go tak, jak tego pragnął. Marcin był najszczęśliwszym z ludzi. Ona mu powtarzała, że go kocha zawsze jednakowo. W krótkie ślub połączy ich z sobą na zawsze.

Na czas jakiś przed weselem, Marcin wszedł do pokoju bawialnego w domu rodziców Marji. Był już późny wieczór, dzień gorący — okna otworzone — w pokoju cicho, pusto, — tylko przy jednem oknie coś się bieli. To ona — Marja. — Opuściła głowę na ręce — oczy utopiła w księżyc, a myśli błądzą Bóg wie gdzie! — Marcin z cicha zbliżył się do niej, objął jej kibić, przycisnął do serca i płomienny pocałunek złożył na jej czole. — „To ty!“ zawołała — „Marcin!“ „Tak! twój Marcin — twój na wieki“ — i usiadł obok niej pieścił się z jej rączką drobniutką i patrzył w jej oczy i czoło, całą swą duszą ognistą. Ona znowu błądzi gdzieś myślami — ręka jej bezwładnie przyjmuje uściski Marcina i westchnienie ciężkie, bolesne, na wpół-przytłumione, wypłynęło z jej piersi, długo — smutno. On głębiej wzrok w nią zanurzył — i badał — „Marjo“ z cicha zawołał — ona niesłyszcy — „Marjo!“ powtórzył głośnie — zadrżała — „ach“!... — „Marjo o czém ty myślisz? — tyś smutna! — poco to westchnienie?“ ... — „Och! to nic mój drogi! to z przyzwyczajenia... — tak długo tęskniłam za tobą, że już smutek w nałóg mi się przemienił.“ — „Marjo! czy ty mnie kochasz?!... czy ty mnie kochasz tak jak dawniej?“ — „Gdybym cię nie-

kochała,.. W tém ktoś wszedł—Marja skończyła tylko uściśnieniem ręki. On nie spuszczał z niej oka — mało go obchodzi, czy i kto przyszedł — smutno mu i rzewno, bo mu się zdaje że dawniej na to zapytanie inaczej odpowiadała.

Myśli i duma — rozbiera przeszłe i terażniejsze jej postępowanie — spostrzega, że tak wesoły niegdyś charakter Marji, dzisiaj często bardzo, zadumanie i smutek przeplata — Czegóż się smuci? wszak wszystko złe już przeszło, on przy niej, ołtarz ślubny już przystrojony — kobierzec na którym ma ukłęknać z kochankiem, już rozpostarty — najulubieńsze mary, tak długo zwodnicze, wkrótce się urzeczywistnią. — Tak, myślał na koniec, może ona prawdę mówi! — Tak długa tęsknota, tak długie oczekiwanie wciąż zawadzone, mogły jej myśli smutną powlec barwą i serce napęłnić zwątpieniem. — Ona jeszcze niedowierza naszemu szczęściu, ale mnie kocha tak jak dawniej. Ślub skończy niewiarę — znów będzie wesołą.

Po ślubie małżonkowie wyjechali na wieś, tam żyli sami dla siebie — domowa zagroda była dla nich światem. — O! są złote chwile w tém życiu! — Ta ziemia, doliną płaczu nazwana, byłaby rajem, prawdziwym rajem — potrzeba tylko miłości! tylko miłości! — Szczęście ludzi od ludzi zależy. — Miłość kochanków rozdmuchnąć szeroko, daleko — za granice zmyślane krajów, do krawędzi świata, w nieskończoność — ta nieskończona przestrzeń byłaby niebem!

Kochać! kochać! oto jest najwyższa mądrość! w miłości szczęście — w miłości zbawienie — w miłości wszystko!

Marcin był szczęśliwym; ile tylko człowiek na ziemi być może, bo kochał i wierzył że jest kochanym. — I czas szedł zwyczajną drogą, ale spodziewana zmiana w postępowaniu Marji nienadchodziła. — Wprawdzie przy nim miała zawsze uśmiech na ustach, pogodne czoło — miłosne spojrzenia — ale gdy zostawała samą, bez świadków; prędko znikał uśmiech z ustek, a czoło powlekało się chmurkami, które nieraz łzawym deszczem, przygaszały ogień niebieskiej żrzenicy.

Gdy w takim stanie zszedł ją Marcin i nagłębami błaganiami, dopytywał się o przyczynę smutku; ona uląc głowę do jego piersi z wstydliwém pomieszaniem, zapewniała go: że jedynie nieobecność jego była tego powodem, że jej tak przykro, tak trudno żyć bez niego, choćby chwilkę jedną. — A mowę jej przerywały łzy rozczulenia, łzy miłości, z pozaktórych powoli pokazywał się uśmiech.

Jakże łzom niewierzyć! łzom kobiety? łzom żony?! — więc Marcin wierzył i szalał z radości. — To pieścił ją i ścisnął, to znowu przypominał sobie, że smutek zabija powoli; i błagał ją aby więcej uważała na swoje zdrowie, które dla niego jest wszystkiem. Ona obiecywała, przyrzekała poprawę.

Ale obietnice niespełniały się, a lica Marji coraz rzadziej coraz bledszy krasiał rumieniec. Nieraz nawet

w objęciach Marcina, tęsknota jakaś chyliła wzrok jój ku ziemi, i myśli unosiła daleko — choć uśmiech wesoly spoczywał na ustach. — Ten uśmiech zda się że przyrósł do nich, bo jest zawsze, niczem niespędzony — zda się nim mówić do męża: „kocham cię! jestem szczęśliwa.“ — Ależ ten uśmiech, jakże nieraz niezgodnie odbija; od chmurnego czoła i oczu łzą zaszyłch!

Marcin już się niepyta, ale dręczy się myślą, „ona coś tai przedemną!“

Pewnego dnia, wcześniej niż zwykle ukończył swe zatrudnienia codzienne. Jakiś ciężar, ugniatał mu serce, smutne myśli wiły się po głowie, — szedł więc tam, gdzie jedynie mógł się spodziewać pociechy — do pokoju żony. Tak w godzinach piorunnej nawałnicy, nabożny pustelnik ucieka się do krzyża, znaku zbawienia, i patrzy weń i modli się do niego. Już spokojny, bo przy nim jest wszystko jego — cała jego wiara, nadzieja i miłość.

Drzwi były otwarte na rozścież, upał był nieznośny. — Marja odwrócona tyłem do drzwi, zadumana, niesłyszała jego wejścia. — On zbliżył się na palcach — chciał ją niespodzianie przestraszyć. — W tej chwili jakiś zły duch szepnął mu: „cicho! zobacz co pisze.“ — Marja jedną ręką podpierała czoło, drugą trzymała przy oczach chustkę. — Świeże łzy błyszczały na liście, jak krople rosy na licach białej lilii. — Marcin spojrzął i przeczytał:

„*Droga! jedyna moja Emiljo!*”

O! ratuj mnie! bo już sił mi niestaje! — Cierpienia moje przenoszą wszelką miarę. — Udawać! całe życie udawać! płakać sercem, a śmiać się ustami — kochać innego, a innego pieścić, innego pieśczoćy odbierać i wiecznie się obawiać, aby ta kłamana miłość nie zdradziła samej siebie: że jest tylko dotrzymaniem słowa — litością — a najwięcej szacunkiem! O moja Emiljo! to los twej przyjaciółki!

Kłamać miłość, kochając kogo innego! czy ty pojmujesz całą tych słów okropność?!.. — Czuję, ale za późno, że to poświęcenie przechodzi siły moje — słabnę, nienknę powoli — widzę jak z każdym dniem, zdrowie się moje pogorsza — a ja śmiać się muszę! — muszę udawać wesołą! bo jabym go zabiła, gdybym mu dała poznać że go niekocham! — A on mnie tak kocha! — Tak! życie moje oddałam za jego życie. Józefie! Józefie! pocóż cię poznałam! O! Emiljo! natchnij mię mężstwem twojém, wlej we mnie tę siłę wytrwałości w dobrém. Niech skonam — życie niczém już dla mnie — ale niech on nigdy nieodgadnie, że Marja, tylko dla zachowania mu życia z nim się połączyła — tylko dla dotrzymania przyrzeczenia, tylko z litości — że Marja przestała go kochać. Tyś pewno niedawno widziała — ty wiesz, Józefa! on już pewnie zapomniał o mnie! powiedz, wszak prawda? — nie taj przedemną! błagam cię!“ ...

Marcin przeczytał do końca, i żaden, choćby najłżejszy ruch, nie zdradził jego bytności — wyszedł niespostrzeżony. — Jest więc w sile człowieka, tyle mieć mocy nad sobą?!

Czy wy uwierzycie szczęśliwcy, że są chwile w życiu, w których człowiek traci władzę myśli. — Wtedy patrzy nie widząc, słucha nie słysząc. — Wszystkie siły duszy straciły ruch — wolę.

Na jego warsztacie mózgowym, ani jedna myśl się nierozpina — ostatnia błądzi z cicha po ustach, albo brzmi w wyrazach, ale niema w niej ducha, tylko ruch automatu. — Zgadłbyś, patrząc na tę bezwładną budowę, że niedawno musiał w nią grom uderzyć i sparaliżował wszystko co było samodzielnem.

A czyż jest pocisk straszniejszy, dotkliwszy, bardziej rodziérający duszę, jak zazdrość? jak zawiedzenie w najmiłszem uczuciu? jak utrata istoty, którą się kochało nad wszystkich i wszystko? — Jednego z nich dość, aby w szaleństwo wprawić człowieka; Marcin odebrał je wszystkie razem, jednocześnie — nie dziw więc, że przybywszy do swego pokoju, głazem rzucił się na krzesło, i martwe, jakby kamienne oczy, zanurzył w niebie widném przez otwarte okna. — Czy tém niemém spojrzaniem, chciał wyrzucać niebu te cierpienia, któremi go tak hojnie obsypało — czy szukał w niem pomocy? wsparcia? ulgi? — nie! było to spojrzenie człowieka, pozbawionego woli i myśli.

Jest w nas dziwna władza, czasem objawiająca się, w wielkich chorobach ciała lub duszy. Jakaś nagła, niewiedzieć z kąd wzięta rada, podająca lekarstwo. — Jestto coś magnetycznego, coś przechodzącego wszelką wiedzę ludzką. — Chory, wymawia to lekarstwo, woła o nie — domaga się go gwałtownie. — Z kądże ma pewność i wiedzę tego lekarstwa?

Otóż i Marcinowi, przyszło na myśl lekarstwo skuteczne, niezawodne, jedyne — śmierć — zabójstwo. I ten wyraz czas jakiś powoli, machinalnie, bez myślenia, brzmiał w ustach jego; aż powoli wkradł się do duszy, skamieniałe oczy znów ożywił i warsztat myśli znowu do ruchu powołał. — Marcin się zbudził, przetarł silnie czoło — ścisnął skronie (śnać głowa nie mogła pomieścić w sobie téj myśli nowej) — długo, długo milcząc dumiał — aż wyrzekł nakoniec stale, zimno, z rozmysłem: umrzeć!

W dźwięku tego wyrazu; nie rozpoznałbyś żadnego uczucia, gdybyś jego znaczenia nie rozumiał. — Wymówił go tak, jak rachmistrz ogólną summę z rachunku wypadła.

Och! bo i on rozważał, mierzył, rachował! i wyrachował, że wszystko utracił, że już nic nie ma na świecie, że go z tym światem nic nie wiąże — że śmiercią swoją uwolni, uszczęśliwi Marję — więc rozważywszy wyrzekł ostatni wyraz rachunku: — umrzeć.

Wstał, zdjął ze ściany pistolet i zaczął nabijać. A tak duszno w pokoju! a tak ciężko na sercu. — Przystą-

pił do okna, wychylił się do ogrodu i połykał powietrze całemi piersiami, jakby czuł że śmierć ma w sobie, że mu trzeba tchu, tchu nowego. — I spojrział na niebo, na ogród, na wszystko co go otaczało, ostatniem, pożegnalnym spojrzeniem. — A wszystko tak mu się wydało lube, miłe, piękne, godne kochania! — i wyrzekł z westchnieniem z cicha powoli: umrzeć!

O! teraz odgadłbyś z dźwięku tego wyrazu, że mu żal świata. — Zapewne wspomniał na swoją młodość, na złote nadzieje, na przeszłość tak krótką z Marją przepędzoną — na przyszłość jaka być by mogła, gdyby go kochała! — Zamyślił się głęboko — długo — długo — aż znowu się zbudził i wyrzekł nagle: umrzeć!

Ha! teraz z brzmienia tego wyrazu, zgadłbyś, że myślał o sile swego dla niej uczucia, które ona odplaciła litością — o tym, co w czasie jego niebytności, wpelzł jak żmija do jej mieszkania — zatrutemi słowy zczernił, poplamiał, zamazał w jej sercu obraz jego; i póty pełzał i łasił, aż wykradł jedyne, ostatnie jego dobro na ziemi: miłość Marji.

Nagle śmiech szyderczy, krótki, przymuszony, gorycz całego życia w sobie mieszczący, rozległ się dziko po pokoju i ucichł. — Bo Marcin położył na szalę, z jednej strony tak dawne, tak wielkie, tak czyste uczucie swoje dla niej; wszystkie zasługi swoje, wszystkie tyloletnie cierpienia ciała i duszy — z drugiej Józefa moralną nicosć, pokrytą ładną powierzchownością, — i przeważyła szala Józefa!

Więc Marcin śmiał się, bo pomyślał: „a więc nawet w jej oczach miłość prawdziwa — to nicość! cnota — to nicość! — cierpienia dla cnoty — to nicość! powierchowność wszystkiem!“

Podniósł w górę oczy i zadrzał.

Przed nim, był portret Marji, w całym blasku jej urody. — Oczy zwrócone ku niemu — te oczy, w których tylekroć szukał i znajdował rozkosz — szczęście — niebo. — Na ustach Marji ten uśmiech anielski, tak słodki tak powabny, tak pociągający! ten uśmiech jej zwykły, którym już więcej nieskłamie swego szczęścia. — Marcin już go dobrze zrozumiał.

Długo wpatrywał się w rysy Marji smutnie, w milczeniu, wzrokiem spokojnego wyrzutu. — Potem chwycił pistolet, odwiódł kurek — przyłożył do serca — i spojrzał na obraz. Na ustach Marji, w oczach Marji ten sam uśmiech co wprzód spokojny, miłośny, szczęśliwy, kłamany.

I Marcin opuścił rękę — odrzucił pistolet — i znowu spojrzał na obraz.

— „Ach! tak i u niej, jak na tém płótnie uśmiech zawsze — uśmiech zawsze! zawsze kłamany! I cóż mi po tym uśmiechu? wiem już dzisiaj co się pod nim ukrywa! Kto cię prosił o litość? kto cię prosił o poświęcenie? — Twoja litość, jest najsroźszem dla mnie cierpieniem — twoja litość mnie zabija. — Litością spoilaś węzeł, który tylko śmierć rozerwać może — śmierć moja — tak śmierć za uśmiech! — Tak! umrzeć trzeba!

ale wprzód muszę ci się odplacić. — Umrzée muszę, ale nie nagle, bo zniknąłby ten uśmiech twój szczęśliwy! a tak ci z nim do twarzy! — Muszę umiierać powoli, śmiejąc się tak, jak ty się uśmiechasz — tak! twoim własnym uśmiechem!

I Marcin porwał zwierciadło, postawił przy obrazie i śmiał się — ale piekielnie!

A dwa te uśmiechy, nieba w obrazie i piekła w zwierciadle, walczyły z sobą długo, upornie, zajadle — i taka walka trwała co dzień, co godzina, co chwila. — Z płótna, ze szkła, ta walka przeniosła się do głowy, do serca, wplotła się w życie, we wszystkie czynności życia. Pojednanie, upodobnienie tych uśmiechów, stało się celem życia Marcina. — Zamknięty w swój pracowni, tak całe dni trawił na tej nauce.

Tak przechodziły i noce — zasypiał z uśmiechem na ustach, budził się z tymże samym uśmiechem — i wytrwałość zaczęła zwyciężać: uśmiech zwierciadlany, codzien podobniejszy do uśmiechu Marji — zdrowie ucznia, coraz węższe.

Za obrębem pracowni, postępowanie Marcina było takie jak dawniej — nigdy, niczym, nie zdradził co się w nim dzieje. — Marja widziała go zawsze jednakim, niezmiennym, wesołym.

Tylko od czasu przeczytania jej listu, żadnej od niego nieodebrała pieśczoły, ani jednego uścisku.

O zachodzie słońca, w pięknym dniu wiosnowym, Marcin siedział przy Marji na ławce darniowej ogrodu.

Ona zajęta była czytaniem — on założył ręce na piersi i patrzył w nią, tak, jak się patrzy wtedy, kiedy na długo mamy się rozłączyć, kiedy rysy kochanej istoty chcemy zachować w sercu na długo — o! na bardzo długo!

— „Marjo! pojedziemy do Warszawy.“

Ona rzuciła książkę, spojrzała na męża. — W tym wzroku, przebijała się najżywsza radość, z niedowierzaniem połączona. — Zgadnicie co się w nim działo — tego opisać niezdolam.

On wiedział przyczynę téj radości — w Warszawie Józef — kochany Józef! ów Józef!

I zazdrość, ten skorpion serdeczny, szarpał duszę Marcina i dręczył całą wściekłą mocą swego żądła. A twarz jego była spokojna — z twarzy nic byś nie wyczytał — tylko była błądą, bardzo błądą. — Marja nieuwagała tej nadzwyczajnej bladoci — może powoli przyzwyczaiła się do niej — może téż myśl że wkrótce ujrzy Józefa, wszystkie inne myśli usunęła tak, że nic innego widzieć nie mogła.

Kończyła czytanie, albo raczej udawała że czyta, a duszą była w Warszawie — przy Józefie — była szczęśliwą jak dawno niebyła.

Ale dni lecą a Marcin niewspomina o wyjeździe — Marja zaczyna tracić nadzieję, aż dnia jednego rzekł znowu Marcin:

— „Marjo! wybieraj się — jutro jeśli chcesz pojedziesz do Warszawy — mnie interessa wzywają w innej strony — gdy powrócę, uwiadomię cię — a tymcza-

sem pobędziesz u rodziców — tak dawno niewidziałś się z niemi.“

Nazajutrz z rana wszystko było gotowe do odjazdu — Marcin jeszcze leżał na nietkniętej pościeli — całą noc bezsennie przepędził. Słyszał on od świtu przybory, krzątania się do drogi — i on do swojej już był gotów!

Zapukano z lekka do drzwi—to Marja—„można“ rzekł Marcin — i weszła. — W podróżnym ubiorze, jednakże tak powabna, tak ponętna! — Rumieniec szczęścia ubarwiał jej -lica — oczy żywszym jaśniały blaskiem — radość przebijała się w każdym ruchu. — On odwrócił twarz do ściany, aby niespostrzegła boleści jaką mu zadaje. — Gdy ją znowu podniósł do Marji; już oblicze błyszczało pogodą, spokojem, wesołością nawet.

Ona zbliżyła się ku niemu, — mówiła słowa pożegnania — on tylko patrzył na nią i milczał — przystąpiła tak blisko jakby pragnęła uścisku — on tylko ujął jej rękę — pocałowała go w czoło — on nieodał jej pocałunku, tylko ucisnął jej rękę. — Tylko gdy odchodziła, podniósł się nagle, wyciągnął ramiona, jakby chciał ją pochwycić i przycisnąć do siebie na wieki — ale się wstrzymał i tylko wyrzekł — „żegnam cię.“ — Tak z cicha, tak słabo, że może nawet nie słyszała.

A na usta jego wypłynął uśmiech — ów uśmiech tak długo uczony, naśladowany, trafiony doskonale —

prawdziwy uśmiech Marji, tak prawdziwy; że sama wzięła go za prawdę i rzekła sama do siebie, może nawet z pogardą: „on szczęśliwy“ — i znikła. — Marcin westchnął przeciągle — opadł znowu na łożę z oczami wlepionymi w miejsce, gdzie ją widział raz ostatni — znikł sztuczny uśmiech, i nastąpiła cisza, cisza prawdziwie grobowa.

Nagle, rysy oblicza Marcina, zaczęły się ściągać, kurczyć, wydymać, siniéć — następowało konanie powolne, bolesne, wiedzące o sobie — rozmyślne. A żadna, choćby najcichsza skarga; nie zdradziła wewnętrznej męczarni. — Cisza okropna!

Nagle, na dziedzińcu zatętnił powóz — to Marja odjeżdża do Warszawy — tam ją czeka miłość, rozkosz, szczęście.

A w pokoju Marcina rozległ się jęk bolesny, przeciągły, jedyny i ostatni!

Któż jój powie że go zabiła?!

Skrzywione rysy boleśnym konaniem, nagle wróciły do zwykłego kształtu; i przypadkiem, czy z nawyknięcia; ułożyły się w ten uśmiech Marji miłośny, szczęśliwy, kłamany!

Pisząc tę powiastkę, najstarszy mój towarzyszu i przyjacielu, Aleksandrze! A—czu! miałem na myśli ciebie i jeszcze kogoś. Dla ciebie, na tę nitkę powieści, nanizalem wspomnienia, może niebardzo do niej przystające,

smutne wspomnienia! — znasz ich wartość prawdziwą. Niepatrz na tę pracę moję okiem artysty, krytyka, sędziego. Wierzaj mi, że pisząc, ani myślałem o sukience, w jakąby ją ustroić. Czy będzie ona do twarzy powieści mojej, czy nie. — Nietrzymałem się żadnego kroju. Myśli szły jak im się podobało. — Ja tobie chciałem dać kilka rysów znanego ci oblicza — komuś... przestroge. — Weź tę powiastkę za jeden z listów naszych dawnych, niedługo myślanych, pisanych jednym pociągiem pióra — w których widać serce, tylko — serce i rękę wyciągniętą do braterskiego, serdecznego uściśnienia.

3 września 1843 r. w Warszawie.

Karol B. z Jarosławca.





W jednym z tych pięknych, mroźnych poranków jesieni,
W których jak łza tęsknoty listek z drzewa spada,
Jak twarz biała dziewczicy, słońce się promieni,
Jak jej westchnienia — ciągną liczne ptaszków stada.

Na pożółkłej murawie siedzenia w altanie,
Widnieje jakaś postać nieruchoma, biała —
Nieruchoma, bo chyba w dzień sądu powstanie!
Bo już się grób pięknego domaga jej ciała!

Oczy zwarte na zawsze — te oczy, jakiemi
W niebie patrzeć na Boga mogliby anieli,
Jakiemi cnota, wzniosłość; pogląda na ziemi,
I miłość gdy ją szczęścia nadzieja weseli.

Te oczy już zagasty — w głąb zapadły głowy,
 Jednak jeszcze tak piękne jak róż białych pączki,
 Kraglą je równolegle dwóch łuków połowy
 W kształcie ciemnej z jedwabiu uwitej obrączki.

Zsuwa się z ramion lekka, powiewna sukienka,
 Wiatr zerwał chustkę z szyi co powaby chroni,
 Już nie spieszy jej podnieść opuszczona ręka
 Bo śmierć ni się przed okiem ni zimnem nie słoni.

Włosy, śliczne blond włosy — rozpuszczone w wiązki,
 W żałośnych rzutach słońią, to odstonia lica,
 Wydają się jak wierzby płaczącej gałązki,
 Pod których cieniem tęskni z marmuru dziewica.

Głowa zwieszona, wsparta o drzewko altany,
 Zwrócona ciągle w stronę, gdzie ojca mieszkanie —
 A żal śmiercią niestarty, po twarzy rozlany
 Świadczy że mu ostatnie stała pożegnanie!

Nie zbyt dawno w altanie na tém miejscu samém
 Zofija najszczęśliwsza pod słońcem kochanka,
 Upojona rozkosznym miłości balsamem,
 Rzuciła niebu kwiaty dziewiczego wianka,

* * *

Ledwie się zbudził ojciec spieszy się dowiedzieć
 Jak się ma drogiej córzy nadwątlone zdrowie,
 Pragnie jej nieść pieczętę, dzień dobry powiedzieć.
 Zbliża się cicho ku jej sypialnej alkwie.

Niema jej — „Poszło pewnie biédactwo do sadu,
 Zawsze do tej altany jak ptak do ponęty!
 Nic jej zatrzyć niemoże po jej miłym śladu,
 Gdzie mówił, patrzył, siedział — pobyt dla niej święty.“

Wszedł starzec do altany i jęknął okropnie,
 I skamieniał — z tém chłodnym, lodowém spojrzeniem,
 W którym czucie przebiegło wszystkie bólów stopnie
 I cierpienie tak wielkie że nie jest cierpieniem.

Powróconego życiu unieśli sąsiedzi,
 Mniemając że tém srogość cierpienia ukróćą,
 Że siła świętej wiary to serce nawiedzi —
 A gdy szczęścia nie mogą — spokojność powróćą!

* * *

I głucho, dziko, pusto w opuszczonym dworze,
 Czasem tylko świerszcz smutnie zadzwoni z ukrycia.
 Czasem wiatr przeraźliwie zaszumi w komorze,
 Lub psa zabłąkanego odezwą się wycia.

Tylko księżyc w majowe przyswiecając noce,
 Zdziwiony że nie widać w gaju białej szaty,
 Srebrnym, lubem spojrzaniem w okna zamigoce,
 Jakby chciał znaną postać wywabić z komnaty!

Tylko kochanek róży wśród północnej ciszy,
 Gdy wszystkie swe czarowne piosenki prześpiewa,
 Gniewa się że zwyczajnych oklasków nie słyszy
 Że mu lube westchnienie śpiewów nie przerywa.

* * *

Jest rodzaj życia, w którym pod cierpień ogromem
 Uchodzi z ciała męzka, samodzielna dusza,
 Człek żyje jakimś życiem zwierzęcym, znikomym,
 Jako ślimak skorupę — on ciało porusza.

W taki rodzaj wpadł starzec na wszystko nieczuły.
 Ni uśmiechu ni kiedy — żywszego wyrazu,
 Jakby się wszystkie władze z serca mu wysnuły,
 Chodzi jak tchnięta życiem zimna postać z glazu.

W ustach krótkie, bez związku, przerywane słowa,
 W oku ani żdźbła duszy błysk kawałków lodu,
 Cała postać zwiędniała, wyżółkła, grobowa,
 Rzekłbyś; mumia możliwością obdarzona chodu.

Takie to życie starzec włókł kilka tygodni —
 Wreszcie, czy płomień duszy w ostatniej iskieierce
 W ostygłe jego ciało wrzucił blask pochodni,
 Chwilowem życiem natchnął wypróchniałe serce;

Nieszczęśliwy ten ojciec w dzień jeden przed skonem
 Grę uczuć zmartwychwstałych uczuł nagle w sobie
 Powziął myśl widzenia się z domem opuszczonym,
 W którym prócz niego wszystko spoczywało w grobie!

Zaledwie wjechał w zamku Jardowa dziedziniec,
 W twarzy błysnął rumieniec w oku Iza obfita,
 Rzekłbyś że to nie starzec, to czuły młodzieniec
 Z całą tkliwością syna, dom ojcowski wita.

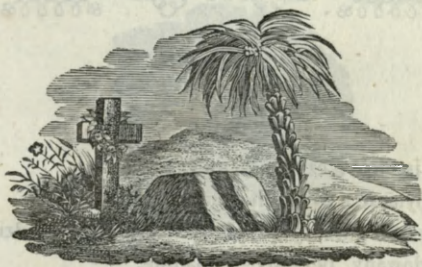
Wszedł w komnatę, spojrzawszy zakrył twarz rękami
 I płakał — jak się płacze wśród serdecznych boli,
 Bo ściany przemówiły do niego słowami
 Tych wszystkich których stracił — a kochał najczulej.

Znów spójrzył — i już od łez zwolnionem cierpieniem,
 Oglądał każdy przedmiot, każdy domu kątek,
 Wszystko witał to słowem, to łzą, to westchnieniem,
 Bo wszystko w serce łało źródł lubych pamiątek.

Lecz kiedy wszedł na koniec do pokoju córny
 Takie uczuł gwałtowne do serca krwi bicie,
 Takie na twarz wybiły szkarłatu kolory,
 Jak gdyby się ze śmiercią pasowało życie.

W sypialni córki dostrzegł wezglowie dziecięcia,
 Zaniósł do ust, całował, ścisnął najgoręcej,
 W tém gwałtownie osłabnął, puścił je z objęcia,
 Upadł na łóżko córki — i nie powstał więcej!

Karol Bogd. Dołęga.





Zwątpienie.

Czy On istnieje? czy On nami rządzi?...
Któż to pytanie z żyjących odgadnie?!,...
Rozum wśród puszczy sprzecznych wniosków błądzi,
Aż zmordowany, bezsilny — upadnie.
Tu — tak samotnie, tutaj cierpień tyle...
Komu się zwierzyć? — kto przyjmie westchnienia?
Z rachunkiem cnot mych mamże zgnieć w mogile
Płacony tylko milczeniem sumienia?
Wszystkoby oddał, złoto, sławę, życie,
Żebym mógł tylko bytu jego dociec.
Bo tęsknię za Nim jak za ojcem dziecię...
Czemuż do dziecka nie ozwie się Ojciec?!..

„Sroga wątpliwość,“ tak mój rozum woła.
 Lecz serce wierzy — ono mą otuchą,
 Jakiż ma dowód? — czy mu głos Anioła
 Tak cicho mówi, że niesłyszysz ucho!?!.....

Wincenty Kollupajło.





Byla wioska przy gościńcu a w niej domek biały,
A w domeczku przy rodzicach, dziecieczki mieszkały.
W tej wiosce była szkółka: dzieci się uczyły
Żeby zawsze były grzeczne — i źle nie robiły.
W tej wiosce były drzewka, a na drzewkach kwiatki
Nauczyciel mawiał często: nie rwijcie ich dziatki;
Bo z kwiateczków są jabłuszka i słodkie gruszcзки.
Ochraniajcie te drzewinki kochane dziecieczki.
Choć on pięknie do nich mówił, nie wszystkie słuchały
W białym domku nieposłuszny mieszkał chłopiec mały.
Widział drzewka — zerwę pręcik, powiedział sam sobie,
Giętka widzę gałązeczka, batożek z niej zrobię.

Poobrywam te kwiateczki — o! nikt nie zobaczy!
Ale jakoś niespodzianie, stało się inaczej;
I widzieli, i skarali małego chłopczynkę.
Niechże każdy z was szanuje zieloną drzewinkę.

Stanisław Jachowicz.





Dzban stuczony.

Poszła panna po wodę,
Miała piękną urodę,
Wyjechał ci pan
I stłukł ci jej dzban.

Piosnka Ludu.

Ze szlacheckiej zagrody,
Dziwczę ślicznej urody
Gdyby róża, malina,
Gdyby sarna, jak trzcina,
Bieży z dzbankiem do wody;
Do bliskiego strumienia,
Kędy gęsta leszczyna
Krętą ścieżkę ocienia.
Wianek zdobi jej czoło,
Biegnąc, śpiewa wesoło,
W tém się nagle zatrzyma...
Zmilkła piosnka przerwana,—
Zrumieniona, zmieszana,
Nie śmie podnieść oczyma,—



Ni co począc w kłopotcie—
 Bo na ścieszki zawrocie,
 Czarnobrewy ją młodzian
 Po myśliwsku przyodzian
 Spotkał, cale nie spodzian.

*

Wojewodzie to młody,
 Niezliczonych pan włości,
 Co niepodal zagrody
 Od półroka już gości,
 Z pocztem dworzan nie małym
 W swoim zamku wspaniałym.
 Z śmiercią ojca — pan woli
 Użyć błogiej chce doli.,.
 Próżno każda z swjej strony,
 Okoliczne matrony
 Chcąc go w sidła ułować,
 Uczą córę wstydlive
 Jak spojżenie słać tklive,
 Kiedy westchnąć — co mówić...
 Co innego się święci—
 On się każdej zaleca,
 Każdej baki wyświęca,
 Żadnej nie da pierwszeństwa—
 I. na wzmiankę małżeństwa,
 Żartami się wykreści.

*

Bo nad żonę dorodną
 Nad z róż wite kajdany,
 Woli młodość swobodną...
 Ciągłej uczy hałasem
 Zamku jego brzmią ściany,
 Grzmi muzyka — tymczasem
 Ciągłe krążą puchary —
 I z naddziadów piwnicy
 Do garncowej szklanicy
 Płynie tokaj wciąż stary.

*

To znów w puszcze, dąbrowy,
 Z ochoczymi sąsiady
 Spiesz się tłumnie na łowy;
 Sarn rozpędzać gromady, —
 Bić jelenie — to dziki —
 To drapieżne bartniki (*).

*

Basia wraz go poznała,
 Bo go nieraz w niedzielę
 W parafijalnym kościele,
 W pierwszej ławce widziała.

(*) Rodzaj niedźwiedzia karmiącego się miodem, nazwany tak od wydzierania barci.

Nieraz jakby z niechcienia
 Przebiegając tłum okiem
 Na niej wstrzymał spojżenia,
 I nabawił ją drżenia
 Jakby jakim urokiem. —
 Raz się nawet jęj zdało
 Przy wychodzie z kościoła,
 Kiedy cała zmieszana
 Mijając go nieśmiało
 Za matkę się chowała,
 On do siebie zawoła
 Przybocznego dworzana,
 Co się z ojcem jej witał—
 I w półgłosu coś pytał:
 Zda się nawet słyszała
 W odpowiedzi dworzana
 Ojcowskiego dźwięk miana.

*

Nieraz później, ach nie raz
 Gdy samotnie dumiała
 To zdarzenie wspomniała!..
 Cóż dziwnego że teraz,
 Gdy sam na sam w krzewinie
 Nagle jęj się nawinie...
 Stąpić — siły nie miała.

*

On, za rękę ją chwyta,
 Cóż jej mówi — czy pyta—
 Ale ona nie słyszy....
 Ani widzi — drży cała—
 Krew jej lice oblala —
 Serce nagle w pierś bije,—
 Ledwie dyszy,
 Ledwie żyje.

*

Ośmielony tą trwogą
 Wojewodzie dziewczęcia,
 Chwyta biedną w objęcia
 Ściska, pieści niebogą..
 I w uniesień zapale
 Granic nie zna już wcale!..

*

Rozum w żądzę utonął!...

*

I.... aż w tedy ochłonął,
 Aż się w tedy obaczy,
 Kiedy Basia w rozpaczy;
 Załamuje rękami
 I zalęwa się łzami,
 Po stłuczonym swym dzbanku!..
 Po starganym swym wianku!....

*

—„Nie płacz dziewczę me lube
 „Wynagrodzę ci zgubę...
 „Weź tę kiesę ze złotem—
 „Nikt nie dowie się o tém“—

*

—Basia złota nie chciała,
 Tylko rzewnie płakała!

*

Zadziwiła młodziana
 W wielkim świecie nieznana
 Ta ku złotu pogarda!
 Dusza jego nie twarda —
 Basi rozpacz ją szczerą
 Zgryzotami pożera.

*

—„Nie płacz dziewczę me lube!
 „Wynagrodzę ci zgubę...
 „Wybierz sobie w mym dworze
 „Którego chcesz młodziana,
 „Ja sam swatem dla ciebie —
 Wszelkich starań dołożę,
 „Nie poskapię ci wiana.—
 „Jak Bóg żywy na niebie!
 „Któremu dasz pierwszeństwo
 „Pojmie ciebie w małżeństwo.“—

*

—Basia dworzan nie chciała,
Tylko rzewnie płakała!..

*

—„Nie płacz dziewczę me lubie!
„Wynagrodzę ci zgubę....
„Możesz podług wyboru
„Meża z mego wzięść dworu,
„A na wiano w przydatku
„Dajęć zamek w ostatku,
„W którym mieszkam w te czasy,
„Ze wszystkiemi zapasy—
 „I z nim włości okólne!
„Czyż za dzbanek, za wianek,
„Mało — zamek, kochanek?!...
„Czyż tak hojne me dary,
„Takie dla cię ofiary
 „Pocieszyc cię nie zdolne?!“ —

*

—Basia zamku nie chciała,
Tylko rzewnie płakała!

*

Tak głęboka jej żałość,
Taka uczuć wspaniałość
Wskroś przejęły młodziana—
I sumienia zgryzoty
Wskazały mu tór cnoty

Uginając kolana

Rzeczce:

— „Nie płacz ma luba!
 „Prawda, wielka twa zguba...
 „Lecz się zdoła nagrodzić!...
 „By twe żale osłodzić
 „Wszystko w świecie utracę!...
 „Dwory, zamki, pałace,
 „Skarby, liczne me włości,
 „Nawet!.. moją swobodę!...
 „Jeśli lata me młode,
 „Serce pełne miłości,
 „Mają wartość u ciebie!
 „Jak Bóg żywie na niebie
 „Do ołtarza cię wiodę!..“—

*

—Basia płakać przestała,
 Rękę zgody podała.

Marcin Ossoryja.



A decorative border with intricate floral and scrollwork patterns, framing the title.

Przypomnienie.

Noc pierścieniami czarnych warkoczy
Gdy inne światy okryć pośpieszy,
A nas poranek hoży — ochoczy,
Wspaniałem słońcem mile ucieszy;

Ty przebudzona, spojrzysz wokoło,
Przypomnisz lube senne marzenia,
Igrając z niemi myślą wesołą,
Przywołasz czasem moje wspomnienia.—

Wśród dnia całego wrzawa i życie,
Wszystko ożywia, wszystko poruszy,
I myśl tajona, długo i skrycie,
Czasem wybiegnie z tajników duszy;

Twoja myśl także wśród przyjacieli
 Zbiegnie w rozliczne uczuć odcienia,
 Ale się czasem, czasem podzieli,
 Pomędzy moje i ich wspomnienia,—

Z wieczorem bieżą dumania chwile,
 O jakże słodko w szarą godzinę!
 Wejdiesz do duszy — spocznieś w niej mile,
 I wspomnisz przeszłość — przeszłość jedyne;

Która twe serce wiernie określi,
 Która w spokojne, lube marzenia
 Przywoła twoje czucia i myśli,
 Przywoła czasem moje wspomnienia.

J. Soliński.



CÓRKA ROTMISTRZA.

Obraz z pierwszej połowy XVII wieku.

A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry
Błyśnie, i znówgo skryją wiatrem gnane chmury.

Antoni Malczewski — Marja.



Na łowy! na łowy! Nieporętskie knieje wrą odgłosem myśliwych. Dźwięk trąbki rozgłośnie brzmi wśród lasu, mile przedziera się przez gęstwiny i niknie w od dali. Lękliwe sarny, jak błyskawice migają przez zarośla — dzikie wieprze, rzucają błotne leżyska — a wrzaskliwa sójka — krzykiem oznajmia niedolę innym mieszkańcom lasu.

Piękna ziemia to Mazowsze — ma i lasy odwieczne pełne grubego zwierza, i grunt czarny rodzajny na którym pszenica złotym połyskuje kłosem, i białą rzekę Wisłę, po grzbiecie której wesoly kurp rzeško szybuje do Gdańska.

A chociaż w prawdzie często napotkasz i wydmy piaszczyste, nie to niewadzi — bo też rola prawie podwójny plon wydawać zwykła.

Dawniej, posępne bory czarnym szlakiem nappełniały rodzajną Mazowitów glebę. Zaczawszy od Bolimowa, gdzie łabędź wędrowny, mnogiemi stady w jeziorze kąpał białą szyję, aż ku Wiskitkom i Mszczonowu, miałeś las gęsty, nieprzebyty, gdzie drzewa nie toporem ale ręką czasu podcięte do nóg twych się waliły. Tam tur miał swą siedzibę, i królował innemu zwierzu. Tam pierwszy z Jagiełłów zapuszczał swą drużynę by tropić ślady srogiego mieszkańca pustyni.

Daliej poważnie sterczała wtedy Skwańska dziś Ostrołęcka puszcza, siedlisko łosiów i jeleni. Wiczyście dęby, znamiona siły i wzrostu, stały wśród niej posępne; a nikt nieważył się żelazem przyspieszyć im końca.

Szanowano lasy, bo w nich dawni mężowie szukali rozrywki. W nich monarchowie nasi, czas wolny od światłych rządów poświęcali zabawie — a młodź doświadczala siły na dzikim zwierzu, nim jej ostatecznie w walce z wrogiem użyła. Niedziwiło więc, jezeli ujrzales młodziana, idącego w zapasy z zapienionym

żubrem, lub na nieutartym rumaku sadząc przez rowy ścigającego jelenia.

Ten sposób życia, ta prostota obyczajów, rodziły później ludzi; co męztwem w polu, radą i obywatelską stałością w Senacie chwałę zdobywali!

Później pod koniec już Sasów, gdy młodzież idąc za obyczajną, przełożyła słodką gawędę w salonach, nad męzkie harce w kniei lub na polu; a bankiety i biesiady zwiększwszy wydatki wywnętrzyły skarbcę: wtedy wśród puszczy zaczęto szukać korzyści. Wtedy i Mazowska postać się zmieniła — gdzie były lasy, zostały gaiki — runęły wiekowe dęby — wspaniałe modrzewy na maszty obcym sprzedano, a Wisła zczerniona mnogimi tratwy z jękiem ginęła w wodach Bałtyku.....

Było to w roku tysiąc sześćset dziewiętnastym. Ponura jesień uczuć się już dała. Wyniosły dąb ze wzgardą rzucał żołądz, jako owoc niegodny tak wielkiego łona — a cicha brzoza ukradkiem żółty liść roniła.

Młody królewicz Władysław, po świeżo odbytej wyprawie zakończonej Dywilińskim pokojem, używał zabawy.

Na niewielkim smugu, prawie na krańcu lasu, pod rozłożystym jaworem spoczywał strudzony, bawiąc się z ulubionym sokolem. Wesoła drużyna, obok niego w około zajęła miejsca. Po lewej ręce oparty niedbale o suchy pień drzewa, obracał w rękę kor-

delas młody i piękny Jerzy Ossoliński — syn Wojewody Sandomierskiego — po prawej siedział na murawie, Zygmunt Kazanowski Starosta Kokenhauzki — obok synowie jego Stanisław i Adam — dalej nieco Zapędowski dworzanin królowej, a opodal strzelcy, służba i pachołcy.

Kuchmistrz królewicza, Wołyński, krzątał się koło skromnej lecz pożądanej uczty, a tymczasem kubek z winem z rąk do rąk przechodził.

Wesołość i uciecha cechowały to grono. Myśliwskie gawędy koleją z ust, do ust przelatały. Mówiono to o krajczym Tarle, co schwyciwszy żubra za rogi, zmusił go iż przykleknął przed Zygmuntem i struchlałą Boną — to śmiano się z przestרחu Stańczyka — i podziwiano Litewskie niedźwiedzie.

— „Oj pomnę, rzekł z kolei Starosta Kokenhauzki, byłem jeszcze pokojowcem nieboszczyka Króla Stefana — bawiliśmy w Grodnie, gdy wojewoda Radziwił zaprosił nas na wielkie polowanie. Król JMość miłośnik łowów mile przyjął zaprosiny. Gdy przybyliśmy do kniei w krótcie otrąbiono niedźwiedzia. Ja z oszczepem w ręku stałem za monarchą, dalej nieco Wojewoda. Szczekanie psów, wołania dojeżdźaczy rozlegały się po kniei — lecz zupełnie w przeciwnę od nas stronie. Wojewoda, niebaczę już dobrze co, opowiadał Królowi JMści — była to pono jakaś zabawna dykteryjka, bo wszyscy wśród śmiechu zajęci nią byliśmy.

W tem rumak króla JMości chrapać począł, słyszemy szelest — i ogromny kudłacz wypada na stanowisko dworzanina Słuszki. Niespodziewany napad przeraził młodzieńca — stracił przytomność, przyklął, i cały drzący oszczep nadstawił. Zdaje mi się że jeszcze widzę, chociażo wiele już lat ubiegło, ten wyraz jaki nadać swej twarzy usiłował. Usta były skrzywione gwałtem wydobywanym uśmiechem, a lica śmiertelna bladość pokryła. Wściekły zwierz z krwią zabiegłemi oczami, z otwartą paszczą z której piana ciekła, z mrukiem w bok uskoczył, powstał na tylne nogi, wyrwał oszczep i z całą siłą rzucił się na nieszczęśliwego — uchwycił w łapy, zdarł skórę z twarzy, zgruchotał czaszkę i silnie rzucił o ziemię.

Wszystko to było dziełem jednej chwili — po czém zwrócił się do nas. Bystry rumak stanął dęba, oszczep wypadł z rąk Króla JMości, a mnie przyznam się włosy na głowie stanęły, jednakże podbiegłem i rzuciłem swoim. Raz słabo wymierzony, drasnął go tylko po szyi, z okropnym rykiem postąpił naprzód, koń wspiął się powtórnie — lecz Król JMość zwinnie dobył sztucca — wypalił — strzał był szczęśliwy, rozjuszony zwierz jak kłoda zwałił się na ziemię a Wojewoda dobił go do reszty.

Uniesieni radością z ocalenia N. Króla zapomnieliśmy na chwilę o nieszczęśliwym Słuszcze — biegniemy ku niemu, zapóźno, żadna pomoc ocalić go nie mogła.

— „Alboż to i dzisiaj, źle Wojewodzie poczęstował smoka naszych gęstwin,“ rzekł wesoło królewicz, wskazując na ogromnego smolastego dzika, przy którym dwa duże kundle z wyciągniętymi łapami leżały.

— „Jednakże gdyby nie mój Ajaks, rzekł szyderczo Stanisław Kazanowski, niewiem czyliby delikatne dłonie Wojewodzica podołać mu mogły.“

— „Szkoda, odparł z uśmiechem Ossoliński, że niewidzieliście panie Starościcu, jak wasz Ajaks z wyciem przez grzbiet przeleciał, za jednem uderzeniem wieprza;— ale wy wtedy zdaje się hamowaliście przestach rumaka, który wtój chwili gdy ja oszczepem przeszywałem rozżarte zwierze, o mało co z siodła was niewysadził.“

Przytłumiony śmiech przebiegł między myśliwymi, oddawna znano sprzeczki dwóch młodzieńców, i wzajemną ich niechęć ku sobie.

Kazanowski przygryzł tylko usta, a krew wystąpiła mu na lica.

Królewicz niby niezważając, wziął kształtny kubek z rogu żubra w srebro oprawny i zawołał:

— „Zdrowie zwycięzcy! zdrowie wasze zacni towarzysze! Słońce zwraca na zachód — zatem ostatnia kolej i w drogę.“

— „Setne lata W. Królewiczowskiej Mości,“ zawołali ochoczo dworzanie, i szmer rozbiegł się po lesie.

W krótkce powsiadano na koń i ponad brzegiem lasu stępo ruszono. Drzewa co raz bardziej rzadziej zaczy-

nały, a cudny widok odkrył się oczom myśliwych. Z lewój strony obszerny zielony smug ciągnął się daleko — krzaczki leszczyny i dzikiej tarni co to jak mówią Mazury jęczy w nocy Wielkiego Piątku, tu i owdzie po nim rozrzucone wydawały jako plamy szare, — w dali zaś na małym wzgórzu czerniały kupy gruzu, niby rozwaliny jakiego budynku. Jezdni w tę stronę skierowali konie — dojeżdżacze uderzyli w rogi a echo zawtórzyło pośród w tyle zostającego lasu.

W tém niewielkie bagno, w którego małej przestrzeni wód świetnie odbijały promienie słońca, zaśniło mimo rozwalin — ciemna gęstwa olszyny pokrywała go nieco, a białym puchem polnej trzciny, rosnącej kępami wietrzyk kołysał w powietrzu.

Jeden z dworzan wysunął przodem, i niespodzianie dwie białe czaple pomknęły w górę.

— „Jaśko! puszczaj sokoła,“ zawołał Władysław. Chłopiec niosący na ręku ptaka zerwał kaptur osłaniający mu oczy i ręką wskazał nieprzyjaciela.

Adam Kazanowski świsnął przeciągle, a wspaniały ptak coraz wyżej, wyżej, wzbijał się w górę. Czaple krzykiem objawiły swą rozpacz, jedna z nich szybkim w bok zwrotem, zdołała się uchronić; lecz na drugą, krwiozerczy wzrok zwrócił groźny napadca — przewyższył ją nareszcie, uderzył gwałtownie piersiami, przetrącił skrzydło i lotem piorunu ze zdobyczą spuścił się na ziemię.

Jaśko poskoczył, odczepił szpony sokoła głęboko wpojone w piersi martwej już czapli, i zakapturzył go na powrot.

Stanisław wyrwał jej dwa piękne pióra z czuba i podał Władysławowi, ten zatknął je za błękitną czapkę.

— „Czas już pono N. Królewiczu myśleć o powrocie,“ rzekł starosta Kokenhauzki.

Adam szepnął mu coś do ucha i pobiegł do Władysława.

— „Czy zapomnieliście Panie, iż mieliśmy dzisiaj zboczyć do mieszkania Rotmistrza, o którym wam tyle mówiłem,“ rzekł z cicha.

— „Aha, prawda! zawołał z uśmiechem Władysław — ależ z taką kalwakatą, najeżdżać go niepodobna.“

— „To też W. Królewiczowskiej Mości obadwa tylko z bratem towarzyszyć możemy, a Rodzic nasz wraz z drużyną, uda się do Warszawy, gdzie i my jutro ze wschodem słońca staniemy.“

— „Ha, kiedy tak, to dobrze, ale i Wojewodzica muszą także wziąć z sobą.“

Adam nie odrzekł, lecz lekkie zmarszczenie czoła świadczyło, iż towarzystwo Wojewodzica nie było mu pomysli.

Królewicz ściśnieniem ręki pożegnał starego Starostę, który uniżenie zdjął czapkę i całe towarzystwo na dwie rozdzieliło się części — jedna zwróciła na lewo

przez smug, a druga gdzie się znajdował królewicz, bracia Kazanowscy, Ossoliński i dwóch pachołków, po nad brzegiem lasu powoli kierowała kroki.

Śmiechy i okrzyki towarzyszyły wracającym, nareszcie wszystko ucichło a wesoła pieśń zabrzmiała w oddali:

To byt na świecie, byt nieporównany,
 Być jednym z cechu Dyany,
 I jeżeli nie myśliwy,
 To nie jest żywot na świecie szczęśliwy (*).

(*) Niepróżnujące próżnowanie, Wczpazyana z Kochowa Kochowskiego.





Zwracając się na prawo od Nieporętskich lasów ku Nowodworowi, była niewielka osada, której nazwy i śladu dziś niema. Mieszkał w niej niejaki Jan Kościeszka dawny Rotmistrz Rzpltej. Starzec ten, bo mający już lat do 69, w młodym wieku służył jako towarzysz w regimencie Jana Zamojskiego, jeszcze wtedy Starosty Bełzkiego. Mężtwo i osobiste przymioty, jakimi się zawsze Kościeszka zalecał, zjednały mu miłość, a potem łaskę Hetmana. Z nim on był w Inflan-

tach, z nim przy Wolmarze, z nim oblegał Psków, z nim dobywał Wieliza, a w końcu z nim walczył na równinach Prądnika i pod murami Bieczyny.

Gdy Hetman za ostatnie zwycięstwo otrzymał od króla starostwa Krzeszowskie i Zamechskie — pan Kościeszka stosownie do swej chęci na przedstawienie Zamojskiego, dostał kilkanaście włók ziemi, pozwolenie założenia osady i znaczny zasiłek pieniężny.

Znużony życiem wojenném, postanowił zakosztować życia cichego na ustroniu, dla tego téż z ochotą oddał się roli. Z krewnych miał tylko jedną siostrę, kochał ją prawdziwie miłością braterską, lecz że była za kupcem w Kijowie, rzadko się z nią widywał. W przyjaźń niebardzo ufał, doznawszy za młodu wiele goryczy — Zamojskiego cenił jak dobrodzieja swego, a gdy umarł, często go wspominał ze łzami mówiąc: gdyby nie on, nie miałbym dziś co na głodny ząb położyć.

W roku 49 życia pojął zacząć niewiastę w małżeństwo, córkę dawnego przyjaciela swego ojca. Osoba ta do łagodności, łączyła wiele dowcipu, tej własności kobiecej, która często, dobrze skierowana, naukę łatwo zastąpić może. Rotmistrz kochał ją z całym zapalem, jaki wiek jego mógł wywołać. — Lecz niestety, zaledwie rok dwunasty z nią przeżył wśród szczęścia, nagle życie zakończyła. Z razu nic boleści Rotmistrza ukoić niemogło — zdawało mu się, że razem z nią wszystko już umarło dla niego — wszystko mu

zobojętniało, opuścił ręce i czekał azali mu prędko śmierć niezawrze powiek.

Ale niezadługo inna myśl zajęła uwagę starca — córka jego jedenastoletnia Hanna, istny obraz matki, potrzebowała opieki czyjejs koniecznie — miałże więc umierać zostawiwszy ją na ciężką i opłakaną pieczę obcych? — „Nie, zawołał — wszakże to moja krew, będę mieć siły ją opuścić?“ — i wzięwszy drogie dziecko na ręce całował ze łzami. I Hanna płakała — bo i ona czuła stratę matki, bo i ona znała jaki cios poniosła tracąc jedyną przyjaciółkę.

Dziewięć lat dobiegało już od téj pory, jak Rotmistrz rozstał się z małżonką — uzbierał nieco grosza, polepszył byt swych włościan, zjednał większy szacunek sąsiadów — a jednakże zawsze był cierpiący, zawsze ponury, zawsze samotny — i nigdzie niebywał. Nie można przecież powiedzieć, aby dla tego zapomniano o nim, owszem, niebyło święta, aby niestało kilka kolas lub bryk przed dworcem Kościeszki, któremi jak mawiał dobrzy sąsiedzi go nawiedzali.

Wtedy zdawał się cokolwiek weselszym, na chwilę zapominał cierpienia i z wylaniem traktował przybyłych — bo *gość w dom, Bóg w dom*, było jego przysłowie.

Dworzec pana Rotmistrza stał prawie w środku sioła. Zbudowany z modrzewia zalecał się prostotą — mały ganek o czterech słupach z rodzimego dębu, był całą jego ozdobą; — nadedrzwiemi wyryty był napis:

anno domini 1588, na pamiątkę budowy domu i ostatniej wyprawy Rotmistrza.

Tuż przy dworcu miałeś staw rybny, po nad brzegiem którego roszące lipy, dostarczały pokarmu dosyć licznej pasiece — dalej nieco, skromne chaty wieśniacze rzędem ustawione, mile bawiły oko.

Tylne drzwi mieszkania Rotmistrza wychodziły na duży owocowy ogród. Jesień, ta poprzedniczka zniszczenia, już w nim usłała wnijscie dla bezuczuć starca — zimy. Wspólnagie drzewa liściem okryły wąskie ulice — zczerniałym chmielem rozpiętym na wysokich tyczkach, ostry wiatr poruszał co chwila. Nigdzie już ani kwiateczka, tylko sterczały samotnie łodygi bylicy, co to ból głowy uśmierza, albo bielila szalwia w czasie zarazy skuteczna.

Nieco dalej od pola, gęsty szpaler klonowy rzuciał cień daleko, a kalina, to znamie skromności i czystości dziewczęj, patrząc czerwonemi jagody, nieśmiało z rogu wyglądała ogrodu.

Gdyby lepiej rozpatrzeć się jeszcze, to naprzeciwko okien co wychodzą na ogród, ujrzećby można kształtne grzędy, a na nich powiędłe już krzewy, wkoło których ślady drobnej nóżki wskazałyby, iż pielęgnowaniem onych zajmowały się śnieżyście ręce modrookiej Hanny, córki Rotmistrza.

Pięknaż to dziewczeczka ta Hanna — już roczek dwudziesty dobiega końca, jak poraz pierwszy słoneczko ujrzała, a zdaje się że coraz więcej wdzięków, czepia

się jej gładkiego lica. Przytém co za giętkość w stanie, jaka słodycz w mowie, prostota dziecinna w uśmiechu; to tego i opisać niepodobna. A jak się ukaże w kościele, to roje chłopaków stają za nią, a wzdy patrzą, czy się nieobejrzy a mile oczkiem na którego nierzuci.

Aleć dziewczę nad wiek roztropne, na przekorę starej powieści co to powiada: *u białogłowy włosy długie, ale rozum krótki*. Chociaż wielu dziarskich gachów huczno i buczno często nawiedza dworzec Rotmistrza, ona im przecież żadnej okazji niedaje, je-no skromnie odpowiada na każde zapytanie, unikając długiej rozmowy.

— „O, bo ja niechęć męża, co to żony szanować niecumie, mówi później z przymileniem do pani Doroty, która ją wychowała z małego, ale chcę męża, co-by zasłużył na to, bym go kochała jak rodzica mego.“

Dorota nic na to nieodpowiada, ale potrząsnąwszy głową myśli sobie w duszy: „jeszcześ nietrafiło niebożę na swego, ale poczekajno dłużej.“

Niedawno; — bo będzie temu z pół roku, jak stary starosta Strzębski przysłał swaty w dom pana Rotmistrza. Ojciec Hanny z ochotą przyjął oświadczyni — bo pan starosta człek nie bez grosza, i z głową na karku, a nadewszystko szlachcic z ojca pradziada, z dziecięciu pokoleń wywieść się potrafi; — ale co dziewczę, to i słuchać niechciało, bo pan starosta, nietylko że więcej jak ojcem mógłby być dla niój, ale przy tém dumny, panów braci uboższą szlachtę ma za nic, i czę-

sto gęsto, o granice kłótnie i bójki wszczyna. Jakżeż taki człowiek może być dobrym mężem — to aż strach bierze żyć razem.

Biędna Hanna całą noc po oświadczeniach zasnąć niemogła — na drugi dzień wciąż płakała; a stara Dorota kiwając po swojemu głową, mówiła ze złością — „komu też to, ale takiemu dziadowi, co nad grobem stoi, sięgać drżącą ręką po nierozwinięty pączek, no, no,“ — i zaczęła przekładać panu Kościeszcy.

Rotmistrz słuchał jej z uwagą, w końcu spostrzegłszy frasunek córki, zasmucił się na chwilę, że starosty zięciem zwać niebędzie, i jak najgrzeczniej odprawił swatów. Poczem pogłaskawszy pod brodę ukochaną Hannę, rzekł do niej z uśmiechem:

— —, Nie bój się moja turkaweczko, niedam cię panu starości — boć wiem że to i trudna zgoda, z ogniem woda, uspokój się, uspokój“ — i pocałował ją w głowę.

A dziewczę z radością rzuciło mu się na szyję i ścisnęło serdecznie zaciąg Dorotę.

Już słońce do połowy zapadło w ziemię, gwar wracających od pracy wieśniaków zalegał chaty, gdy Rotmistrz okryty szubą podbitą lisami usiadł na ławeczce co w ganku stała.

Znacznej wielkości dzwonek wisiał na jednym ze słupów podpierających wystawę. Nim to Rotmistrz znać dawał, na Anioł Pański i modlitwy wieczorne — wtedy wszyscy sielanie pobożnie klękawszy, mówili pacierze, które ich pan z dużej czytał księgi.

Potém każdy wracał do domu, a cisza stopniowo zalegała osadę, w końcu światła gasły zupełnie i noc rozsiewała grobowe milczenie, które niekiedy przerywało huczenie sowy co się na starym więzie gnieździła, albo głośny śmiech *zlego* co gdzie w suchej wiórze przebywał.

Wtedy przestraszony wieśniak zrywał się ze snu i znakiem krzyża odpędzał strachy...

Rotmistrz snąć się głęboko zamyślił, bo już i ciemno prawie, a ręką niedotknął dzwonka — już i stary Maciej karbowy przyszedł z pola, a nieśmiejąc przerwać panu zadumki, stanął cicho przy drzwiach — i Hanna klękawszy przy nogach ojca, na kolanach położyła mu głowę — a on wciąż duma i duma.

W tém tentent dał się słyszeć w pobliżu i jezdni wpadli na podwórzec.

Stanisław Kazanowski pierwszy zeskoczył z konia i wbiegł na ganek.

— „Kłaniam panie Rotmistrzu! zawołał, Najjaśniejszy Królewicz Władysław, wracając z polowania zawitał pod waszą strzechę.“

— „Co za łaska, zawołał Rotmistrz wstając spiesznie z ławki — mogęz wierzyć mym oczom, W. Kró-

lewiczowska Mość raczysz zaszczycać swą bytnością ubogie progi szlachcica?...

— „Cóż w tém dziwnego, rzekł uprzejmie Władysław, potrzebuję wychnienia, jestem zmęczony, sędzę, że mi go Waszmość nieodmówisz“ — i ogniste oczy wlepił w cudne oblicze Hanny.

Dziwczę zczerwienione po uszy spuściło oczy.

Rotmistrz wprowadził królewicza do komnaty. Natychmiast naniecono ogień, który podsycony suchemi szyszkami z sosniny, jasnym płomieniem oświecił przybyłych.

Izba w której się znajdowali, dosyć była obszerną. Skromność i czystota, stanowiły główną jój ozdobę. Niewidziałeś tam ni bogatych draperyj, ni kosztownych atlasów, któremi przyobleczone ściany świadczą tylko o zbytku i próżności — ale miłą prostotę, w której jak we zwierciadle odbijała się dusza gospodarza.

O tak, dawniej wnętrza mieszkań ojców naszych były obrazem ich życia — słusznie téż powiedziano:

„Oto ubogie szlacheckie komnaty,

Skromne jak niegdyś naszych przodków życie ;

Ściany drewniane,.....“ (*)

Podłoga z dębu tartego, posypana była zwiedłym już tatarakiem. Przy kominie stał piec zielony naprzeciwno którego, w kącie, mieściło się łóżko Rotmistrza. Dalej pod oknami były ławki pokryte tkanką wełnia-

(*) Anonim.

ną, między któremi wysoka dębowa skrzynia na kółkach, stała przy ścianie — w końcu wielki stół także dębowy, dopełniał reszty sprzętów w mieszkaniu Kościeszcy.

Nadewziami składnie ułożona spoczywała kurzem okryta stara zbroja gospodarza domu — nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiej malowany olejno — dalej portrety, panującego monarchy w hiszpańskim stroju, Hetmana Zamojskiego w bogatej ferezy, i Jana z Tarnowa.

Królewicz niedbale rzucił się na krzesło, Kazanowscy zajęli ławę przed kominem, a Ossoliński zamysłony usiadł przy oknie.

— „W istocie, można śmiało Waszmości zazdrościć panie Rotmistrzu, tak miłego zacisza, rzekł Stanisław Kazanowski. Jakżebym był rad temu, gdybym kiedyś podobnie jak wy mógł spocząć,“ — i z przymileniem spojrzął na córkę Kościeszcy, która z nieśmiałością stanęła przy ojcu.

— „Jeszcześmy nienabyli prawa Starościcu, do tak słodkiego wytechnienia, odparł Ossoliński, a wiele pono przebyć musimy nim okryci zasługą spoczniemy podobnie.“

Kościeszca wzrok dziękczynny zwrócił na Jerzego i rzekł:

— „Zasługi moje niczém jeszcze się być zdają w porównaniu z temi, jakie po dziś dzień blasku ustawnie Rzpltej przydają.“

— „Niech każdy czyni co może, odrzekł królewicz, wtedy skutek pewny, a nagroda w sercu jednaka.“

Rotmistrz schylił głowę, a Hanna po raz pierwszy spojrzała na Władysława.

Siedział w krześle, oparty ręką o wysoką poręcz. Oczy żywe pełne ognia, trzymał nieruchomie wlepione przed siebie — długie ciemne włosy, z przodu prosto zaczesane, w nieładzie spadały na plecy, a wąs składny pięknie odbijał przy bladawej twarzy.

Wzrostu był średniego, ciemny szafirowy kontusz osłaniał kształtną postać młodzieńca, a perłowy żupan kończył resztę ubioru.

Zdawało się że odzież taka więcej przystała, męskiej duszy królewicza, a niżeli opięty ubior jaki u Dworu noszono, który mu tak często w młodości narzucał ojciec, a wstręt ku niemu jako upor, karał surowo.

Czyliż zawczasu chciał wytepić przychylność w synu, ku poważnym zwyczajom, jakim sam niesprzysjał?....

Hanna niemogła oderwać oczu z oblicza Władysława — bojaźń ją przejmowała aby niespotkać jego wejrzenia — jednakże ciągle nań patrzyła.

W tém Stanisław Kazanowski kończąc zaczęłą rozmowę, zbliżył się ku niej.

— „Na co trzymacie w ukryciu tak piękny fijołek, rzekł do Rotmistrza, któryby na dworze obok N. Króowej, wśród tylu innych kwiatów naszej ziemi, mógł zajaśnieć wdziękami róży.“

— „Zapomniałeś chyba Waszmość panie Stanisławie, odparł królewicz, iż wdzięki róży są zbyt krótko trwałe, gdy tymczasem fijołek w ukryciu długo woń roznosi.

Hanna z uśmiechem spojrzała na niego. Lecz w oczach Władysława taki błyszczał wyraz, iż zmieszana niemogła znaleźć słów by mu odpowiedzieć — rumieniec okrył jej lica, nie wiedziała co począć. Na szczęście wszczęto znowu rozmowę — wybiegła z komnaty.

— „Urodziwa dziewczka z waszój córki, panie Rotmistrzu, rzekł znowu królewicz, jakże miło taki skarb posiadać.“

— „Jedyna to moja pociecha N. Królewiczu, odpowiedział Kościeszka — ona mnie jedna przywiązuje do życia — dla niej jeszcze kołatam się na tej ziemi — bo inaczej“.... tu ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi sędziwego starca — królewicz się zamyślił, a wszyscy milczeli.

Niedługo zabrano się do spoczynku.

Nazajutrz, ze wschodzącym słońcem porwał się ze snu Władysław — przywiedziono konie, czas nadszedł odjazdu.

— „Żegnamy Waszmość panie Rotmistrzu, mówił królewicz — da Bóg zobaczymy się niedługo, a może też i wy odwiedzicie nas w zamku. Niewszystko tam przecież obcem dla was pozostało — ujrzycie jeszcze tych, z którymi w młodości razem byliście. Miłym jest takie spotkanie — wtedy wspomnienie lat

młodzieńczych odżywia starość. A wy piękna Hanno, rzekł obróciwszy się do niej, wy niezapominajcie o nas, bo nam trudno podobno przyjdzie to uczynić.“

Hanna nic nieodrzekła, podniosła oczy i spotkała tak dzikie, tak przejmujące spojrzenie Stanisława Kazanowskiego, iż o mało niekrzyknęła z przestachu — przerażona schwyciła ojca za rękę — a w tém goście odjechali.



rogran zamku z wysoką wieżą — stanęły i inne liczne budowy.

Zdawało się, że w oczach rośnie, dawniej zapomniany gród Mazowsza.

Pomiędzy nowemi gmachy, wznosił się zbudowany niedawno ogromny pałac Kazanowskich. Zewnętrznym kształtem wiele się różnił od otaczających go budowli — wewnątrz zaś, każda rzecz była w nim z cudzoziemska; jakby na dowód, że posiadacze onego chociaż zrodzeni pod ostrem niebem północy, nieprzyjęli przecież zupełnie zwyczajow — przeciwnych mieszkańcom gorącej Italii, gdzie jeh praojcowie pierwsze ujrzeli światło. (*)

Szerokie wspaniałe wschody z marmuru Chęcińskiego prowadziły do pysznych pokoi obitych drogimi makatami. W obszernej komnacie stały ozdobne i wielkie z Kararyjskiego marmuru stoły, pozłacane szafy, bogate skórzane krzesła upiękzone herbami — a w złocistych świecznikach rozliczne światła gorzały.

Na chórze umieszczonym nadedrzwiemi siedzieli muzykanci ubrani w galony. Liczni dworzanie strojni w ubiory atlasowe żółte i kurtki błękitne, szybko przebiegali w koło.

(*) Rodzina Kazanowskich tyle u nas można za czasów Władysława IV, pochodziła ze starodawnej familii Włoskiej *di Casanova*.

Była to uczta.

Na pierwszym miejscu na wysokim krześle, siedział królewicz Władysław. Dalej w koło stół obsiedli, Lipski biskup Łucki, Rafał Leszczyński kasztelan Wiślicki, Mikołaj Wolski Mar. W. i inni. Kazanowscy, Zigmunt Starosta Kokenhauzki i syn jego Stanisław, w końcu stołu siedzieli — Adam, stał przy krześle królewicza pełniąc obowiązki dworzanina.

Co chwila wnoszono zdrowia, to Króla JMości, to królewicza, to przytomnych.

Wesołość o władnęła wszystkiemi i rozmowa cō raz stawała się żywszą, huczne wiwat! i niech żyje! gromem rozlegało się po komnacie.

Biesiada dochodziła końca.

Królewicz był milczącym, i niemieszał się do rozmowy.

Niezadługo goście zaczęli się rozchodzić — pozostał tylko Wolski, i kilku z dworskiej młodzieży.

— „Jeszcze, *kochajmy się* — rzekł Starosta Kokenhauzki, podnosząc ze stołu ogromny półgarcowy puhar, ze szczerego złota w kształcie snopu zboża — muzyka! wiwat!“

Zagrzmiały trąby a odgłos: *kochajmy się!* zabrzmiał na nowo; niektórzy z obecnych, z płaczem rzucili się na kolana, przed milczącym ciągle Władysławem.

— „Nieopuszczaj nas miłościwy królewiczu, pociecho i nadziejo nasza, wołali, — da Bóg, że kiedyś jeszcze za ciebie krew przelewać będziemy; jak dziś

za Króla JMości czyniemy — kochajże nas i nie odpychaj od siebie, szlachetna figuro przyszłej szczęśliwości naszej.“

Tu królewicz, każdego podnosząc osobna upewniał o swej życzliwości. Dopiero powstały wzajemne wynurzenia, uściśnienia, zapewnienia dozgonnej przyjaźni; — a w końcu wszyscy się rozeszli.

Pora była już późna — komnata została prawie pustą, tylko jeden królewicz pozostał zamyślony. Przez cały czas uczył niepił wina, zdawała go się nudzić burzliwa mowa biesiadujących, jednakże cierpliwie oczekiwał końca.

— „Cóż to W. Królewiczowska Mość, zdajesz się być cierpiącym, rzekł poufale Starosta Kokenhauzki biorąc go za rękę.

— „Alboż to niemam swoich kłopotów, odrzekł Władysław — w gronie waszém zapominam jeszcze o wszystkiém — ale pótém“.....

— „Czy znowu co nowego na Dworze — zapytał Stanisław.“

— „Nie — bo chociaż królowa ciągle na mnie patrzy z ukosa — mało baczę na to.

— „Niemówiłżem W. Królewiczowskiéj Mości, rzekł znowu starosta, iż wypadało wcześniej oddalić Ossolińskiego, a uniknęlibyśmy wszystkiego. Czyliż odesłane listy przez Zapędowskiego nie są dowdem, że zawiele zawsze wiedzą u dworu za pośrednictwem jego?“

— „Nie to nieszkodzi, ja go się i tak pozbędę nie-
długo, wszakże się żeni z Daniłowiczówną. — Dawniej
uczynić tego niemogłem, bo naraziłbym sobie ojca
i Kasztelana Żmudzkiego, który wiecie jak jest za-
wzięty.“

— „Synowiec też godny stryja, rzekł szyderczo Sta-
nislaw.

— „O, ja nigdy nieprzebaczę Kasztelanowi postępku
z bratem moim Marcinem, zawołał w uniesieniu Sta-
rosta — jakto, w obec rycerstwa hańbić tego, co
w niczem mu nieustępował, — to zawiele. I czem-
że przewyższa Kazanowskich? — jeżeli godnością,
ta niestanowi zasługi, męstwem? — równi mu jeste-
śmy. Bo jeśli na polach Kircholmu brzmiało imię
Chodkiewicza, również imię Kazanowskiego objąło
się o mury Staroduba twierdzy.“

— „Starajcie się lepiej o zgodę z Kasztelanem“

— „Nigdy, przerwał Starosta, nigdy.“

— „Cóż wam więc nienawiść pomoże, mówił da-
lej królewicz — robicie sobie tylko nieprzyjaciół —
wszak i Plichta przeciwko wam walczy.“

— „Co, ten Mazur, zawołał Kazanowski — który
koncerzem nawet dobrze władać niepotrafi, i tenże
to przeciwko nam jeszcze. O, wygramy, jeśli takich
nieprzyjaciół liczyć będziemy.“

— „Trudno, król ojciec nasz wielce go poważa,
a zatem strzedz go się winniście, powiedział kró-
lewicz.“

— „Unikamy go, rzekł Adam.“

— „Pamiętajcie, to co mówię pochodzi z serca, wiecie o mojej ku wam życzliwości, ale powiadam wam; wiele, wiele, macie nieprzyjaciół — jedynie przyjaźń moja może być tarczą dla was przeciwko nim skuteczną.“

— „Umiemy cenić względy W. Królewiczowskięj Mości, i zaręczamy iż równie szczerzej nikt nad nas, wielbić was niemoże, rzekł Starosta.“

Tu Stanisław zbliżył się do królewicza i rzekł:

— „M. Panie, źle będzie, Starosta Średziński niechce dłużej czekać—jeżeli wkrótce niezaspokojemy jego należności — chce skarżyć do króla, a wtedy“....

Władysław zmarszczył czoło.

— „Wieleż to, zapytał po chwili.“

— „Dwa tysiące czerwonych złotych“....

— „Cóż więc pocniemy“...

— „Rodzic mój chętnie za W. Królewiczowską Mość założyć może, jeżeli więc W. Królewiczowska Mość pozwoli“....

— „To dobrze, to dobrze, rzekł uradowany Władysław — o, pewny zawsze jestem waszego serca.“

Starosta na znak twierdzenia schylił głowę.

— „Wiész co Waszmość panie Adamie, rzekł po chwili na ucho młodszemu synowi Starosty, jutro ze świtem wyruszemy tam.... wiesz“....

— „Czy sami?“

Stanisław niby przechodząc mimo, nadstawił ucha rozmowie brata. Oddawna on uważał że Adam coraz większe zaufanie królewicza pozyskiwał—drzał na tę myśl, aby kiedyś zupełnie przez niego z łask nie był wyzutym — wszelkiemi więc sposoby starał się przypodobać młodemu panu, aby o władzę nim nanowo.— Jednakże charakter łagodny Adama, otrzymał przewagę nad burzliwym więcej Stanisławem w umyśle królewicza.

Nieszła Władysława baczości, zanadto gorliwa ciekawość Stanisława, spojrział nań ostro i rzekł ciszej do Adama:

— „Tak, sami, tylko we dwóch tam się udamy.“

Poczem wzięwszy czapkę, w towarzystwie dwóch dworzan udał się do swych komnat.





W małej komnacie na lewo przy drzwiach wchodowych, szerokimi krokami przechadzał się Stanisław Kazanowski. Niewielka srebrna lampa gorzała jasnym płomieniem, — jaskrawe światło uderzało w okrągłe szyby pałacowych okien, a odbite na zmarzłym śniegu pokrywającym ulicę, rozpryskało się w iskry rozliczne.

Młodzieniec co chwila poglądał na mały kunsztownej roboty Wenecki zegar, — podług dzisiejszej rachuby, wskazywał już w pół do ósmej. Zdawał się niecierpliwie, ustawnie poglądał na ulicę, myśli jakby nawałem tłoczyły mu głowę.

Gdybyś nań spojrział tym wzrokiem, co to z łatwością umie czytać w duszy każdego, na tej bladej twarzy wiele byś dostrzegł.

Zdaje się że niepodobna aby w jednej chwili, mogła wydawać tyle odcieni tak sprzecznych, tak różnych z sobą, — jak te któremi była pokryta.

Widziałeś tam cierpienie, któremu źle odpowiadały dzikie wejrzenia oczu — widziałeś smętność, którą natychmiast rozpraszał uśmiech szyderczy — że mimowolnie wzdrygnąć się było potrzeba.

Męzkie oblicze Stanisława nieprzedstawiało czerstwości i życia. Zbytek i rozpusta porały je zawczasie. Oczy przyémione, zapadłe, zdawały się być pozbawione ruchu — daremnie byś w nich szukał tego młodzieńczego ognia, co znamionuje pełną olbrzymich pojęć duszę — duszę o sile piorunu!

W całej postawie widna była niedbałość, opuszczenie, jakby lekceważenie tych z któremi obcował.

W miarę myśli jakie go zajmowały, chód jego stawał się wolnym lub prędkim; to stawał, to opierał się o okno, — nareszcie zatrzymał się nieco, nadstawił ucha — szmer rozległ się po korytarzu, i dworzannin okryty płaszczem wszedł do komnaty.

— „Ha to ty Marku — tak późno! — jakaż odpowiedź“....

— „Oto pismo od pana Rotmistrza,“ odrzekł dworzannin podając zwitek papieru.

Stanisław śpiesznie go porwał i przebiegł oczyma.

— „Jakto, nieprzyjęto pudełka, zawołał po chwili“...

— „Nie, odpowiedział spokojnie Marek, nieprzyjęto,“ i wyjąwszy z pod płaszcza zgrabne w aksamit

oprawne pudełko, postawił je na małym hebanowym stoliku.

— „Pan Rotmistrz składa wam panie dzięki za tyle łaskawą pamięć — ale oświadczył: że tak kosztownych darów nigdy przyjąć niemoże.“

Stanisław niesłyszał słów Marka, wlepił oczy przed siebie, stał przez chwilę nieruchomy — potem nagle jakby ze snu zbudzony zawołał: „odejdz.“

Dworzanin natychmiast się oddalił.

— „Więc niema nadziei, zawołał młodzieniec i z rozpaczą rzucił się na krzesło. Chce jej się może korony — by jak druga Barbara zasiadała na tronie. O nie! — nie!“ i sina bladość pokryła mu lica — usta drżące szeptały jakieś słowa, jedną ręką wsparł głowę, a drugą gniótł pismo Rotmistrza.

Po chwili szmer znowu się rozległ i Adam brat jego ukazał się we drzwiach. Stanisław powstał z miejsca, spojrział nań ponuro i nierzekł ni słowa.

— „Cóż to? — zawołał Adam — dla czegoś taki zmieniony? Zkąd ta śmiertelna bladość? — tyś chory“...

— „Kto ja? — nie, odrzekł spokojnie Stanisław — chory mało widzi i czuje, a ja przeciwnie.“

— „Cóż to ma znaczyć? zapytał Adam siadając w krzesło, i ręką o stół się oparłszy.“

— „Zdaje mi się że zrozumiałe mówię, a przynajmniej ty winienesz mnie zrozumieć,“ i szyderyczy uśmiech skrzywił mu usta.

— „Przeciwnie, od niejakiego czasu zupełnie pojąć cię niemogę“....

— „A raczej niechęć; podchwycił Stanisław, w istocie cóż cię obchodzić mogę! żyjemy tylko sami dla siebie.“

— „Bracie, zmienione twe obejście pokazuje że cię dręczy tajemna boleść, czyż miasto szukania na łonie mojem ulgi chcesz“....

— „Ulgi, niechęć jej — możeż jej doznać ten kto cierpi podwójnie.“

— „Dla Boga! wytłumacz się Stanisławie...“

— „Tak, cierpię podwójnie. Czy niepodwójna boleść, tracić przyjaciela i kochankę, — przyjaciela, którego ty mi wydzierasz“.....

— „Ja ci wydieram przyjaciela? — nierozsądny co mówisz“....

— „Przestań, poco te słowa — na co gorycz zaprawiać słodyczą. Daremnie chcesz mnie uwodzić — sądzisz że niewiem o niczem? — Któż wkradł się w zaufanie królewicza, jeśli nie ty? — Któż mnie od niego odepchnął, jeżeli nie ty? — Dziś oziębłością płaci moje przywiązanie, które dawniej tyle ocenić umiał. O, to jest nad siły! tyś niezdolny nawet pojąć całej okropności swego postępu. Wyzuty ze wszystkiego, jestem posmiewiskiem tych nawet, którzy przezemnie starali się skarbić łaskę przyszłego monarchy. Zdaje się, że piekło nawet mi urąga.“

— „Więc to mnie obwiniasz, zawołał Adam, dobrze, nawet jutro jeżeli zechcesz, sam królewiczowi

objawię podejrzenie jakie na mnie rzucasz. Bóg widzi, że jedynie ślepe przywiązanie moje dla niego, ku mnie go zwróciło.“

Twarz Stanisława przybrała wyraz gwałtowności — porwał się z krzesła i zawołał.

— „Powtarzam ci przestań, przestań trwonić te próżno dzwieczne słówka. Przywiązanie twoje zwróciło królewicza?—tak, przywiązanie. Ha! jakżeś szczęśliwy. Sądzisz, że mi są tajne wycieczki Władysława do Rotmistrza Kościeszki—któż mu tam towarzyszy — kto potakuje jego zamiarom — ty. Ale to wszystko nic — tyś mój brat“.....

— „Cóż cię może obchodzić bytność królewicza w domu Rotmistrza.“

— „Co mnie może obchodzić? — kocham Hannę, więcej niż ją może kochać kto inny, więcej niż.“....

— „Jako, ty kochasz Hannę?—tę niewinną dziewczynę — obraz anioła — ty“....

— „Ja — tak, kocham ją więcej niż życie własne, — dla jej jednego uśmiechu wejrzenia nawet, poświęciłbym wszystko co mi najdroższe na ziemi!“

— „Stanisławie! — czyż to pierwszy raz z ust twoich słyszę podobną mowę — powiedz, czyż miłość twoja tyle płomienista, nieznikała jak płomień, jak błędny ogień bez śladu? Małoż naliczę ofiar twej nierozwagi? Sądzisz, że i ten wybuch namiętnej duszy nieprzejdzie podobnie.“

— „Uwagi te zachowaj dla siebie, bo do mnie nieprzyłgną zapewnie. Jak chcesz sądzić o mojej miłości, niech będzie czczem marzeniem, słabością, czem chcesz nawet! — powiadam ci kocham Hannę więcej niż siebie! nikt mi jej nie wydrze, śmierć albo ona! — rozumiesz; ona już do mnie należy, wprzód piekło chyba poruszy kto mi jej miłość odbierze.“

— „Stanisławie....“

— „Nic już nie słucham. Używaj owoców swej zřęczności — dla miłości gardzę nawet samą przyjaźnią — przyjaźń dla ciebie, miłość dla mnie — Zaniechaj więc porady — zostaw mnie w pokoju, pora już późna — żegnaj cię.“

Adam nic nie odrzekł; podał bratu rękę, a gdy ten dotknął jej się oziębłe — wyszedł.

Stanisław spojrział za nim z goryczą i znowu rzucił się na krzesło.





Drugi rok dobiegał połowy, jak poraz pierwszy Władysław zawitał w domu Rotmistrza. Jakież w nim od tego czasu nastąpiły zmiany?!

Półtora roku, czyż to niedosyć aby zniszczyć dawny porządek w życiu człowieka? — wszak nawet chwila, jedna chwila ważną w nim może uczynić przemianę.

Stary Kościeszka częściej niż dawniej zapadał na zdrowiu. Choroba piersiowa od kilku lat nieodstępna, co raz mocniej objawiała swą bytność. Każde silne wzruszenie, każde wstrząśnienie wewnętrzne zdawało się widocznie ujmować mu życia.

Słabnął na siłach — spokojnie wyglądał ostatniej chwili — nawet z rozkoszą marzyłby o niej, gdyby nie Hanna. Jakże ją zostawić samą — samą tylko jedną na świecie....

O! dziś ledwo byś mógł rozpoznać to dziecko tak dawniej wesołe, tak swobodne. Smutek osiadł na jej czole. Zdawało się, że ten wiosenny kwiatek nieprzetrwawszy lata uczuł już technienie ponurej zimy — wiądnął coraz widoczniej.

Jakaż może być przyczyna smutku w życiu dwudziestoletniej dziewczicy, niewinnej jak dziecko, cnotliwej jak anioł — pytam, jakaż może być przyczyna? A jednakże tak bywa, że często przed czasem osiada boleść na gładkiem licu, które piętno swobody nie troski raczej dźwigać powinno. Biada w tedy — bo ona wkorzeni się w duszę, pognębi ją swym ciężarem i zniknie chyba ze spełnieniem życzeń lub życiem.

Dziś na śnieżném czole Hanny tak dawniej czystém, pogodném, dostrzeżesz chmurki co jakby rąbek otaczają ją w koło.

Oczy tak dawniej żywe, ogniste, co tak umiały przemawiać do duszy, pokryła mgła ciemna jakby dla zniszczenia w nich blasku.

Zmiana ta niemogła ujść wzroku starej Doroty — niewiedziała sama jak zdać sobie z tego sprawę. Zdawało jej się że to jest jakaś słabość, choroba nawet; — niepojmowała aby kto mógł cierpieć wśród zape-

wnionego bytu, nastęrczających się przyjemności młodemu wiekowi właściwych. Biedna kobieta, niewiedziała, że w życiu człowieka bywają boleści tłumiące same nawet rozkosze, a cóż dopiero zwyczajne słodczye.

Stary Kościesza niezwracał uwagi na to. Kiedy była przy nim, widział ją zawsze wesołą — a nawet czasami niekiedy i pustą; nie też dziwnego, że znajdował Hannę taką samą, jaką była dawniej.

Zacny starzec, szczery, otwarty, dający za równo od razu przystęp do serca cierpieniom jak i wesołej myśli, niesądził, aby można śmiać się gdy smutek udręcza.....

Pewnego dnia w spóźnionej już dosyć porze, Hanna siedziała zamyślona wsparłszy głowę na rękę.

Ojciec spał już oddawna w przyległym pokoju. Okno wychodzące na ogród było otwarte — woniejące powietrze wciskało się do komnaty. Cisza była zupełna — słowik tylko kwilił gdzieś w krzaczku czeremchy — i znowu milczenie.

Komuż nieznane te majowe noce, tyle mające powabu na naszych zielonych smugach — gdy ciemnoniebieskie niebo ubrane w niezliczone miliony gwiazd, zda się przyzywać ku sobie, a natura chociaż z zamkniętymi oczyma zdaje się jeszcze uśmiechać, mówiąc: podziwiał mnie, snem nawet swoim zachwycić cię mogę. W jakież nieznane życie duch przenosi się wtedy — niema dla niego żywiołu na ziemi, lecz gdzieś

wysoko błądzi w téj chwili, ściiera się z krańcami wiedzy, chce walczyć z ciemnością i zmordowany — upada na sile....

Hanna utonęła w przeszłości. Lata dziecinne stanęły jej w pamięci. Ach, ona tak była wtedy szczęśliwą, tak lekką, swobodną, miała jeszcze matkę — cóż jej więcej było potrzeba. W każdym uniesieniu radości biegła do niej — aby na jej łonie razem się poweselić, a czasem nawet zapłakać jak dziecko, i znowu się weselić. Zdawało jej się, że widzi ten wzrok, jakim w czasie jej niewinnych uciech, zwykła była na nią poglądać, a który zdawał się mówić: biedne dziecię, sądzisz że słodczye ciągle towarzyszyć ci będą — a boleść, a boleść czyż niezastąpi ich wkrótce?

Jakże wzrok ten był dla niej dzisiaj wyrazistym, zdawało się jej że te wyrazy oddawna są wyryte w jej duszy, — ale znaczenia ich nierozumiała.

Niedługo umarła matka, wtedy nieczuła jeszcze tyle jej straty, płakała, ale to niebył płacz z duszy, było to tylko lekkie odbicie w jej sercu żałości ojca, smutku domowników — cóż dziwnego, była jeszcze dzieckiem.

Jednakże ostatniej chwili nic z jej duszy wygładzić niemogło. — Konająca matka pokryta śmiertelną bladością, trzymała rękę na jej głowie — „córko moja, dziecię moje jedyne, mówiła gasnącym już głosem, zostawiam cię samą. Boże mój! któż cię teraz tak jak ja poprowadzić potrafi“.... więcej, nie mogła już dokoń-

czyć — skonała, a martwe oczy jeszcze zwrócone były ku obliczu córki.

— „Matko moja, szepnęła Hanna, na cóżeś tak prędko mnie opuściła“ i dwie duże łzy zabłyśły jój w oczach.

Odtąd bieg jej życia zmienił się zupełnie. Ponure cierpienie owładnęło ojcem — zdawało jej się, że ostatnie tchnienie matki wtłoczyło żalobę na wszystko co ją otaczało. Myślą goniła minione lata — jakże jój wtedy miłemi się wydawały dawne uciechy, dawne zabawy — niestety, niebyło już matki.

Dni dziecinne prędko ubiegły — nastąpił wiek dojrzalszy — przeszłość wydawała jój się jak kwiatek — jak różnobarwny wianek.

Jakaś niepojęta trwoga wstąpiła w jój serce, w każdej stanowczej chwili uciekała do ojca, szukała jego rady, on był jej tarczą przeciw wszystkiemu — on był jej wszystkiem.

Tłumy zalotników otaczały ją w koło, uczuła jakiś głos serca dotąd jój nie znany, co jakby zwiastun zbliżającego się gromu zapowiadał burzę..... w myśli stanął jej Władysław. Chciała rozproszyć to wspomnienie — niemogła. Serce zabiło jój silniej. Zwracała uwagę na inne przedmioty aby o nim zapomnieć — niepodobna; obraz jego tkwił jój w pamięci, doznawała jakiejś wewnętrznej pociechy, ukontentowania. Narzeczcie głos ukryty szepnął jój z cicha : ty kochasz.

Boże wielki! zawołała, co za myśl, i dłonią zakryła oczy — po chwili przyszła do siebie, dzień wczoraj-

szy stanął jej przed oczami. Wczoraj, w domu jej ojca był królewicz. Zdało jej się że jeszcze widzi te ogniście oczy, ten wyraz łagodności rozlany po jego twarzy — i głos, ty go kochasz, znowu z cicha ozwał się w jej sercu. Dziewica westchnęła — o tak, on mnie kocha, rzekła po chwili — mówił mi to nieraz, a ja... tu niezmierną przepaść będąca między niemi, odkryła się jój oczom.— Napróżno, mówiła, on nie dla mnie....

Jednakże przyjdzie przecież ta chwila, że trzeba będzie zmienić swój stan, ojciec codziennie nalega na nią — często przybywają swaty. Niedawno odpowiedziała Kazanowskiemu — dreszcz przebiegł jej członki — człowiek ten bojaźnią przejmował jój serce, lękała go się jak wroga, w tej chwili zdawał się jak wąż splotami uciskać jej serce — w milczeniu spojrziała na obraz Bogarodzicy wiszący nade drzwiami i oczy wzniosła ku niebu.

Myśli jakby tumanem owionęły głowę — niemożna znieść jej ciężaru, skłoniła ją na ręce — zamknęła oczy, sen skleił jej powieki....

Cichy szmer jakiś rozległ się w sady, co raz silniej, silniej wzrastał, nareszcie ktoś szerzej odemknął okno i dwie twarze ukazały się w komnacie. Przysłumiony łoskot rozległ się — Hanna porwała się z krzesła, spojrziała w okno, stał w niem Marek — a tuż przy niej Stanisław Kazanowski.

Przerażona wsparła się ręką aby nie upaść, zamknęła oczy, zdawało jej się że to sen, potarła ręką po czo-

le, spojrzała na nowo — w istocie, Stanisław stał znowu.

— „Czego się lękacie piękna Hanno, rzekł po chwili, to ja — ja który cię uwielbiam — przyszedłem sam powtórzyć ci to na kolanach i błagać, miej litość nademną. Dla czegoż mnie odpychasz od siebie, kiedy ja za jedno wejrzenie twoje, za jedno przyjazne uściśnienie ręki, oddałbym wszystko.”

Hanna jak posąg z wlepionemi w niego oczami stała nieruchoma, śmiertelna błądliwość pokryła jej lica — niemówiła ni słowa.

— „Milczysz, mówił znowu Stanisław, pogardzasz mną...”

— „Panie, odejdźcie, przerwała nagle jakby zbudzona z letargu, zostawcie mnie samą, zaklinam was“

— „Aniele mój, powiedz tylko jedno słowo, zostaw mi choć cień nadziei, wtedy opuszczę cię natychmiast — śmierć z rozkoszą przeniosę nad życie.”

— „Po jedno tylko słowo godziło się panie w taki sposób przybywać...”

— „Przebacz...”

— „I cóż wam powiem, rzekła dalej Hanna przychodząc do siebie, a głos jej stopniowo nabierał mocy — cóż wam powiem — sądzicie że was będę uwodzić, — nie. Od ojca mojego odebraliście stanowczą odpowiedź. Cóż wam więcej powiedzieć mogę nadto co on oznajmił?”

— „Więc mnie odrzucasz...”

— „Jeżeli zdołacie wtłoczyć na serce okowy, jeżeli zdołacie wskazać mu przedmiot i przemocą zwrócić je ku niemu, wtedy ja was kochać będę, ale dzisiaj, nigdy.

— „Szydzisz” rzekł Stanisław, „dopełniasz czarę która i tak już przepelniona, a nie wiesz, że ja żyć bez ciebie niemogę — ty musisz być moją” i w swe dłonie uchwycił rękę przelękłej dziewczycy.

— „Co czynicie panie!” zawołała drżącym głosem.

— „Tak, ty musisz być moją, powtórzył Stanisław,” oczy jego iskry sypały, rozczochrane włosy w nieładzie spadały mu na czoło, cała postać była straszna i okropna.

Skinął ręką na Marka i namiętnie porwał ją w pół.

— „Ratujcie mnie!” zawołała słabym głosem — na pomoc — stuk rozległ się w przyległej komnacie — we drzwiach okryty futrzaną delją ukazał się Rotmistrz i badawcze spojrzenie utopił w obliczu córki.

Stanisław odskoczył przerażony — sięgnął ręką po rękojeść szabli, a zobaczywszy samego tylko starca uśmiechnął się szyderczo.

— „Przebóg co to ma znaczyć, zawołał Rotmistrz, wy panie o tej porze w komnacie mej córki!”....

— „Ojczy mój, ratuj mnie!” zawołała Hanna i padła na jego ręce.

Stanisław stał milczący.

— „A więc to wam panie podobało się najść moje mieszkanie, zakłócić w niem spokojność, a nawet...

— „Nie! odparł zuchwale Stanisław, „nienaszędłem waszego domu, ale przybyłem wzgardę zapłacić znie wagą.”

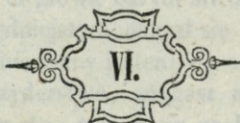
— „Młodzieńcze! zawołał Rotmistrz wieszże o tem żem nigdy wzgardą nieokrył nikogo — a gdybym nawet w sposób taki obraził ciebie, czyż moje lata star gane zasługą — ta głowa okryta siwizną, nie są go dne, abyś względniejszym okazał się przecie?! Bóg świadkiem jako niewinny jestem — a ty do przekro czeń dołączasz szyderstwo, urągasz mojej niemocy. Otóż nagroda, za to, żem życie na harc wystawiał ustawnie, żem prznosił trudy nad spoczynek; dziś znie wagę jeszcze odbieram od tych, do których wdzię czności nigdy nie rościłem prawa. Jeżeli niedosyć ci jeszcze na tej igrasce, jakiej na starcu dopuścić się chciałeś — patrz, oto piersi okryte bliznami, miej odwagę uderz w nie!”.... i w górę wyciągnął rękę — płaszcz okrywający mu barki zsunął się nieco, rozpięta pod szyją koszula odkryła nagie piersi. Starzec mocno był wzruszony — drżał cały, niemógł znaleźć słów by dokończyć.

W tej chwili rozruch rozległ się po całym dworcu, — rozbudzeni ze snu służący tłumnie wbiegli do kom naty — Maciej otworzył drzwi, przeciągły od okna wiatr owiał Rotmistrza — ten zatrzęsł się konwulsyj nie — zabełkotał niezrozumiale i upadł; — oczy ko łem mu stanęły — czerwoność pokryła lica — ode tchnął mocno — i skonał.

— „Pan nie żyje!” zawołał Maciej chwytając go za rękę.

— „Wielki Boże!” krzyknęła Hanna i upadła przy zwłokach ojca.





W boczném skrzydle zamku, w mieszkaniu Plichty Kasztelana Sochaczewskiego Marszałka dworu Królewicza Władysława, toczyła się rozmowa.

Dwóch tylko starców było nią zajętych.

Jeden z nich Plichta, pokryty siwizną z szramami na twarzy, dużemi krokami chodził po komnacie — jedną rękę opierał na ciężkiej szablownicy co mu u boku wisiła, a drugą ukrył za bogatym pasem.

Drugi, Żurawiński, Kasztelan Bełzki, siedział rozparty w krześle stojącym przy oknie.

O ile cała postać pierwszego, przedstawiała wyraz surowej powagi, jaką tylko ci mieć zwykli, co większą część życia w obozie spędzili — to o tyle na twa-

rzy drugiego widna była pogoda pocziwym duszom właściwa.

Cała ta twarz przedstawiała typ prawdziwie Sarmacki — jaki dziś tylko na starych obrazach oglądać można. Uśmiech obrał na niejstałe siedlisko. Raz tylko nań spojrzawszy, wiedziałeś co w duszy się działo.

Kasztelan Sochaczewski, silnej budowy, przedstawiał rycerza zaprawnego w boju, hartownego trudem i niewygodą.

Żurawiński zaś był wzrostu małego, krępy, podszadny — jasne włosy nienajlepiej mu odbijały przy rumianej twarzy; — odziany był w czarny kontusz, z pod którego wyglądał popielaty żupan — ogromne srebrne ostrogi zdobiły buty, a przy boku wisiała krzywa szabla w czarnej jaszczurowej pochwie — ręce skrzyżował na piersiach.

— „A więc złe nowiny od granicy Tureckiej?” zapytał pana Plichty.

— „Niedobre, zamieszanie u Dworu wielkie — nienajlepszych stąd rzeczy spodziewać się można.”

— „Cóż stany?...”

— „Milczące...”

— „Przecież posiłki...”

— „Twierdzą, że wiele czasu ubiegnie, przerwał Plichta, zanim je zebrać zdołają — a tym czasem waleczne roty miasto nieść pomoc rodakom, pod

obcém niebem, dla sprawy Niemca, krew swą toczyć muszą.”

— „Sądzę że Król JMość winien natychmiast odwołać Lisowczyków hufce; — a nawet sam Cesarz przy ich pomocy upokorzywszy Węgry, uśmierzywszy Czechy, winien uwolnić bezwłocznie na potrzebę kraju.”

— „O, ręczę Waszmości, że to bezsporu teraz uczyni, — już i tak wspomina Rusinowski ⁽¹⁾ że niemilem patrzy na nich okiem, chciałby ich się pozbyć, a nawet już potrosze w wypłacie żołdu zalega.

— „W biedzie uniżony sługa,” dodał z uśmiechem Żurawiński.“

— „Mimoć woli stanów wyprawiono te posiłki, jeno zbytńia skłonność Miłościwego Króla dla Wiedeńskiego Dworu wyświadczyła mu tę przysługę.”

— „Mówią że Kasztelan Żmudzki ma przybyć do Warszawy.“

— „Nie wiem czy to uczyni — po co? na dworze go nie pragną — chyba aż czas przyjdzie jąć się pałasza, wtedy go poproszą — wszakże u nas teraz w potrzebie tylko, zasługę cenić umieją.”

— „Kazanowscy ciągle czuwają — samo imię Chodkiewicza podwaja w nich nienawiść. Wyprawa Możajska kamieniem leży im na sercu. Zawzięta to krew! nie darują swego.

(1) Ówczesny Lisowczyków przywódzca.

— „A raczej powiedz Waszmość, zawołał Plichta, że kamieniem leży im na duszy—bo sumienie wątpię, aby w nich zasnęło. Z biskupem Łuckim niech się podzielią owocem swej przewrotności.“

— „Jednakże królewicz, chociaż mu z rąk prawie wyrwali koronę, nie jest ku nim złej woli.

— „Za nadto go opanowali — poznali się prędko na łagodnym jego sercu, umiejają zeń korzystać — ale ja zapobiegnę temu. Wiesz Waszmość zapewne o nowym postępku syna Starosty Kokenhauzkiego — dusza się wzdryga aby podobny czyn, pod bokiem Króla i senatu prawie, dokonany, mógł ujść bezkarnie. Jaktko! dziś już ani szlachecka godność, ani wiek, ani zasługa nie będą wzbudzać szacunku? Pod własnym dachem nawet, już niemożna znaleźć spokojności, to zawiele!”

— „Starosta Kokenhauzki potrafi znowu wymówić przed Królem, tę nową swawolę swego syna ...”

— „Wymówi czy niewymówi, przerwał Plichta, mniejsza o to, ale przy boku Królewicza więcej gościć nie będzie. Ja potrafiłem oddalić Izajkowskiego, dokażę że i Kazanowski ustąpić musi.”

— „Narazisz sobie Waszmość powtórnie Królewicza.”

— „Nie, Władysław sam nie ścierpi by podobne bezprawia mogły mieć miejsce — znam jego serce. Kazanowscy dobrze mu już dali się we znaki; — dziś

przekonał się może, komu winien konieczność zawarcia w Dywilinie pokoju, o co tak niesłusznie obwiniał Ossolińskiego.

— „Biskup Łucki przecież twierdzi żeśmy nie nie-stracili.”

— „Tak, tylko sięgając po drzewo uszczknęliśmy gałąź.”

— „I wybiliśmy medal, dodał śmiejąc się Żurawiński. Wszystko to uprosili nam u Boga Jezuici.”

— „Przekleństwo tym, co w tej sprawie zawinili, rzekł Plichta.”

W tej chwili wbiegł dworzanin Królewski w szubce opieliczej, z dużym czarnym kapeluszem ozdobionym piórami i rzekł.

— „Najjaśniejszy Król, przyzywa Was Kasztelanie natychmiast ku sobie.

— „Idę,” odrzekł Plichta.

Dworzanin skłonił się i wyszedł.

Żurawiński pożegnał Marszałka, który spieszenie po-biegł do Króla.





Rok tysiąc sześćset dwudziesty okropną klęską dotknął krainę naszą. Dnia 7 października Żółkiewski broniąc granic od strony Tureckiej, na polach Cecory poddał siwą głowę pod miecze najezdców. Wieść ta lodem przejęła serca mieszkańców Warszawy. Jęk i płacz rozległ się po całym kraju — bo i Tatarzy już za Lwów rozpostarli swe zagony, gdy tym czasem Turcy dumni ze zwycięstwa grozili zniszczeniem.

Pierwsze rodziny w kraju opłakiwały utratę swych krewnych, a Rzplta synów w którzyby kiedyś byli jej podporą.

W tak smutném położeniu niewypadało tracić czasu na czczych umowach, ale z orężem w ręku powitać napadców. Jakoż zapomniano na chwilę waśni i

niezgód które kraj nasz napelniały ustawnie — poda-
no sobie ręce, bo wspólne nieszczęście jednocy czę-
sto najzaciętsze serca. Żaden z obywateli nieżałował
mienia, a stan duchowny na zjeździe Piotrkowskim
150 tysięcy złp. ofiarował dobrowolnie.

Z rokiem następnym zwiększyło się niebezpieczeń-
stwo — Turey zbliżyli się ku granicom Polski. Ze-
brane naprędce 35 tysięcy wojska powierzono Chod-
kiewiczowi; — zaufanie narodu w chwili stanowczej,
nieobudziło zazdrości przeciwko zwycięzcy z pod Kir-
cholmu.

Kazanowscy umilkli na chwilę — smutek owładnął
nimi bo i Marcin, ich stryj, dźwigał pęta niewoli.

Wkrótce postanowiono wysłać posiłki pod wodzą
królewicza Władysława. Rozliczne hufce z rozmaitych
okolic ciągnęły do Warszawy. Król Zygmunt widząc
niebezpieczeństwo na jakie syn miał się narażać, nie-
mniej poddawał się boleści. Otoczony Jezuitami w mo-
dłach szukał pociechy.....

W wigilią wyjazdu, królewicz wyrwawszy się z ob-
jęć ojca, i tłumu dworskich, w towarzystwie Kaza-
nowskiego Adama, udał się w drogie mu miejsce.

Niespokojność, zgroza wstrząsała nim na przemiany.
Wiadomość o śmierci Rotmistrza nasuwała obawę
o przyszłość Hanny — wypadek w jego domu wznie-
cał w nim gniew i pogardę.

Król uwiadomiony przez Plichtę o postępkach Kaza-

nowskiego, rozkazał mu dwór syna opuścić bezzwłocznie ⁽¹⁾.

Oburzony królówicz, zaufanie jakim obdarzał swego ulubieńca, przeniósł na brata jego Adama, w którego sercu przyjaźń prawą zaszczeplił oddawna.....

Słońce już zaszło — srebrzysty księżyc wyjrzał z po za chmury i blade światło rozsiał w około. Królówicz pogrążony w myślach zachowywał milczenie — Adam jechał z wolna opodal.

Płowe rżyska ciągnęły się łąkami, a wśród nich wiejskie zagrody migwały im przed oczyma — gdzie niegdzie błyszczały światła przez zakopcone szyby kwadratowych okien — gdzie niegdzie cichy gwar dolatywał uszu, albo pies stojący na progu chaty zaszczeptał przeciągle.

Gdzie niegdzie skromny drewniany kościół z wyciągniętą w górę wieżycą, zdawał się straszyć postacią olbrzymią — tuż przy nim wiejski smętarz, wśród niego czarny krzyż stoi, a wokół rzędami bieleją mogiły. Długi cień rzucony przez jadących, ginie łamiąc się wśród grobów gdzieś daleko.

Tu kres cierpieniom poczciwych mieszkańców siola, tu wypoczynek po znojnych trudach, którego nigdy nieznali chociaż pracowali nie dla siebie.

(1) Rozkazem Króla oddalony od Dworu. W krótkce umarł z rozwiązłości.

Smętna cisza bez przerwy zalega to ustronie, jako piętno życia spędzonego w cichości i cierpieniu.

Błogosławieni ciszy; — albowiem oni odziedziczą ziemię“ (1).

... Niedługo stanęli przed dworcem Rotmistrza. Uroczą cisza panowała w osadzie. Na odgłos przybyłych wierny stróż domu wybiegł na ganek, a poznawszy Władysława wspiął mu się na ramiona. Król wicz śpiesznie wbiegł do komnaty — stary Maciej wsparty ręką na stole, drzemał, lampa słabo świeciła i nie było więcej nikogo — zrzucił płaszcz i pobiegł dalej. Kazanowski sam pozostał.

W drugiej komnacie oparta na klęczniku modliła się Hanna — czarna suknia w gęstych fałdach spadała na podłogę, głowę nieco pochyliła na bok, śnieżne piersi ciężki wznosił oddech — ciemne włosy w pierścieniach wiły jej się po szyi.

Jakże była piękną w tej postawie!

Władysław stanął cicho we drzwiach — lecz szmer zwrócił uwagę dziewczycy, podniosła głowę.

— „To ty, Władysławie, rzekła przytłumionym głosem powstając z miejsca, miałam jakieś przeczucie że choć raz ujrzę cię jeszcze.”

Król wicz milcząc usiadł przy niej.

— „Dzisiaj po raz ostatni jeszcze przy tobie, a jutro..”

(1) Psalm. 37; 11.

— „Jakto? zapytał Władysław, miałabyś się z tą oddalić?“....

— „Tak, jutro opuszczę to miejsce, udam się do Kijowa; tam mam ciotkę — a tu, nikogo, prócz ciebie.“

— „Hanno! możeszli to uczynić — czyż niepojmujesz ile mi tęp przyczyniasz cierpienia.“...

— „Dopełniam woli ojca, odpowiedziała Hanna. Cóż mi tu już pozostaje — gorzkie chyba wspomnienia. Tu utraciłam matkę — tu utraciłam ojca — któż mi ich miejsce zastąpi.“

— „O! ty mnie niekochasz — marzyłem o miłości — i zawiodłem się.“

— „Ja ciebie nie kocham? — wątpisz że jeszcze — czyż prawa miłość niknie tak prędko?! Nie, przetrwa ona cierpienie, przytłumi samą niedolę i w grobie chyba kres znajdzie.“

— „Jeżeli mnie kochasz, na cóż mnie opuszczasz — na cóż zaprawiasz boleścią to życie któremu swoboda właściwszą. Jeżeli mnie kochasz, dla czegoż przekładasz życie w oddali, nad szczęście, które od ciebie zawisło; — ja cię ukryję przed okiem zawiści — zaufaj mi, będziesz szczęśliwą i mnie wesele powrócisz.“

— „Jakaż w tedy przyszłość“.....

— „Przyszłość — nie pytaj mnie o nią, chwile będą nam ubiegać z rozkoszą — o, ręczę ci przyszłość będzie kwiecistą“.....

— „Nie, Władysławie, niechcę zakłócać ci pokoju — ciebie czeka korona, twa dłoń owładnie berło

Ludu, z którego łona ja powstałam — tyś winien być szczęśliwy — przed tobą wszystko — przedemną łązy i żałoba.“

— „Kocham cię tą miłością świętą — którą ci tylko pojąć zdolni, co mają serca nieskażone i prawe — wierz mi, taka miłość nieprędko się kończy. Dla ciebie gotów jestem uczynić ofiarę z przyszłości — dla ciebie gotów jestem poświęcić nawet koronę, z rozkoszą berło zamienię na pokój przy tobie — cóż chcesz więcej?“

— „Miałabym na to zezwolić? — powiedz, czy kochałbyś mnie wtedy tą miłością świętą o jakiej mówiłeś — a ja, czyż równie bym cię kochała przyjmując tak wielką ofiarę. Niebyłabym występna odnosząc w taki sposób zwycięztwo nad sercem“....

— „Więc mnie nie kochasz“.....

— „Sądziłam że lepiej poznałeś serce Hanny — nieznasz go niestety.“

— „O! moja droga! — gdybyś mogła pojąć moc niedoli jaka mnie w tej chwili uciska, wysłuchałabyś tej prośby co z głębi duszy wychodzi. — Wspomnij, wszak z tamtąd miłość nasza wzięła początek.“

— „Nieżądaj tego odemnie — wszak niechcesz powiększać mych cierpień. Ty musisz o mnie zapomnieć, błagam cię o to.“

— „Nie, nigdy“...

— „Zdaje mi się, że ojciec mój patrzy na nas w tej chwili — zdaje mi się że widzę w jego oczach ten wyraz dobroci, jaki spotykałam zawsze gdym dobrze czy-

niła. — Miałabym znieważać jego prochy? — o mój Boże!“ i łzy strumieniem pobiegły jej z oczu.

— „Jakże mnie udręczasz, rzekł z boleścią Władysław — jedynej więc odmawiasz mi już pociechy...“

— „Maszże cierpieć Władysławie — patrz, jam tylko kobieta, a widzisz ile mocy mogę mieć nad sobą — jednakże gdybyś mógł zajrzeć w duszę.“

— „Zatruwasz to życie, zawołał król, które i tak goryczy wiele już doznało. Ach! mógłbym być szczęśliwym...“

— „Bądź mężnym, jeżeli kiedyś wspomnisz sobie o mnie, wtedy pomyśl że wszystko poświęciła dla ciebie — pomyśl, żeś w mém sercu potrafił wzniecić przyjaźń, która nie prędko przeminie — wtedy niedosyć będzie dla ciebie nagrody? Ja ciągle o tobie myśleć nie przestanę — nie doznam wyrzutu że ci wydarła szczęście, by dogodzić sercu — umrę spokojna.“

— „Nie, Hanno! ty się nie oddalisz...“

— „Nazbyt cię kocham, przerwała Hanna, i dla tego opuścić cię muszę. Zostaw mnie losowi — bądź szczęśliwy, żegnam cię.“

— „O tak! widok twój głęboko rani duszę — dla mnie już niema szczęścia na ziemi, zawołał Władysław, po cóż cię tyle kocham“ — upadł przed nią na kolana, przycisnął do swych piersi i śpiesznie wybiegł z komnaty.

— „Żegnam cię, ze łkaniem powtórzyła Hanna —

Boże przyjmij z mych cierpień ofiarę, dodaj mi siły“—
i padła na kolana.

Z następnym dniem razem ze wschodzącym słońcem tłumy ludu napełniły przestrzeń od zamku ku Kościołowi Ś. Jana. Szmer i zgiełk zwiększał się co chwila. Podwojone straże pachołków miejskich niemogły nakazać milczenia.

Już słońce znacznie wzbiło się w górę, a jeszcze ani sklepy otwarte, ani przekupnie zasiedli na Starém mieście — jeno wszystkie ulice próżne, a zbiegowisko przed zamkiem.

Zbrojne hufce co chwila częściowo na plac przyciągały. Lud cisnął się gromadnie, by może po raz ostatni uściskać swych braci. Nigdzie wesołej myśli, nigdzie promienia radości, tylko płacz i westchnienia niknęły w tłumie. Tu, młode dziewczę ze łzami żegna swego kochanka, jedną ręką białym rańtuszkim ociera splekane oczęta, a drugą ściska żelazem pokrytą prawicę dziarskiego młodziana. — Tam, letni starzec drzącą dł oniąbłogosławi jedyne go syna — tu, nieszczęsna żona rzuca się w objęcia kochanego męża — na rękę trzyma niemowlę, które niepojmując jeszcze niedoli, z uśmiechem pogląda w około — a matka, nieszczęśliwa matka, ciągle wzrok zwraca ku szybom okien poważnego zamku. Wzrok niemy — jednakże pełen wymo-

wy — głęboko wciska się w duszę, a biada temu czyje serce w nim wyrzut uczuje.

Wtém ponuro zajęczały dzwony, zgiełk się powiększył, a odgłos *naprzód!* rozległ się do koła.

Jakoż od kościoła Ś. Jana ukazał się poczet rycerstwa. Tłum z trudnością rozstąpił się nieco.

Na przodzie jechał z wolna królewicz Władysław.

W rękę trzymał poświęconą chorągiew, przez Nuncjusza Diotallo. Srebrny szyszak, na wierzchu którego złoty unosił się orzeł, okrywał mu głowę — a z pod czarnego płaszcza stalowa świeciła zbroja.

Po prawej ręce królewicza, na dzielnym rumaku, w burce na plecach, sadził Wejer Wojewoda Chełmiński, a z drugiej strony, wolno kroczył Adam Kazanowski.

Daliej świetny poczet składali ochotnicy, synowie pierwszych dygnitarzy Rzpltej, jako to: Konstanty kś. Wiśniowiecki, Andrzej Firlej, Tomasz Sobieski, Zygmunt Tarło, Adam Przyjemski, Stefan Koniecpolski i inni. Poczém szły straże od boku Królewicza; którym prowadził Zygmunt Kazanowski.

Za niemi w porządku szły hufce kopijników, wszyscy na dzielnych koniach, pokryci żelazem, w rękę trzymali długie kopije, do których przytwierdzone chorągiewki wiatr poruszał. Na ich czele jechali Konstanty Plichta Sochaczewski i Stanisław Niemira, Podlaski, Kasztelanowie.

Daliej, Denhoff Ernest prowadził piechotę Węgierską, a brat jego Gerard — Niemiecką. — Następnie

szły chorągwie, to lekkiej jazdy Pawła Wołuckiego biskupa Kujawskiego, to piechoty Albrychta księcia Radziwiła — a w końcu regimenta piesze koronne.

Lud z odkrytymi głowami, do bram ostatnich przeprowadził wojsko, jeszcze raz pożegnał je okrzykiem, jeszcze raz pogonił westchnieniem, zanim znikło mu z oczu za murami miasta.

* * *

W roku tysiąc sześćset trzydziestym dziewiątym, w porze jesiennej, świetny orszak wracał z łowów drogą od Nieporętskich lasów. Na przodzie w bogatej kolasie ciągnionej przez cztery białe rumaki, siedział król Władysław IV, a obok niego małżonka Cecylia Renata córka Ferdynanda II. Pierwsi urzędnicy w kraju składali grono. — Obok kolasy jechali konno Adam na Czaśnikach Kazanowski, Jerzy Ossoliński podskarbi kor., Denhoff, Paweł Grodzicki i inni.

Czas był przyjemny, słońce świeciło jaskrawo, a śpiewy ptasząt ginęły w powietrzu.

Orszak zwrócił się na prawo i wjechał w dolinę.

Na niewielkiej płaszczynie gęste słupy czarnego dymu, wznoszące się w górę wskazały wiejską zagrodę. Zczerniałe chaty rzędem ustawione niemiły zdaleka sprawiały widok. Niewielki staw do połowy z ala-

zły prawie, otaczały wysokie pnie drzew świętych. Na małym wzgórku bielił się szlachecki dworek. Potłuczone w nim okna, pozsuwane dranice, były dowodem iż nikt w nim niemieszkał. Kilkanaście drzew owocowych świadczyło iż w tém miejscu był kiedyś ogród, lecz dziś opuszczony, pozbawiony ogrodzenia, dopełniał obrazu ruiny.

Cała osada nosiła na sobie piętno smutku i cierpienia, jakie po długiej słabości zwykło osiadać na twarzy chorego.

Król z uwagą przypatrywał się wszystkiemu, jakieś wspomnienie przebiegło mu umysł, spojrzął na Kazanowskiego, a wtém spojrzeniu zabłysła ubiegła młodość — młodość tyle przez nas żałowana — której iza tylko częstokroć pomnikiem!

Cała osada w dawnej barwie stanęła mu w pamięci — spuścił głowę na piersi i westchnął — było to ustronie Rotmistrza.

r. 1843.

Franciszek Gawarecki.





Do Wieszcza.

Burzliwych uczuć kochanku hoży,
Gdy w twojem oku dziewica złoży
Lube, anielskie spojrzenie;
Zaciśnij serce, niepuść do łona —
To płomień piekła, żądło skorpiona,
To przyszłych bólów nasienie. —
Nie tkliwe serce, nie serce twoje,
Przeciw uczuciom wynajdzie zbroję
Gdy w duszę twoją jad wsączą;
Miękkiego serca strzeż wieszczu młody,
Nim dni różane twojej swobody
Wrzące uczucia poplącą. —
Młodzieńczej duszy zapal szalony
Zagra twym myślom boskiemi tony,

Harmoniją dzikiej osnowy:
 Serce, uczucia wichrom powierzy,
 Zapłonie, zawre, żarem uderzy
 W ten świat ciemny — dziki — nowy.
 Lecz myśl niewinna, wrząca, swobodna
 Zawsze wesola, zawsze pogodna,
 Jak odbłask jasnej przezroczy:
 Bo tylko oko tkliwej dziewicy
 Zanurzy duszę twoję w tęsknicy,
 Na serce okowy wtłoczy. . —
 To jeśli w lubem, w kochanem oku
 Tkliwość dostrzeżesz w uczuć natłoku,
 Spocznij tam duszą w żałobie;
 Ona ci szczęście, niebo odsłoni,
 Ona twej chwale łezkę uroni —
 Cześć pięknym oczom, cześć tobie! -

Juliusz Gumowski.





Dym smutno się wije i ciągnie nad dachem,
 I chmury w powietrzu żalobną gromadą
 Unoszą się zwolna — Wiatr zawył przestrachem —
 A chmury spłoszone pośpieszniej znów jada.
 Tak myśl się powoli wywija z dumania,
 Rozdrabnia się w kształtów i części tysięcy, —
 I buja — Wtem prawda swe lice odsłania —
 Myśl zmienia się w myśli szalone, pałace,
 W te myśli co w każdej chwili urojenia
 Jak mróz zetną marzeń potoki śrebrzyste,
 Co szepczą w ucho dziką wieść zniszczenia,
 Gdy w duszy kwitnie marzydło wieczyste.

Czemu przy lilii nieśmiertelnik rośnie?
Czemu lawina w ciche niwy ścieka?
Czemu kona dziecina skacząca radośnie?
Czemu tylko igraszką — cała myśl człowieka?..

Włodzimierz Wolski.





I.

Prychwały try kozaki z pola
Odyn każe — „ja Marusiu lublu”
Druhy każe — „ja Marusiu woźmu”
Treti każe — „do szlubenku stanu.”
— „Toj zo mnoju do szlubenku stane,
Kto dla mene trojzilja dostane.”

Pieśń Ukraińska.

Nad Dunaju bystremi wodami
Świeci zorza, dojrzewa kalina,
Nie — to świeci czarnemi oczami,
Piękném licem kraśnieje dziewczyna.

Wzdłuż Dunaju sokoły trzy lecą,
Wzdłuż Dunaju miesiące trzy świecą,
Nie — to z pola molojców trzech wraca,
Ranne słońce ich zbroje pozłaca.



Skoro zdala Marusię ujrzeli,
Ku niej pędzą przybiegli, stanęli.

Jeden mówi „gołąbko ty moja!”

Drugi „życie dam za twą urodę!”

Trzeci „musisz Marusiu być moja,

Ja cię miła pod wieniec powiodę!” —

Na to piękna Marusia im rzecze:

— „Ja żadnemu mej ręki nie przeczę

„Lecz ten ze mną przed ołtarzem stanie

„Który dla mnie trójziela dostanie:”

— „Zgoda.” kozak odrzeczę udały

„Mam na stajni nie konie trzy ptaki,

„Jeden wrony, jak gdyby kruk jaki —

„Drugi gdyby śnieżny, łabędź biały —

„Jak jarząbek trzeci raby cały.

„Rabym koniem, stepy, góry, minę —

„Białym koniem, morski nurt przepłynę —

„A na wronym, trójziela dostanę

„I do szluby z Marusięnką stanę.”



II.

Oj sław kozak trójzilje kopaty
Stała nad nim zażula kowaty,
„Ne kop, ne kop kozaczeńku zilja
Kłaniajetsia Marusia z wesilja.”

Koło gaju wśród pięknego błonia
Młody kozak zsiadł z wronego konia —
Ukląkł — czegoś szuka wśród murawki —
Dobył szabli i kopać zaczyna ...
W tém nad głowę słyszy głos kukawki
„Nie kop! nie kop! kozacze trójziela
„Żarty z ciebie stroiła dziewczyna.
„Dzisiaj tobie szle pokłon z wesela!”

Powstał kozak poblady mu lica,
Zgrzytnął zębem — zaiskrzyły oczy
Schował szablę — na wronego skoczy.
I poleciał gdyby błyskawica.



III.

Wziaw Marusiu daj w lewaju ruka
A szabelku daj w prawaju ruku —
Jak w horodi makiwka breniła
Tak Marusi hołowka złetiła.
„Otoż tobi Marusia wesilje
Ne posyłaj kozaka po zilje”

Nad Dunajem w kozackiej slobodzie,
 Wśród gładkiego przed domem podwórza;
Pieją dziewy w krągłym chorowodzie
 St roi figle w koło nich młódź hoża.

To znów zabrzmia sopiłki, torbany,
 Harny kozak pokręciwszy wasa,
To przysiuDEM w skoczne idzie tany,
 To trzepaka z czarnobrewą płasą.

Jakiż nowy gość spieszy z daleka ?
Stanął — bryzła z konia potu rzeka,
On równemi zeń nogami skoczy —
 Cały w pyle trudno poznać lica.
Tylko z pod brwi zwiśtych, czarne oczy
 Swiecą — istna w chmurze błyskawica.

Śpiesznym krokiem na podwórze wchodzi,
 Stanął — chwilę oczami obwodzi —
 Kogoś szuka — postrzegł pannę młodą.
 Co wśród innych kraśniała urodą;
 Ku niej idzie — ni starszych przywita,
 Cóż jej szepnął, za rękę ją chwyta —
 I w taneczne poprowadził koło —
 Ona zbladła, wdół schyliła czoło,
 Czarnych oczu nie śmie wzniesić na niego,
 Drżącym krokiem idzie koło niego.

Cóż za nowy taniec przybysz wszczyzna?!
 Nie zdjął czapki, szabli nie odpina
 Rękę młodej lewą ujął dłonią,
 Miejsca prosi — gdy mu je odstonią,
 Gdy wśród koła zdziwionego stanie,
 Szabla z pochew błysła niespodzianie,
 Jak w ogrodzie rozkwitła makówka
 Precz zleciała panny młodej główka!

„Otóż tobie Marusiu wesele,
 „Nie posyłaj kozaka po ziele!” —

Marcin Ossoryja.





Piosnka Wieśniaka.

W staje dzionek, błyszczy rosa,
Śpięwy budzą las,
Radość bije pod niebiosa,
Praca wzywa nas.

Ale serce gniecie troska,
Niby kamień kwiat:
Niech się dzieje wola Boska!
Zwiędnę w wiosnie lat.

Zosia moja ukochana
Ominęła mnie;
Dobre serce, niema wiana.
Rodzic innej chce.

Niemity mi ten świat wszystek
 Krótkie moje dni,
Mój strumyku! nieś jej listek,
 Kocham, powiedz jej.—

Gdy po wodę na kwiateczki,
 Białą ściągnie dłoń,
Mój wietrzyku ciepłuteczki!
 Na jej włoski wioń.

I ty słońko dobrotliwe,
 Co oświecasz mnie!
Którém serce kłopotliwe,
 Jeszcze słabo tchnie;

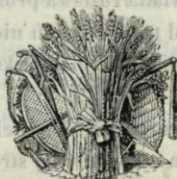
Ucałujcie moję miłą,
 I tu wróćcie się,
Powiać świecić nad mogiłą
 Gdzie schowają mnie.

A gdy scichnie głos pochowu,
 Rodzic otrze łzy,
Leć wietrzyku, do niej znowu,
 Powiedz, powiedz jej:

Że Jaś nią żył tu na świecie,
 Dziś w mogile spi;
 Niech paciorek zmówi przecie.
 Błogosławi mi!

Że aniołek jej odstoni
 Jasia w cieniach snu;
 Że o Zosi Bóg nie broni,
 Jeszcze myśleć mu.

Augustyn Zdżarski.





Trzy Sonety.

I.

Zegnaj mi, ty coś wdziękiem i cnotą z kolei
Związała moje pamięć uroczą potęgą!
Świetna gwiazdo na niebie błędnych mych nadziei.
Nie gardź wiecznej pamięci kochanka przysięgą.

Patrz! jak ten księżyc codzieln na twoje mieszkanie
Z jaśniejszej skroni światła rozlewa promienie,
Tak wraz z nim i myśl moja codzieln nie przestanie
Błąkać się blisko Ciebie, wielbić nieskończenie.

Piękna! ilekroć tylko ujrzysz go na niebie,
Pomnij że i myśl moja utkwiała w tój stronie
Tam szuka szczęścia straty, nadziei i Ciebie!

Pomnij że Cię prosiłem; niech na szczęścia łonie,
Niech w przyjaciół i liczném wielbicieli gronie,
Myśl twa w niepamięć miana mego nie zagrzebie!

dnia 7 lutego 1832 r.



II.

Spięwać mi każesz sobie... Ach twoje rozkazy
 Zdolne są z ust rozpaczy śmiech szczęścia wywołać,
 Lecz aby śpięwać Tobie, lub zabawić zdołać
 Trzeba miłszych jak mojej duszy są obrazy.

Nieszczęsnych myśli, są jak ponadwiejskie dymy
 Gdy się niebo zachmurzy — pełzają po ziemi,
 Gdy rozjaśnieje — one jak mgliste olbrzymy,
 Wznoszą się chcąc go objąć ramioną swojemi.

I mnie kiedy godzina nieszczęścia zadzwoni
 Gdy czytam obojętność z posepnej twej skroni,
 Samotny smutek ściga i myśl moją chmurzy...

Lecz gdy czoło jaśniejsze; szczęście dla mnie wróży
 Wnet znika ślad rozpaczy, znika promyk burzy!
 A dusza zachwycona pamięć smutku roni....

dnia 1 Marca 1832 r.



III.

Samotny, gdy się grobem przy mnie rozpostarły
 Nadzieje, którem z nieba wywołał sto razy,
 Patrząc na świat mych rojeń — milczący — umarły!
 Piękna — będęż śmiał... żalu stawić Ci obrazy?

Jak błędne światła nocy myśl moja posepna
 Na smętarzach się tylko nadziei snuć lubi,
 W nowych coraz cierpieniach płacze się i gubi,
 Goni wszystkie uczucia — wszystkim niedostępna.

I przepelniona burzą rosnącej rozpaczy
 Przebiegszy — wszystkie miłe, daremne, marzenia
 Umarłemu się światu uśmiecha przy zgonie.

Przekarmiwszy już wszystkie nadzieje w mém łonie,
 Dąży by się pogrążyć w odmęt zapomnienia,
 Bo i siebie i świata już nie przeinaczy..

dnia 6 lutego 1835 r.

Antoni Głowacki.





Zosia niosła wodę z rzeczki
Spotyka ulana,
Ten ją prosi: „daj troszeczeki
Napić się kochana.

Nie skąp wody dla wojaka
O! ma najśliczniejsza!
A do wody daj buziaka
To będzie smaczniejsza.“

— „Wody chętnie wszystkim daję —
Buziaki od Zosi
Kogo kocham, ten dostaję
Nie każdy co prosi.“

• **Marcin Ossoryja.**





Rozkosz.

Chodźcie tu, chodźcie — na mojem łonie
Zabłyśnąć szczęścia uśmiechem
Tutaj jaśminu woń was owionie —
Słodkim uśpienia oddechem

Lubieżnej róży zalotne loki
Polehczą płonące oczy,
Niezapominiek rój modrooki
Zmysły czarami otoczy. —

Nie ma tu burzy w mojej ustroni,
Ani piorunu odgłosów —
Słońce łagodny promyczek roni
Z jasno-błękitnych niebiosów.

Czasem złotawym ojmie pierścieniem
 Ciemne cyprysów wierzchołki;
 Lub się całuje z srebrnym strumieniem
 Jakby dwaj bracia aniołki.

Nie słyhać tutaj rozpacz y jęków,
 Ni się szczęk broni odzywa,
 Tylko harmońja kwiecistych dźwięków
 Z pieszczonej lutni wypływa.

Tylko tu dziewic lśniące postacie
 Sny pieszczot słodkich, na jawie,
 Z błyszczącym okiem, w przezrocznej szacie,
 Tańczą po pięknej murawie.

Czasem podniosą kwiatek rzucony,
 Lub zatrzymają się w biegu,
 Wtedy z pod jasnej lekkiej zasłony,
 Spojrzy pierś bielsza od śniegu.

Chodźcie tu gdzie was wonią uwięzi
 Gaj cytryn lśniących dokoła.
 Gdzie złotem z po za ciemnych gałęzi
 Pomarańcz błyskają czola.

Tutaj dłoń biała, wonna, pieszczona.

Rzeźwiący napój wysączy —

A potem przyjmie w słodkie ramiona.

Usta z ustami połączy.

Czasem zapieści wam dźwięk daleki

Jak piękny kwiatek dziecięciu —

I tak będziecie spoczywać wieki

W słodkim i miękkim objęciu.

Chodźcie tu chodźcie — na mojem łonie

Zabłyśnąć szczęścia uśmiechem,

Tutaj jaśminu woń was owionie

Słodkim uspienia oddechem.

Włodzimierz Wolski.





NIEWIASTY POLSKIE

z czasów Jana Kazim. i Sobieskiego.

(Wyjątek z dzieła p. n. Niewiasty Polskie.)

54

Lukasz Opaliński zniestawił pamięć naszych niewiast, w Satyrach swoich: obrazy ohydne jakie nam odmawiał, są tak szpetne; że w nich ledwo małą odrobinę prawdy dopatrzeć można. Gorycz jaką swe małowidło zaprawił, prędeż przypuszczam że pochodziła z jego serca, niż z wizerunków niewiast ówczesnych. Szczegółowe złe, Opaliński zebrał razem, i oplwał ogół, cały ród niewiast współczesnych. Bo przecież drugie pomniki dostarczają nam tej pewności, że cnotliwych niewiast nigdy niebrakło, że one zawsze przemagały w narodzie; one to jak wierne kapłanki cnoty, przelewały ją w serca potomkom—one same, były zaporą nieprzelomną przeciw złemu—nie dając mu dalej w progi domowe wtargnąć, aby wszystkie domowe ogniska skalał i przygasił.

Były to czasy bardzo smutne jak dla kraju, tak i niewiast naszych: powstanie Chmielnickiego krwią zalało tysiące dworów szlacheckich! ileż tu wśród pożogi i mordów, okazywały hartu duszy, nasze niewiasty, jako przywiązane żony i czułe matki. Piękny obraz smutnej doby stawia *Jakób Łącznowolski* (*):

.... Porzuciła dla trwogi niejedna sprzęt złoty
 Perły, drogie kamienie, i inne klejnoty.
 Niejedna się pieniędzmi śmierci wykupiła,
 Których kwapiąc się z domu, z szkatułą pozbyła.
 Wszystko prawie od strachu z rąk drżących leciało,
 Co się na wychodzący wóz układać miało:
 Jeszcze od miłych mężów przez miecz odłączone,
 Błąkały się jak wpuszczy owce obłądzone.
 Różnym stroskane żalem wierutne sieroty,
 Wstydem się zalewały przed swych sąsiad wroty.

Z drugiej strony napad Szwedów niepokoił kraj cały. Nazwyczajeni nasi surowi przodkowie do nieskalanej cnoty, i dziewiczego wstydu niewiast swoich — podali w pamięć odległej przyszłości, małe grono zalotnic, co z oficerami Szwedzkimi uciekały z domu (**). Były w tym gronie szczupłym dziewczęta młode, niewinne, uwiedzione chwilowym szałem, dosyć też same znalazły kary we własnym sumieniu i dozna-

(*) Nowe zwierciadło modne dzisiejszego stroju, akomodowane damom polskim Jakuba Łącznowolskiego 1682go 4go.

(**) Rękopism 1676 r. fol.

nej niedoli. Znieważone i spodłone, wracały przed wrota dworu ojcowskiego ze łzami, żalem, i skruczą. Chwilę obłędu, płaciły całą smutną przyszłością swoją, którą politowanie i wzgarda przeplatały.

I cóż znaczy, na tak kraj wielki jak była starożytna Polska, błąd i ślepotą kilku zalotnic, lub zwiedzionych dziewcząt, obok najwznioślejszych dowodów całej masy rodu niewiast polskich, dowodów miłości i stałości dziewic, przywiązania żon cnotliwych i wstydlivych, matek najlepszych? W obszernych puszczech i borach, tuliły do łona same zgłodniałe, dziatwę strętwiałą — unosząc ją przed rozbojem i łupieżem, dosiadały koni aby dzielić niebezpieczeństwa srogięj wojny, z mężami: po zamkach i grodach zagrzewały rycerstwo do dzielnego odporu: znosiły głód, niewczasy, walczyły same nieraz. Ciche w domowej zagrodzie niewiasty, uległe mężom, których *panami* swymi nazywały, potulne i bojazliwe, nabożne i skromne na odgłos niebezpieczeństwa wrzały ich serca odwagą mężką — dając jój nieraz najświetniejsze dowody.

Bernard Konnor Anglik, lekarz przyboczny króla Jana III Sobieskiego, wychwala Polki ze skromności i cnoty (*).

„Najznakomitsze (mówi) niewiasty pokazują się zwykle w towarzystwie matrony podeszłej, lubo są wielkiej wierności dla mężów. Polacy są zawsze z szacun-

(*) Rękopism 1676 r. fol.

kiem i przywiązaniem dla żon swoich, szafowania im jednak i rozrządzania dochodami niedozwalają.“

Siedziała wtedy na tronie piękna Marja Kazimira d'Arquien małżonka bohatera swego wieku, francuzka rodem, niedziwota że z niej moda francuzka rozkrzewiła się silnie między niewiastami naszymi. Już poprzednio, za staraniem Ryszeli'go, francuzka także Maryja Ludowika Gonzaga dzieliła tron z Władysławem IV: już wpływ francuzczyzny rozkrzewiać się zaczął. Ale teraz stał się silniejszym. Sam król Sobieski pisze listy do swej najukochańszej Marysieńki mieszając wyrażenia francuzkie — przeplatając wyrazy polskie francuzkami. Elegancja, powierzchowne oznaki grzeczności, nadskakiwania, zastąpiły na dworze miejsce powagi i szczeroty dawnej. Przykład z dworu, łatwo się udzielał magnatom — z zamków ich przeszedł na dwory szlacheckie.

Przywiedziony Łącznowolski (Zwyercyadło 1682 r.) boleje nad zmianami nagłymi w obyczajach i zwyczajach niewiast naszych: — były to skargi na wiatr rzucone, bo cóż podolać mogły przeciw potędze ducha czasu?

Niewiasty (mówi on) ubiegają się za modami: panna jest wolniejsza w mowie jak matka: porzuciły dziewczęta dawny zwyczaj noszenia wieńców na głowie — na wzór francuzki więć się gorsować zaczęły, co raziło oczy surowych przodków naszych: — Piękną pleć pstrzyły, malowały różem, muszkami i zaczęły

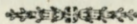
nosić peruki, do sukien przydano długie ogony, które za paniami nosili karty. Zaczęto hojnie używać wstążek w różnych barwach: wstęgi zdobiły rękawy sukien, stanowiły przepaski, przeplatano je z warkoczami, zostawując długie końce na powiew: kwiaty ze wstążek ubierały ramiona. Chustki oszywano niemi, równie jak trzewiki z bujnemi węzłami. Pościel ubierano we wstążki, nawet od kochanki młodzieniec na pamiątkę otrzymywał wstążkę. — Używały na głowę *kornetów* i *bonetów*, z rogami i siatką: w miejsce kulczyków, zawieszały gruszki jedwabne, albo perłowe.

Co dawniej było niesłychaną rzeczą, teraz kawaler z damą w jednym pojeździe — razem jadą: poufałość między dworzanami a pannami z *fraucymeru* do tego wzrosła stopnia, że współczesny pisarz jeden przywoździ jako dowód zupełnego zepsucia: iż weselsi z młodzieży wzięwszy ziela goździków w usta, na panny dmuchali (*).

To najdokładniej maluje z jaką ostrożnością ufać trzeba pisarzom z tamtej epoki; z jak bacznym okiem śledzić dawne w tym względzie pomniki, jak mało cenić zjadliwy wrzask Ł. Opalińskiego nieosobliwych obyczajów pisarza, który rozjadłty jadem złości, zeszkarał obraz piękny niewiast naszych—godny przeziębienia i uwagi.

(*) Sejm piekielny — druk Gocki 1683 r.

K. Wł. Wojcieki.





Ufajcie w Śmierć.

Ufajcie w śmierć! — śmierć to klucz do nieba,
Grób — śmierci plac — bramą wybawienia —
Cierpiących w niej balsam pokrzepienia,
A wiara w nią — to ducha potrzeba.

*

Ufajcie w śmierć! — za śmiercią was wita,
Bogaty dzień w słodycze niebieskie,
Na grobie kwiat wieczności wykwita,
I szczęścia zdrój co zmyje z ócz łezkę.

*

Ufajcie w śmierć! — ze śmierci się rodzi,
Z cierniowych dróg owoc rajskiej woni:
Ten owoc nam w grobie tylko wschodzi,
Weźmie go duch, z Ojca duchów dłoni.

Ufajcie w śmierć! coście tu cierpieli,
 Bo śmierci mrok cierpiących potrzebą,
 Przez cierpień tłum droga wasza w niebo,
 Gdzie szczęścia raj zgotują anieli.

*

Ufajcie w śmierć! Ot — spada zastona,
 A z śmierci mar mknie gołąbka biała —
 Jak lilij kwiat wdziękiem otoczona,
 I chyży lot w niebo skierowała.

*

Ufajcie w śmierć! — Gołąbka ulata:
 To duch wasz tak, na wiary promieniu
 Wraca z tych błoń do lepszego świata —
 I pięknym jest po swém przemienieniu.

*

Ufajcie w śmierć! — to pewna kotwica,
 Wszak ziemskie dnie to krótka godzina! —
 Budowa ta z wiatrem się nagina;
 A zawsze śmierć z śmierci nas wychwyci.

*

Ufajcie w śmierć! — a komu daleka,
 Komu jej bieg zbyt wolnym się staje —
 Niech patrzy w krzyż i cierpliwie czeka:
 Krzyż łamie ból i puklerz nam daje.

*

Ufajcie w śmierć! — pod puklerzem wiary,
 Ostoi duch choć wytnie grom burzy,
 I gorzki płyn zpije do dna czary —
 Jak z krzyża myśl — w Bogu się zanurzy.

*

Ufajcie w śmierć! — jak jej ufa prawy,
 Gdy ciałem już wstępuje w grób ciemny;
 On jemu jest jak tunel podziemny,
 Którym mknie duch z błoń wiecznej kurzawy.

*

Ufajcie w śmierć! — Życie to kaskada,
 Co z szczytu skał w rwący potok spada —
 Lecz kiedy w nurt, jakby w grób się ciska,
 Wybija z toń — w niebo jak duch pryska.

*

Ufajcie w śmierć! — śmierć: to klucz do nieba,
 Grób — śmierci plac — bramą wybawienia —
 Cierpiących w niej balsam pokrzepienia,
 A wiara w nią — to ducha potrzeba! —

Kornel Malczewski.





240

.. Hal kwiat paproci to droższe!
Wolać z smutkiem urzeczony krocie.
Pracować jak wrony w kwiatu jęczmienia.
Wrony i wrony w sercu prostocie.
Hal hal nasz w paproci, jak dziewczyna płacząca.
W kobiecą miłość wrony i kocha.



Kwiat Paproć.

Iest ziele — ziemia żywi je nasza,
Kwitnie tajemnie w dzikiej ustroni.
I wszystkie inne kwiaty przygasza,
Cudnością blasku, pięknnością woni;
Lecz piękniej woni, cudniej przyświeca,
Życiu młodziana, miłość kobięca.

Kto w Świętojańskiej zejdzie je nocy,
Uszczknie w kwitnieniu, wszystko posiędzie;
Bogactwa świata są w jego mocy,
Wszystko ukryte widnem mu będzie:
Przecież bogatszy komu zapłonie,
Miłość prawdziwa w kobiecie tonie.

„Ha! kwiat paproci! to urojenie!“

Wołają z śmiechem uczonych krocie.—
Przecież lud wierzy w kwiatu istnienie,
Wierzy i szuka w serca prostocie.
Jak lud nasz w paproć, tak młodzież płocho
W kobiecą miłość wierzy i kocha.

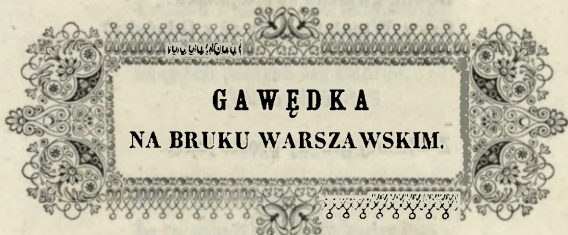
O! i jam kiedyś wierzył z zapątem!

Dziś, jam się rozstał z wiarami memi
Bo też grzech kochać jak ja kochałem,
Boską miłością, stworzenie ziemi!
Lecz wy o! bracia! stali w dążeniu,
Kochajcie, wierźcie — szczęście w złudzeniu.

Jarosławiec 13 listopada 1843 r.

Karol B. z Jarosławca.





**GAWĘDKA
NA BRUKU WARSZAWSKIM.**

PAN KAROL.

Ciebież widzę Bartłomieju?
Ty Kujawski hreczkosieju
O tej porze między nami?
Toć uważam że z wronami
I poczciwe polne szpaki
Zlatują się w miejskie szlaki.

PAN BARTŁOMIĘJ.

Nasunęła Ci te słowa
Szpakowata moja głowa,
Jako wnoszę: co do szpaków,
W mieście waszém dość tych ptaków,
I karmionych niemi siła.

PAN KAROL.

Jakaż cię tu gwiazda zsyła?
Bo nie gwiazda świętojańska:
Czy z Włocławka czy aż z Gdańska?

PAN BARTŁOMIEJ.

Z własnej grzedy prosto jadę.

PAN KAROL.

Głowę moją w zastaw kładę,
Że znudzony wiejską ciszą,
Kędy ludzie jak monady
Nic nie widzą i nie słyszą,
Pragniesz pójść naszemi ślady.
Że zmieniwszy na talarki
Swoje jarki i tatarki,
Chcesz im w mieście *meat* zrobić
I na człeka się sposobić.

PAN BARTŁOMIEJ.

Ani jednym ani drugim
Nie odpowie szlachcic prosty.
Gdy mię Pijar chrzczył kańczugiem
A doświadczeń silne chłosty
Sypały się pasmem długim

Jako ziarna u sásieka,
 Sposobiłem się na człeka,
 Odtąd jestem już skończony;
 Trudno w siebie cós przyjmuję;
 A grosz znojem poświęcony
 Skąpych potrzeb się pilnuje.

PAN KAROL.

Więc nie chybię, jeśli powiem:
 Że tu między naszym mrowiem
 Miejskich bogiń, szukasz żony.
 Trzeci - ó krzyżyk już miniony!

PAN BARTŁOMIĘJ.

Żony panie? Tać to żona
 Łaska Boża! zwykle ona
 W głębi naszych siół się gnieździ;
 Któż tam po nią do was jeździ!
 Gdybyś panie znał Kujawy
 Od Lubrańca do Nieszawy,
 Tam to w czemsi jest przebierać.
 Tam to żyć i tam umierać!
 Tam to dziewy kieby płonki,
 Kieby kryształ serce, lice,
 A stworzone na małżonki,
 Jako gleba na pszenicę!

PAN KAROL.

Nikt przymiotów tych nie przeczy,
Gdy więc niechcesz się tu żenić,
Przyznaj przecie, że są rzeczy,
Które w mieście warto cenić.
Są teatru, masz redutę,
Pikniki i bale sute;
Są kawiarnie, jest resursa,
I przedziwny poncz u Lursa.
I obiady u Marego;
Lwy i lwice oprócz tego.
Wierz mi, tylko w zabaw steku.
Poznasz smak i ducha wieku;
A chcesz poznać, koszt nie duży,
I cyceron ci usłuży.

PAN BARTŁOMIEJ.

Cycerona mam ja w szafie,
O lusztyki miast nie stoję:
Dzięki więc za rady twoje,
Korzystać z nich nie potrafię,
Bom ja człowiek nie do fraka,
Ni blichrowiec, ni hulaka,
Lubię spokój i porządek,
I nie strawny mam żołądek.

A że nowych znajomości
 Strzedz się zwykłem, dobry człeku,
 Więc i z twoim duchem wieku
 Nie chcę bliższej zażyłości.
 Wolę być od niego z dala.

PAN KAROL,

Przecież godzi się po pracy
 I rozerwać.

PAN BARTŁOMIĘJ.

My wieśniacy,
 Gdy nam zdrowia Bóg pozwala
 I sumienie cicho siedzi,
 A w zapasie są sąsiedzi,
 I na półce książka stara,
 Co o dawnych dziejach plecie —
 Mamy dosyć; skąpa miara
 Naszych uciech — to-ć na świecie
 Człek nie stworzon do wesela,
 Lecz do krzyża, jak to wiecie
 Z wzoru Pana Zbwiela.
 Co zaś do mnie — ja mój panie,
 Z prapradziadów parafjanin,
 Z praprababek chrześcijanin,
 Strzegę proga, chwałę Boga,
 Jako każe przykazanie.

W dzień świąteczny, trójką ciętą,
Jadę panie na mszę świętą.
Po mszy świętej, do sąsiada,
Com się jeszcze znał z nim chłopcem ;
A sąsiada co się składa
Jednem sercem, jednym kopcem.
Tam, po stole, po staremu
Z lampką w ręku gadka idzie :
Ten tamtemu a ten temu
O nadziejach i o biedzie,
O omłocie, urodzaju,
O owczarni i o sadzie,
Czasem o nowinach kraju
Różne rzeczy w ucho kładzie,
I rad wraca że się zwierzył
Z tém co myślał i w co wierzył.
Tak to bywa w dzień świąteczny:
Lecz nie zawsze, bywa czasem,
Że człek kwaśny, nie bajeczny.
Nie chce innych razić kwasem.
Więc plebana w dom zaprasza,
I z nim utnie w maryasza,
Lub też w pana Kasztelana,
O zdrowaśki — i to słodzi
Nie fortunę, że przegrana
W niebie człeku się nagrodzi.

Mam ja jeszcze oprócz tego
 Dwóch przyjaciół rezydentów:
 Szanownego Podstolego,
 I Kaźmierza pościwego,
 Ludzi serca i talentów.
 Obaj chociaż na pół starce,
 Zawsze jednak czerstwi, mili —
 Ten mi radzi w gospodarce,
 Ów na gęśli słodko kwili,
 I tak rzewni i tak łechce,
 Taki umie ton wywinąć,
 Że czy serce chce czy niechce.
 To i musi łzą zapłynąć.
 O ta łza, mój miły panie,
 Kropla święta, i bogata
 W taką lubość, że mi stanie
 Za uciechy tego świata.

PAN KAROL.

O tem wszystkim nie chcę sądzić.
 Różne gusta, różne drogi.
 Pięknie to się czuciem rządzić
 I domowe kochać Bogi —
 Lecz przemienne świata kolej,
 Pokój wiekom kontuszowym!
 Człowiekowi co ma olej,
 Godzi się być *postępowym*.

Jesteś właśnie u ogniska.
 Tu oświaty źródło tryska,
 Z pism czasowych, z ksiąg powodzi,
 Nowych pojęć zorza wschodzi.
 Tutaj *umy* się ścierają,
Genjusze rozplemiają.
 Tu pisarzy i pisarek,
 Literatów, literatek,
 Kieby lodu, kieby ziarek;
 Filozofów też dostatek,
 Co ci *wiedzę* uposażą,
 Sfery *ducha* ci ukażą.

PAN BARTŁOMIĘJ.

Kiedym jeszcze był w pieluchach,
 Nasłuchałem się o duchach,
 Od staruszki mojej niańki.
 Te dziecinne, wietrzne bańki,
 Wygluzował czas z pamięci;
 Wracać do nich nie mam chęci.
 Co do wiedzy — wiem mój panie,
 Kiedy orka, kiedy sianie
 Kiedy sprzątnąć, kiedy sprzedać,
 Jako żyć i zwieść się nie dać!
 Ufać zresztą w dobroć nieba
 Czegóż więcej mi potrzeba?

Starą wiarą ja zgaduję,
To w czem maca szkoła nowa,
Kornem sercem rozumię,
A czyn wyżej mam niż słowa.
Boć ja szlachcic z pod Bachorzy,
Wśród prostego żyję gminu.
Z słowa tylko Pan Bóg tworzy,
Ludziom, panie, trzeba czynu.

PAN KAROL.

Pozwól przecie, niech się dowiem
W jakim - ś celu tu zawitał.

PAN BARTŁOMIEJ.

Gdyś po prostu mię zapytał,
To ci także wprost odpowiem.
Sąsiad wdarł mi się na miedzę;
Więc za sprawą tutaj siedzę.
Spór to mały, lecz w granicach
Przyzwoitych chcę utrzymać.
Święty spadek po rodzicach.
W takiej sprawie trudno drzemać.
Więc zabiegam, nie zalegam.
Za dni parę kość wypadnie,
A czy radnie czy nieradnie,

Niech się dzieje wola Boga!
I bez zwłoki smyrgnę w sanie;
Szczęsny jeszcze gdy mi stanie
Licha ziemi i kęs proga.

Józef Paszkowski.



Grzeźna niewiara

Muzyka Ję. Dobrzyńskiego.

Moderato espressivo

Solista

p Po rzuć skargi po rzuć ią - le Nie prackli naj mie *p* kęm się chęć - ta ko - chąc - sta - le Daj mi chę - ci

Forlento

mie

On nie są - dził współ - nej do - ły dnać i na - czej chęć *f* Gdy mi w ser - ce mi mo - wo - li

poco cresc.

p Trę - sę - mi - tós'ó - wlat



Grzeczna Niewiara.

Porzuć skargi, porzuć żale,
Nie przeklinaj mię,
Żem cię chciała kochać stale
Bóg me chęci wie.

On niesądził wspólnej doli.
Snać inaczej chciał
Gdy mi w serce mimo woli
Inną miłość wiał.

Że ty kochasz mię tak długo
Boli mię twój stan.
Ale serce niejest sługą
Niezna co to pan!

Mimo wiedzy, mimo woli,
 W serce padnie skra
 A gdy płomień je okoli
 Któż mu radę da?!

Porzuć skargi, porzuć żale
 Nieprzeklinaj mię
 Żem cię chciała kochać stale
 Bóg me chęci wie.

Bratem bądź mi przywiązanym,
 Siostrę będziesz miał
 Lecz inaczej bydź kochanym
 Napróznobyś chciał.

Marcin Ossoryja.





W oczach twych miłość nigdy niebłyszczała—
W ustach twych żadne słowo niepostało,
Co by mi jakąś myśl nadziei dało,
Tyś mnie niekochała —
A ja ciebie kochałem, a czy wiesz dla czego?
Dla tego, żem cię ubrał w strój myśli różowy;
Rozkoszny, luby, nowy,
W pióra życia przyszłego —



Niebem, nazwałem jasne twoje czoło,
Hebanem, piękne włosy twoje czarne,
Oczy twe w gwiazdy zmieniłem polarne
I całą blaskiem obwiodłem w oko —

Na twojém licu rozsypałem kwiaty —
 W ustach rozkoszy koralowe łoże,
 W piersi burzliwe osadziłem morze,
 A na kibici perły i szkarłaty —



Ha! miałaś własne perły i własne szkarłaty! —
 Ale któż tym błyskotkom nadał blask niebieski?
 Ja twe perły zmieniłem w Archaniołów łezki,
 A te podłe jedwabie w wdzięczne raję kwiaty —
 Nieprzestałem na samym zewnętrznym ubiorze,
 Podniosłem twoją duszę, ach! jakże wysoko,
 Gdzie nawet szklami zbrojne niedosięga oko,
 Gdzie tylko myśl poety śmiało lecieć może.—



Kto czuć zdolny, o! taki pewnie mnie zrozumie —
 Ja ciebie posadziłem koło Boga blisko,
 Sam zostałem, tyś z góry spojrzała: „tak nisko,“
 I rozśmiałaś się dumnie — o wietrzna istoto!
 Odwróciłem oblicze, i ty! spadałaś z nieba —
 Spadałaś na tę czezę ziemię powszedniego chleba —
 Te perły, te szkarłaty, zmieniły się w błoto—



Został na twojém licu rumieniec przykuty
 Siłą życia — młodości —
 Ale ten boski odblask pierwotnej miłości
 Ach! uleciał daleko tchem ziemi zatruty. —



Zostałaś piękną, jak dawniej, kobietą —
 Ale żeby powrócić znikłe nieba wdzięki.
 Potrzebaby uczuciem kierowanej ręki.
 Trzebaby po raz drugi, ach! zostać — Poetą!

Leopold D.....





Mamże więc ciebie pożegnać na wicki,
Mamże otrząsnąć twe cudowne czary,
I odsunięty od twojej opieki,
Oplakać wielkich urojeń — ofiary.

Mamże potargać — girlandę złożoną
Z twych pocałunków — z kwiatów twej pieśczoży,
I zimne życia przyciskając łono,
Zapomnieć nieba, co twych ramion sploty
W ognistej piersi mojej rozniecily? —

O nie! nad życia najmilsze obrazy,
Piękniejsze twoich uniesień wyrazy —
O nie! nad życia rozhukane pieśni
Milszy dźwięk żalu, co ponad mogily,
Rozwodziś coraz tęskniej i boleśniej.

A więc pozostań — i przywdziej wydatniej
Twe kształty święte — i na ten raz czulej
Niech moję duszę twoja dłoń utuli —
I niech zapłacę — wszak to raz ostatni!

Bo dźwięki życia szumią jak bałwany,
Ich wir namiętny pędzi mnie i wabi,
O! jakże teraz piękny, rozhlukany
Ale piękności Twojej nie osłabi.

Włodzimierz Wolski.





Nowy rok! — tłum Ci życzeń rzucają pod nogi,
Zapewne szczerych, z serca, — mocno temu wierzę!..
Lecz ja od nich hojniejszy, chociaż tak ubogi,
Ja ci prócz życzeń, dary przynoszę w ofierze.

Są to Twoje zaklęcia, Twoje obietnice,
Wszystkie słówka miłością tchnące i nadzieją,
Wszystkie Twoje spojrzenia — te czary kobiece!
Zniszcz je — niech świat zapomnie, niech wiatry rozwieją!

Pomnij! to nie czcze słowa — nie czcze urojenie!
 Wierz mi — każdy tu wyraz pisałem krwią własną!
 W każdy, z serca wyrwane, zamknąłem płomienie,
 Co tak palą i dręczą — a nigdy niezgasną! —

W zamian żądam... nie bój się! o! już nie miłości!
 Jam tak zmieniony! — o! nie! — żebrałbym daremnie!
 Ani nawet współczucia — nic! — nawet litości!
 Daj ją komu i serce — godniejszy odemnie. —

Gdyś mnie kochała, ludzkość była mi rodziną,
 Byłbym się z nią podzielił rozkoszą najdroższą,
 Wierzyłem w nią jak w bóstwo — jak w Ciebie dziewczyno
 Dla jej szczęścia męczarnię wytrwałbym najsroższą.

Tys się zmieniła — znikły upojenia złote!
 Wszędzie widzę obłudę, podstęp utajony —
 Patrząc na mężczyzn, szydę, niewierząc w ich cnotę,
 Na was, myślę z boleścią: to kameleony! —

Stuchaj! jeśli ten promień co tak silnie wzruszał,
 Co tak wszechmocnie błyskał w Twém niebieskim oku,
 Co mnie ku Tobie do czci bałwochwalczej zmuszał,
 Nieziemskiej był natury — boskiego uroku;

Sluchaj! jeśli w Twém sercu jak kiedyś mniemałem,
Jest choć iskra uczucia pod próżnością skryta
Spraw, bym znów kochał ludzi jak dawniej kochałem;
Bo pomyślę, uwierzę: żeś tylko kobieta!

Karol B. z Jarosławca.

31 Grudnia 1843 Warszawa.



B I S T A

PRENUMERATORÓW.



- | | |
|---------------------------------|--------------------------------|
| Ablamowicz Józef. | Bogdaszewski Karol. |
| Andrzejkowicz Wład. G. S. | Boguski Julian, U. G. w S. |
| Andrzejkowicz, Juliusz. | Bokiewicz Leon. |
| Antoszewicz, Obywatel. | Boleski N. G. I. w Warszawie. |
| Artychewicz Alexander. N.G. | Bonar F., Prob. Szydłowiecki. |
| Bajer Lud., Diedz. Siestawic. | Borzewski Józef z Giżynka. |
| Baka Władysław. | Bronikowski Stanisław. |
| Balicki Jan, U. B. K. P. | Bronowski Tom. Pro. z Osieka. |
| Balicka Balbina, | Brodzowicz Leon. |
| Balicka Józefa. | Bućkiewicz Adam, Dok. Med. |
| Bartel Diedzic, Zboina. | i Chir. |
| Bialobłocki, Ob. z Piórkowa. | Buczyński Ambr. Dokt. Med. |
| Bieliński Alaxander, Diedzic | i Chir. |
| Jabłonny, Radca T. K. Lub. | Chodakowski Józef, Podkomo- |
| Biernacki Alexander, Kapitan | rzy Ptu Wołkowyskiego. |
| Artyleryi. | Cieciszewski Adam, z Podl. |
| Bieszkowski, Ob. z Wołynia. | Ciechoński, Marszał. Ptu Za- |
| Biskupski Ksaw., b. półk. W.P. | sławskiego. |
| Biszpung Piotr, b. Marszał. Ptu | Cielecki Leopold. |
| Wołkowyskiego. | Ciepielowski, U. M. U. |
| Bleszyński Wład., U. S. G. W. | Ciepielowski Wincenty, Obyw. |
| Błociszewski. | Ciepliński Gabr., Dz. Wohynia. |
| Bogdanowiczowa Marya. | |

Ciepliński Paweł, Dziennikarz Omskiego pogr. Zarządu.	Gałczowski Ksawery.
Ciepliński Rygobert.	Gawarecki Wincenty, Pre- zes, — Emeryt, Tryb. Płoc.
Cioth Józef, U. D. P.	Gawarecki Fr. A. S. T.C.G.M.
Czarnowski Edward, U. S.	Gąsiorowski M. Pr. z Płonnego.
Czerniawski Koniuszy.	Głindziczowa z Gumowskich Barbara, Półkownikowa.
Czermiński, Prob. z Mazowska.	Głogowski Modest.
Domher Oskar, U. G. w S.	Głogowski Stanisław.
Dębska Józefa.	Głowacki Feliks. Dziedz. Lu- tobor w Rawskim, ekz. 2.
Dmochowski Aleksy, Ob. z Pod.	Głowacki Walery.
Doliński, X. Dziekan.	Gniewkowski Marcin, Dziedzic Kietczówki, ekz. 2.
50 Domański Józef.	Gombrowicz Otton, Ob. z Podl.
Drucka Lubecka, Ks. z Hr. Scy- pionów.	Goliński Ostian. Ks. S. T. Lekt.
Drucki Lubecki Ks. Józef.	Górski Serafin, A. T. C. A.
Drucki Lubecki, Ks. Karól b. Marszałek Piński.	Grabowiecki Jan, U. D. U.
Drzewicka z Nowakowskich Teodora.	Grabowski.
Dzwonkowski Władysław.	Gruszecki Józef.
Dziekoński Ant., Urz. z Płocka.	Gruszecki Michał.
Dzierzbicki Tadeusz.	Grzankowski T. Prob. z Pruss.
Dziewicki Roman.	Grzywiński, Ob. z Podlas.
Ejsmunt Lucyan, Chorąży Ptu Grodzieńskiego,	Gurska Marya z Grabia.
Ejsmunt Oktawiusz, Prezy- dent Sądu Gr. Grodzieńsk.	Gurski Alojzy, Ob. z Wołynia.
Elżanowski Seweryn, Obyw.	H. M. Biskup w Żyrowicach.
Faliński Felicyan.	Haliburton Dominik, Sędzia Ptu Wolkowyskiego.
Fijałkowski Aleksander.	Hempel Józef.
Floryanowicz Henr., U. G. w S.	Hollak Jan, N. G. w S.
Frankowski Julian.	Hojnowski Leon.
Frejer Ludwik.	Horbacewicz Flor. Dok. M. i C.
Fudakowski, Ob. z Podola.	Hornowski Deputat.
	Horodyński Romuałd.

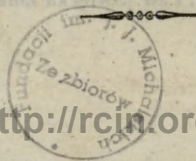
- Hussarzewski.
 Hąkowiec Andrzej.
 Jackowska Pel. z Trzczańskich.
 Jabłkowski, ekz. 2.
 Jakowski Józef, Urz. Pocz. w S.
 Jakunowski, Ob. z Wołynia.
 Jankowska Olimpia.
 Janikowski, Dokt. Med. i Chir.
 Jarmund Stanisław, U.K. Praw.
 Jaroszewski Michał.
 Januszkiewicz Adolf.
 Jasiński Leon, Dziedzic Dóbr.
 Jelski Leon. Hr.
 Joachimowicz.
 Kalenkiewicz Emeryk.
 Kamiński Adam, Radca G.M.
 Kamiński L. Prob. z Nowogr.
 Kantorski, Probosz. z Łażyna.
 Kapliński Leon.
 Kawecki Stanisław.
 Kozłowski Kazimierz, Probos.
 Kiniarski.
 Kirchner Wincenty, N. G. w S.
 Kisielnicki.
 Kleniewski Fr. Ob. z Pi. ekz. 2.
 Kleniewska z Lasockich Marya.
 Kmitowski Napol., Ob. z Podla.
 Kohlsdorf Ludwik.
 Kołupajło Ludwik, Dziedzic
 Dziewiątkowic.
 Kołupajło Stanisław, Sędz.
 Gra. Ptu Wołkowyskiego.
 Konarski Konstanty.
 Kondratowicz Mikołaj, Koll.
 As. Dr. Ptu Wołkowyskiego.
 Korytyński, Porucznik.
 Kowalewski Luk., Ob. z Osieka.
 Komierowski Michał, Ob. z Po-
 dlaskiego.
 Komierowski Julian, Ob. z Po-
 dlaskiego.
 Komierowski Józef, Ob. z Po-
 dlaskiego.
 Komierowski Antoni, Ob. z Po-
 dlaskiego.
 Koskowski Wincenty, Obyw.
 Kosko Franciszek, b. półkow.
 b. wojsk Polskich.
 Kozłowski Leon.
 Krajewski Alexander.
 Kraszewska Anna.
 Kraszewski Józef Ignacy.
 Kretowski Ob. z Podlaskiego.
 Krzczowski Józef, Ob. z Po-
 dlaskiego.
 Krywiczki Julian, Marszałek
 Guber. Grodzieńskiej.
 Krzywicki Konstanty, Prezes
 Sądu. Gr. Ptu Wołkowys.
 Kuczewski Jan.
 Kuskowski Marszałek.
 Langry Alexander.
 Laskowski Stefan, Major b.
 Wojsk Polskich.
 Lasocka Józefa z Chelmickich.
 Lasocki Stanisław, Obywatel
 z Płockiego.

Leszczyński Wiktor, Urzędnik z Płocka.	Morozewicz Stanisław.
Leonowicz Tadeusz.	Muczkowski Antoni.
Lewicki Ce., A. S. T. C. G. M.	Natęcz Michał, Obywatel z Zębrowa.
Lewicki Michał.	Narbuttowa Ludwika.
Ligowski, Obrońca Sadu Pok.	Nathansohn, L. Lekarz Klasy I.
Lipiński Józef, Wójt Gminy.	Neuburg Jakób.
Lipiński, Obywatel Miasta Warszawy.	Niniewska z Kicińskich Paulina.
Lipski Lud. A. S. T. C. G. M.	Ordega Alfons, Obywatel z Podlaskiego.
Lubomierski Marcelli, Książę — ekz. 2.	Ordyniec Julian A. W. L. w Suwałkach.
Luboradzki Seweryn.	Oskierka Dominik Podkomorzy Pow. Wołkowyskiego.
Łada, C. D. T. K. Ż.	Osińska Zofia.
Łempicki Michał. Ob. z Pl.	Ośmiałowski Włodzimierz, Obywatel z Podlaskiego.
Łempicka Izabella.	Ossowska Józefa.
Łyżkowski N. G. 1. w Warszawie.	Osstromięcki Walery, b. Prez. Sądu Ptu Wołkowyskiego.
Machnicka Teofila.	Osuchowski Alexander.
Majewski, Kapitan b. Wojsk Polskich. ekz 2.	Paczowski Józef.
Makarew O. N. D. R. Powiatu Słonimskiego.	Pańkiewicz Jan, nauczyciel Gimnazjum Realnego.
Makowski Stanisław, U. M. U.	Papłoński.
Malczewski Kornel, Obywatel z Lubelskiego.	Paszkowski Franciszek.
Marszewski, U. K. R. S. W.	Piaskowski Artur z Podlas.
Maruszewski Piotr P. G. L. Mejel.	Piechowski Józef, A. S. P. P. P. Płockiego, ekz 8.
Miecznikowski, U. K. R. S. W.	Pietraszkiewicz Onufry.
Michalski, Kapitan b. Wojsk Polskich.	Piotrowska Ludwika.
Mikulski January.	Piotrowski Stanisław Obywatel z Lubelskiego,
Mikulski Florentyn.	Piotrowski Walery, Ob. z Lubelskiego.
Milberg Antoni Obywatel.	Potubiński Henryk.
Milkiewicz Alexander.	Ponikowski Franciszek.
Minuczye Ignacy. Kapitan b. Wojsk Polskich.	Ponikowski.
Miszewski Józef, Obywatel z Płockiego.	Popiel Zenon. ekz. 5.
Młodzianowski Obywatel.	Porzycka Paulina.
Modzelewski Józef.	

Preißs Alexander, Naczelnik z D. G. T, K. Z.	Trybunału Cywilnego Gu- bernii Lubelskiej.
Pruszyńska Emilia Marszał- kowa.	Sarnecki Julian.
Pruszyńska Olga	Sawicki Jakób.
Pruszyński Antoni Marszałek.	Scipionowa del Campo Hr. z Ks. Lubeckich.
Pruszyński Dyonizy U. L. O.	Serwiński Stanisław .
Pruszyński Romuald U. G. W.	Siedlecki Franciszek, b. poru- cznik, ekz. 2.
Przeradowski Edward Obyw.	Siennicki, Doktor Medycyny i Chirurg. z Płocka ekz. 2.
Pszanowski Wojciech.	Siehen Tadeusz, Chorąży Po- wiatu Wolkowyskiego.
Puchacki Józef, Naczelnik Powiatu Lubelskiego.	Skarzyński, Obywatel. 150
Pustowski Wandalin.	Skórczewski Henryk.
Raczyński.	Skrzyński, Obywatel.
Radomyski Józef, Obywatel z Podlaskiego.	Skwarczyńska Teressa.
Radymińska Ewa.	Ślugocki Konstanty, Urzędnik z Płocka.
Rojewski Leon, Obyw. z Po- dlaskiego.	Sobolewski Marcelli. Nauczyc. Gimnazyum Lubelskiego.
Rojewski Ignacy, Obywatel z Podlaskiego.	Sonenberg Edward Urzędnik z Płockiego.
Rolbiecki Józef, Obyw. z Kra- szew.	Sonenberg Karol, Obywatel z Płockiego.
Romocka Urszula, Obywatelka z Łażyna.	Sonnenberg Stanisław. Obyw. z Płockiego.
Rozmowski Felix, A. S. T. C. M.	Sroczyński, Urzędnik Senatu.
Rozwadowski Józef, Obywatel z Podlaskiego.	Stachowski Ludwik, Doktor Medycyny i Chirurgii.
Rzeczniwski, U. M. U.	Stamirowska.
Rzeszotarski Ignacy, Obywatel z Milewka.	Stankowski Ignacy.
Rzewuski Fortunat, Dzierża- wca Ekonomii Buskiej.	Stasielewski Teofil, Obywatel z Płockiego.
Rzewuski Hrabia.	Stobnicki Xawery.
Rupniewski Bolesław.	Strickstroek, Ob. z Głębozka
Sabbatin Xawery, ekz. 2.	Strzałecki Justinian, N. G. w S.
Sanguszko Eustachy, Książę b. Jenerał b. Wojsk Polskich.	Surzycki Tomasz, U. M. U. ekz. 21.
Sankowski Maxymilian, Patr.	Świątkowski Stanisław.
	Świącka Zofia.

Święciecki, Obyw. z Nowej Wsi Swierzbiniński.	Wojsbur Edward. U. G. w S.
Szabański Franciszek, ekz. 3.	Wojciechowski, Dokt. Med. i Chir. z Raciaża.
Szaniawski Kac., Lek. Klasy I.	Wojtkiewicz, Ob. z Wołynia.
Szeliski.	Woliński Ant. Prob. z Lipna.
Szwejkowski Adolf.	Woliński, Kapelan z Sławuty.
Szydłowski Aug., Ob. z Podl.	Woliński Julian, U.D.G.T.K.Ż.
Szymańska Józefa.	Wroński, Ks. Dziek. Solecki.
Szyrma Michał, Chorąży Ptu Wołkowyskiego.	Wyszyński Józef, Ksiądz.
Tarnowski Kazimierz.	Zabłocka Wincencya.
Toll Edw., Prezyd. m. Lublina.	Zalewski Podkom Ptu Ostrogskiego.
Tomeczycka.	Zalewski Urz. Podcz. Lubels.
Trębicki Władysław, Porucznik Art. b. Wojsk Pols.	Zarębski Franc., Urz. Senatu.
Trębski Jan, Obr. S. P.	Zarębska Ludmiła.
Trzeński Ant., Ob. z Płock.	Zastyrzec T. Dok. Med. i Chi.
Trzeński Symforyan	Zawadzki Dziek. z Czernikowa.
Tułowski Joachim, Sędz. Gr. Wołkowyski.	Zawadzki Jan, Prob. z Dobrzewjewa.
Tymowska Gabryela.	Zawisza August, Obywatel.
Ujazdowski Karól, Ob. z Płoc.	Zawisza Jan, Prez. Sąd. Grodz. Ptu Wołkowyskiego.
Walter Alfons, ekz. 2.	Zbyszewska Paulina.
Wasiłowski Ignacy.	Zbyszewski Grzegorz, ekz. 6
Wasiutyński Tomasz.	Zdzitowiecka Julia.
Wąsowicz Cypryan, N. G. w S.	Zieliński Gustaw.
Wereszczakowa Seweryna.	Zieliński Józef, Sędzia Pokoju.
Wessel Ignacy.	Znatowicz Eugeniusz.
Wierzbowski Józef.	Zubelewicz Florjan N.G.R.W.
Wierzbowski, Pisarz Mag. Sol. w Pierzchnicy.	Żwańców Konstanty, U. P. U.
Wierzchlejski Roman.	Żarkow Piotr, Ob. z Płock.
Wilczewski Fr.. O. z Jastrzęb.	Żdżarski Augustyn. N. G. w S.
Włodkowski Jan, PProkurator S. K. G. M. i K.	Żdżarski Teofil, Patron.
Wojstaw Grzegorz, N. G. w S.	Żechowski Stefan, Obyw.
	Żmigrodzki Stanisław.
	Żukowski Stefan, Regent.

Z powodu, że nie wszyscy Kollektorowie pośpieszyli z nadesłaniem imion Prenumeratorów, lista powyższa nie jest zupełną.



<http://rcin.org.pl>

N.P.T. 678

1844